



SIECI

**WILDSTEIN PO WIZYCIE
POLSKIEJ DELEGACJI W IZRAELU**

**GÓRNY OCENIA 5 LAT
PONTYFIKATU FRANCISZKA**

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 11 (276) 2018
12-18 marca
CENA: 6,90 zł (w tym 8% VAT)

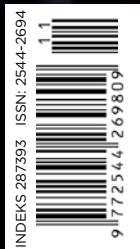


net WIADOMOŚCI
ŚWIAT TYLKO W ONECIE POLITICO POGODA
TYLKO W ONECIE
Amerykańskie sankcje wobec
ANDRZEJ STANKIEWICZ 5 mar, 23:01
211 tys. TWITTER | 0 E-MAIL
Przez Duda i premier Mateusz Morawiecki nie mając
główne sankcje wobec polskich władz - do czasu
USA nie będą się z nimi spotykać. Onet dysku
mine, relacje z USA od lat nie były tak napięte
ultimatum zostało sformułowane przez
polskimi dyplomatami
acją na tym spotkaniu był Wess Mitch
1. On mówił najostre
m uznaniem polskich liderów za
finansowania wspólnych proje
nie, że jeśli polska prokuratura
atela USA, to skutki będą "d
kumenty pokazujące po
em ustawy o IPN. Cho
o: w ciągu ostatnie

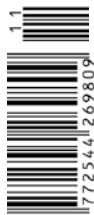
KULISY MANIPULACJI

KŁAMSTWEM W POLSKĘ

**UJAWNIAMY,
KTO I W JAKI SPOSÓB GRA
NA ROZBICIE NASZEGO
SOJUSZU Z AMERYKĄ.
STAWKĄ JEST
BEZPIECZEŃSTWO KRAJU**



INDKS 287393 ISSN: 2544-2694



917723441269809

W POLSCE PL

Pilnujemy **Polski!**

Oglądaj na żywo ((•))



CYFROWY
POLSAT

NA POZYCJI

196

W INTERNECIE:

► www.wPolsce.pl

► www.wPolityce.pl



Sygnały ostrzegawcze

Latwość, z jaką media z niemieckim kapitałem narzuciły całej scenie politycznej obowiązki zajmowania się kłamstwami na temat rzekomych sankcji nałożonych przez Waszyngton na władze w Warszawie, powinna obóz rządzący skłaniać do refleksji. Przecież gołym okiem było widać, że to mało prawdopodobne, a dementi z samego Białego Domu nadeszło bardzo szybko. A jednak miliony Polaków były i są nadal karmione nieprawdziwym przekazem, który rozlał się słabo zatrzymywany.

Dlaczego?

Po pierwsze, media inspirujące tę operację zostały w ostatnich miesiącach uprawnione przez dostarczanie im przecieków z rządu, organizowanie ustawianych – rzekomo przypadkowych – sesji fotograficznych, pieszczone uwagą. To spowodowało, że ten wymysł wiele osób też uznało za prawdziwy. Bo to działa tak: dobra zmiana płaci zasobami dobrej zmiany za to, że część mediów, nadal atakując cały obóz, pewne elementy wyjmuje, obejmuje ochroną, wychwala. W ten sposób

umożliwiono wrogim zmianom ośrodkom medialnym w Polsce, w imię kilku bardzo wąskich interesów, powrót do rozgrywania sceny politycznej. Niestety część obozu rządzącego zrobiła dużo, by tabloidalne media niemieckie założone dla Polaków – papierowe i internetowe – odzyskały legitymizację.

Dziś prawica płaci cenę tych demoralizujących cały obóz flirtów.

Po drugie, trochę zapomniano o konieczności mówienia do Polaków o sprawach podstawowych, **obok** manipulacyjnych mediów, **ponad nimi**, o budowie **innych kanałów** komunikacji.

Po trzecie, widać zakochanie w sondażach (jak tak dalej pójdzie, zaraz spadną), ukrytą pogardę wobec środowisk tożsamościowych (bo my już w elicie i na salonach), zaniechanie bezpośredniej komunikacji z wyborcami – to wszystko dotyczy tylko części obozu, ale ma konsekwencje w odniesieniu do całości.

Chwilami odnoszę też wrażenie, że rząd przerodził się w **ambitne seminarium intelektualno-historyczne**, co jest piękne, pouczające i wzruszające, ale co pozostaje obok zasadniczych ce-

lów i oznacza prostą ścieżkę do porażki. Obóz zmian musi być blisko ludzi! Musi zasuwać i dowieźć cele.

Po czwarte, wrócił zły duch spin doktorów, którzy intrygują, skłócają ludzi, na potęgę używają wpływów medialnych w obozie III RP do rozgrywania dobrej zmiany. Pamiętajmy: podwójne wybory 2015 r. wygrały nie sztaby złożone z takich sztukmistrzów, ale socjologów, politologów, doświadczonych, dobrze czujących politykę działaczy. Słowem: nie była to złudna droga na skróty, ale trudny, normalną trasą marsz.

Chcę jasno podkreślić: to nie jest żaden czerwony alarm, jest wiele sukcesów i udanych dni. Ale za często zdarzają się ostatnio takie, w których ze strony obozu rządowego nie przebija się pozytywny komunikat, a temat debaty narzuca opozycja.

Jeśli ktoś wie, pamięta, z jakim trudem została wywalczona możliwość zmieniania Polski, ten nie może zamykać oczu na te alarmujące sygnały.

Czas się pozbierać.

Michał Karnowski





40

Partia Zero
Stanisław Janicki



46

Ze Stanisławem Tyszką
rozmawia Dorota Łosiewicz



101

Z Jakubem Krzewiną
rozmawia Cezary Kowalski

NA POZĄTEK

- 6 Z ŻYCIA KOALICJI, Z ŻYCIA OPOZYCJI**
Robert Mazurek, Igor Zalewski
- 8 NIEOFICJALNY PRZEGLĄD TYGODNIA**
Sygnalista
- 9 POCZTÓWKA ZNAD KRAWĘDZI**
Krzysztof Feusette
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Piotr Skwieciński
- 12 KONIEC SZKALOWANIA POLSKI!**
Jan Pietrzak
- 13 KTO MA PRAWO DO PLATONA**
Bronisław Wildstein
- 14 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 15 OBLICZA PRL**
Marta Kaczyńska
- 16 ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz
- 17 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

TEMAT TYGODNIA

- 20 ORKIESTRA FAKE NEWSÓW**
Marek Pyza, Marcin Wikło
- 24 KŁAMSTWO ZABIJA**
Maciej Pawlicki

KRAJ

- 26 Z BRONISŁAWEM WILDSTEINEM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy
- 32 Z SETHEM J. FRANTZMANEM**
rozmawia Aleksandra Rybińska
- 36 NIECH BĘDZIE JAK W KORPORACJI**
Marcin Fijołek
- 40 PARTIA ZERO**
Stanisław Janicki
- 44 MIĘDZY PRAWDĄ A DZIĘBĄ**
Marek Pyza, Marcin Wikło
- 46 ZE STANISŁAWEM TYSZKĄ**
rozmawia Dorota Łosiewicz
- 50 W SERCU NOSIMY POLSKĘ**
Anna Racinińska
- 52 K2: TAJEMNICA PORAŻKI**
Rozmowa Aleksandra Majewskiego
z Zygmuntem Berdychowskim

SIECI KULTURY

- 55 FRANCES McDORMAND POZA REGUŁAMI**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 57 NA MIARĘ LEGENDY**
Rozmowa Tomasza Plaskoty
z Leszkiem Wosiewiczem
- 60 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba
- 61 ODKRYWANIE PADEREWSKIEGO**
Adam Ciesielski

62 CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY

Wojciech Stanisławski

64 POLECA I ODRADZA

Łukasz Adamski

OPINIE

- 66 REWOLUCJA FRANCISZKA**
Grzegorz Górny
- 69 REPARACJE ZZA OCEANU**
Wojciech Wencel
- 70 PRZERAŻAJĄCA PUSTKA REWOLUCJI SEKSUALNEJ**
Łukasz Adamski
- 72 WOLNA PRZESTRZEŃ HISTORYCZNA**
Wojciech Reszczyński
- 73 CHINY – NOWY ROZDZIAŁ**
Dariusz Karłowicz

HISTORIA

- 74 JEDYNIENIE SŁUSZNY MARZEC**
Konrad Kołodziejski
- 75 STUDENCI, ROBOTNICZY, NARÓD**
Antoni Macierewicz

ŚWIAT

- 78 ŚMIERĆ REPORTERA, KRYZYS PAŃSTWA**
Jaroslav Daniška
- 81 PUTINIZM SCHYŁKOWY?**
Piotr Skwieciński
- 84 WŁOSKI REBUS**
Jan Rokita
- 88 DOOKOŁA EUROPY**
z Krystyną Grzybowską

GOSPODARKA

- 90 CZY ŚWIAT ZWARIOWAŁ?**
Janusz Szewczak
- 98 TAK RODZI SIĘ PALIWOWY GIGANT**
Piotr Filipczyk

SPORT

- 101 Z JAKUBEM KRZEWINĄ**
rozmawia Cezary Kowalski

KUCHNIA

- 104 MOJE SMAKI: ANNA SAMUSIONEK**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 105 SŁODKO-SŁONY/WINNICA MAZURKA**
Anna Monicka, Robert Mazurek

NA KONIEC

- 106 NIE JAKO ŻYDZI**
Piotr Skwieciński
- 108 DEGRADACJA NIEMAL MASOWA**
Aleksander Nalaskowski
- 110 WĄSY PREZESA**
Robert Mazurek
- 114 MODUS AFERANDI**
Andrzej Zybortowicz



Barwy niepodległości

Razem z Polakami świętujemy 100. rocznicę odzyskania niepodległości przez Polskę. Jesteśmy dumni, że od wielu lat wspólnie kształtujemy naszą ojczyznę.

Pamiętamy jednak o tych, którzy swoim trudem i poświęceniem doprowadzili do odzyskania Niepodległości. Składając hołd pokoleniom, które walczyły o Polskę, w roku jubileuszowym symbolicznie zmieniamy nasze barwy korporacyjne na biało-czerwone.



Z życia koalicji

Mało kto słucha Polskiego Radia 24, ale jest co najmniej jedna wierna słuchaczka, pani Joanna z Warszawy, która regularnie dzwoni. I to dzwoni do dyrekcji, bo ma mnóstwo uwag. I te częste – jak twierdzą tamtejsi dziennikarze – telefony mają już swoją nazwę. To, parafrazując punkowy The Clash, „Lichocka Calling”. A, bo zapomnieliśmy dodać, że pani Joanna jest posłanką PiS i członkiem Rady Mediów Narodowych.



Niebywały skandal na posiedzeniu komisji sprawiedliwości! I to skandal jawnie sek-sistowski! No bo **Bartosz Kownacki** (wiceszef w MON za Antka, teraz wylany na twarz przez Mariusza) gapił się na Myszkę Agresorkę i do niej uśmiechał. Ta nie mogła tego znieść i zakrzyknęła z oburzeniem: „Czy pan puścił do mnie oko?!”. Kownacki siedział co prawda jakieś dwa rzędy od niej, ale oko puścić mógł. I tu, primo, seksizm, bo do Myszkowskiego oczka by nie puścił, i – secundo – obciach. Bo wiadomo, nie każcie wyjaśniać.



To już rozpaczliwa szarża w walce o nominację. Otóż **Patryk Jaki** ogłosił, że ma sondaż, w którym wygrywa w Warszawie w pierwszej turze. Naturalnie! Przypomina nam to sytuację PiS z 2011 r., kiedy do Kaczafiego przed wyborami codziennie przychodził Tomek Żukowski, doktor socjologii, i mówił, żeby nie wierzyć kłamliwym sondażownikom, bo on ma własne badania, w których PiS wygrywa. No i w badaniach wygrał. A że w wyborach miał 30 proc. przy 39 proc. Platformy? O tym nie było mowy.

A cała akcja Jakiego jest o tyle rozpaczliwa, że – jak pisaliśmy – Prezes nie ma ochoty wystawiać dzieciaka. W związku z tym rozpaczliwie poszukiwany jest kandydat inny niż tenże i inny niż Karczewski, w którego szanse nikt nie wierzy. „Jesteśmy w d...” – barwnie określił ten stan minister, który sam jest brany pod uwagę. Cóż, nie pozostaje nic innego, niż wziąć Macieja Świrskiego. Ten facet wszystko, co dotknie, obraca w złoto.

Błąd strach padł tymczasem na Michała Dworczyka, szefa kancelarii premiera. Otóż biedaczną też wrzucono do pi-sowskich sondażu jako kandydata na prezydenta Warszawy. Powody? Bo młody, podobny do Trzaskowskiego, otrząskany w świecie, wieloletni radny, no i poseł spoza stolicy, bo z Wałbrzycha. Kłopot w tym, że spokojny, Bogu ducha winny, grzeczny, harcerski Dworczyk broni się rękami i nogami przed kandydowaniem. Właśnie dlatego, że spokojny, Bogu ducha winny etc. No ale jeśli Prezes zadecyduje, to trudno, będzie trzeba. Dramat Michała (43 lata).

A tymczasem „sekretem Prezesa Rady Ministrów” (o dziwo, nie chodzi o Kaczafiego, który jest jedynym Prezesem w Polsce) został nasz stary znajomy Andrzej Pawluszek, dawny człowiek Lipy (Adama Lipińskiego) z Karpacza, potem gwiazda Nowego Jorku i Amsterdamu, bywalec i światowiec. Pawluszek jest tak naprawdę w kancelarii człowiekiem do zadań specjalnych i na razie rzucono go na odcinek izraelski. Tak że jak wasze dzieci będą w szkołach dostawać humus na drugie śniadanie, to wiecie, czyja wina.

O Pawluszku można by godzinami, ale o jednym musimy napisać. Otóż koleś jest czterdziestolatkiem o wyglądzie młodocianego spekulanta giełdowego, blond aniołka z błyszczącymi, białymi zębami. Ci biedni pisowcy ostatni raz widzieli takie zęby w amerykańskich filmach, nic dziwnego, że Świrski Pawluszka nienawidzi szczerze i żądał, żeby go zwolnić. Aha, żądał, by go wylać, zanim go zatrudniono. A mówią, że Świrski nieruchawy.



Mazurka

Z życia opozycji



Jest! Jest! Powrócił! Nie zniknął! Jakież to szczęście! Przepraszamy za tyle wykrzykników, ale ich liczba zdradza, o kim piszemy. Tak. **Mateusz Kijowski** powrócił. Napisał tekst pod cudownie pretensjonalnym tytułem „Nazywam się Kijowski. Mateusz Kijowski”, w którym oskarżył media, że go nie bronią przed PiS, nie piszą o jego nowej organizacji i że w ogóle są do niczego. W przeciwieństwie do niego. Bo on jest twardy, niezłomny i obciachowy. Nikt na całej kuli ziemskiej nie jest tak obciachowy. Świat ma nam czego zazdrościć.

Kijowski zagrzmiał, bo prokuratura postawiła mu zarzuty w sprawie przytulenia 121 tys. zł ze składek KOD.

Alimenciarz uważa, że władza chce się go pozbyć ze sceny politycznej, bo był dla niej (władzy znaczy się) zbyt niebezpieczny. Ależ co za bzdury! PiS po-

winno zapłacić każde pieniądze, byle tylko Kijowski działał, ile tylko ma sił w kucyku. Nikt nie ośmieszał opozycji równie skutecznie. A konkurencja w tej dziedzinie przecież spora.

„Gazeta Wyborcza” sprzedaje już poniżej 100 tys. egzemplarzy dziennie. Naszym zdaniem upadek bierze się z tego, że tylko w co drugim tytule pojawia się słowo „Kaczyński” lub „PiS”. To za mało! Np. na kolumnach sportowych Kaczyński nie występuje prawie w ogóle. Gdyby i tam go potępiać, sprzedaż na pewno by wzrosła!

Ponieważ w mediach Agory idzie kiepsciutko, firma postanowiła zainwestować w sieć restauracji. Ciekawe, czy zarcie będzie równie niestrawne, co teksty w „Gazecie”. No ale dobrze, że przygotowują dla dziennikarzy jakieś trawy ratunkowe. Jak zamkną „Wyborczą”, Czuchnowski i Kublik dadzą sobie radę na zmywaku.



Rzadki przejaw zdrowego rozsądku. **Tomasz Siemoniak** publicznie stwierdził, że słynne 17 mln wydanych za pośrednictwem służbowych kart przez MON to suma podobna do tej, jakie notowano w jego czasach. Sam to powiedział, Macierewicz go nie torturował. Dziwny facet. W dodatku do Sejmu jeździ autobusem.



Robert Biedroń zarzeka się, że nie chce startować na prezydenta Warszawy, choć sondaże dają mu całkiem niezłą pozycję wyjściową (trzecie miejsce za Trzaskowskim i Jakim). Niewykluczone jednak, że Biedroń nie będzie miał wyjścia. Jego szanse na reelekcję w Słupsku są coraz mniejsze. A klapa „najlepszego polskiego prezydenta miasta” nie byłaby dobrym wstępem do budowania nowej lewicy. Biedroń może też wystartować na Bali, ale tam miałby silnego konkurenta w osobie Baški Nowackiej.

Jest taka partia Unia Pracy. Poważnie. Jest. Jej przewodniczącym jest niejaki Witkowski Waldemar, o którym dotychczas nie słyszeliśmy. Ale teraz Witkowski błysnął. Po wybuchu kamienicy w Poznaniu pojawiły się apele, by pomóc mieszkańcom pozbawionym dachu nad głową. – Tysiąc razy bardziej taka pomoc potrzebna jest Syrii – zgłosił inicjatywę Witkowski. I jak ładnie obliczył. To ci matematyk.

Artur Boruc zaprezentował swoje zdjęcie w garniturze i zasugerował, że myśli o karierze polityka. Na pewno zrobiłby w Polsce karierę. W opozycji byłby najbystrzejszy, a w PiS najładniejszy. Wszędzie by go wzięli.



TYGODNIA

Zalawskiego

Nieoficjalny przegląd tygodnia

Awantura o rzekome „**sankcje**” amerykańskie wobec polskich władz to pierwsza od dawna medialno-polityczna batalia, w której gra toczy się według klasycznych reguł III RP. Nie chodzi nawet o newsy czy fake newsy, które szerokim strumieniem znów płyną do niemieckich mediów, jak za dawnych czasów. Chodzi o spadek prestiżu obozu niepodległościowego, który znów staje się atrakcyjną zwierzyną łowną.

Dlaczego tak się dzieje? Bo „kurs ku centrum” odebrano (mylnie) jako sygnał słabości i zapowiedź, że rewolucja dobiega końca. Dotychczasowi właściciele III RP znów poculi się bezpiecznie. Ba, wielu ponownie poczuło się gospodarzami i postanowiło trochę pograć. Kordon sanitarny wokół wielu obszarów III RP upadł i mamy efekt: rozwibrowanie. Nie wiadomo, gdzie front, nie wiadomo, kto swój, a kto wróg.

Niektóre media forsują tezę, że winę za amerykańskiego focha ponosi prezydent, bo nie odebrał telefonu od sekretarza stanu USA Rexa Tillersona. Miał uznać, że do prezydenta powinien dzwonić prezydent. Słusznie, trzeba się szanować. Ale to ciekawe, że na mapie winnych ktoś wyraźnie chce umieścić Andrzeja Dudę. Tak jak ciekawe jest to, że MSZ tak bardzo cieknie. Ktoś to nieźle rozprowadza. Ktoś ze środka?

Amerykanie bywają bezczelni. Chodzą po ludziach władzy albo władzy bliskich i próbują dyktować mapę „interesów specjalnych”: tego nie ruszać, tamto zostawić, to nasze, a to chcielibyśmy kupić. Na pierwszym miejscu zawsze TVN. Nie chodzi o ideologię, ale o interesy ludzi, którzy kupili to medialne dziecko służb, a którzy dziś są w miarę niedaleko Trumpa. Cóż robić? Trzeba czekać. Czasu wiele, w końcu PiS ma rządzić gdzieś tak do połowy stulecia.

W ramach walki o centrum **biuro prasowe PiS** stara się ograniczyć medialne występy prof. Krystyny Pawłowicz. I tu taka scenka. Dzwoni dziennikarz z zaproszeniem, a popularna wśród twardych wyborców poseł mówi: „Wie pan, nie wiem, czy mogę, bo my teraz walczymy o tego, no jak mu tam, zaraz sobie przypomnę... Już wiem: o tego wyborcę centrowego!”. Podzielamy sceptycyzm co do tego, czy ów wyborca rzeczywiście istnieje. Ale na pewno wielu go potrzebuje, bo bywa wyjątkowo zgrabnym uzasadnieniem konformizmu.

Tabloidy wymusiły na rządzie **wstrzymanie premii dla ministrów** i ich zastępców. Czyli z dnia na dzień zarobki członków rządu spadły o jakieś 30–40 proc. W aparacie nie ma więc entuzjazmu. „Ci, co przyszli z banków i koncernów, przeżyją, ale nas zagłodzą” – to bardzo popularny komentarz. Tak źle nie będzie, ale dwie biedronkowe pensje dla wiceministra odpowiadającego za branżę warte miliardy

to standard afrykański, a nie europejski. Nawet jeśli wożać go za darmo i ma służbowy telefon.

Na **froncie izraelskim** nieco spokojniej, ale atmosfera wciąż wybuchowa. Na Uniwersytecie Warszawskim premier Morawiecki powiedział, że „dla Polski i Polaków walczących o wolność Marzec '68 powinien być powodem do dumy, a nie wstydu”. Chodziło rzecz jasna o dumę ze studentckiego powstania przeciwko komunie. Ale „Jerusalem Post” ocenił szybko, że szef rządu mówi o dumie „z wydarzeń, które wywołały antysemicką nagonkę”. Ktoś chyba zasmakował w palowaniu Polski.

Podczas konferencji na UW głos zabrał także wicepremier **Jarosław Gowin**. Mówił o tym, jak cieszy go odradzanie się żydowskiego życia na krakowskim Kazimierzu, i wspominał, że gdy rozdawał ulotki wyborcze, z radością dostrzegał wśród mieszkańców dzielnicy wielu ludzi o „semickich oczach”. To było urocze, ale mamy radę dla rządzących: w tych sprawach tylko z kartki, tylko banalnie i żadnych anegdot. Gra niewarta świeczki.

Czego chce od Polski **medialna i polityczna lewica**? Tego, co zawsze, czyli kapitulacji. To nie jest zaskoczenie. Ale kapitulacji chce również część medialnej prawicy. Oczywiście zaraz potem ogłosi, że uległość była błędem, ale w Polsce publiczność ma pamięć kury, więc nawet taki numer przejdzie. Gdyby nie Kaczyński, prawica nigdy nie doszłaby do władzy. Ona na władzę wręcz nie zasługuje. Zresztą sama też najlepiej czuje się w opozycji; wówczas może stroić miny, narzekać i za nic nie brać odpowiedzialności. Nic nie poradzisz, dzieci już tak mają.

W Parlamencie Europejskim delegaci dobrej zmiany cieszą się każdym dniem. Bo w kolejnej kadencji ma do nich dołączyć Adam Bielan. Skończy się spokojna praca, zaczną się intrzygi. Wielu zastanawia się, czy będzie tylko jeden rozłam, czy może więcej. I kogo pierwszego wraza prasa weźmie na warsztat, opierając się na „anonimowych źródłach”. Współczujemy.

Sygnalista



Pocztówka znad krawędzi

Szanowna redakcjo gasnącej, choć wybornej gazety, piszę do ciebie z dna totalnej rozpacz. Niedawno wspaniały redaktor Węglarczyk z Onetu pytał publicznie, czy już przez smog umieramy, i odpowiadał, że tak. Co za krótkowzroczność. Wymieramy przez coś zupełnie innego.

Ludzie dali się omamić temu straszemu człowiekowi, temu konusowi – jak mówi nasz noblista pokojowy, o całe dwa centymetry wyższy. Ale przecież wielkości nie mierzy się w centymetrach. Gdyby tak było, mecenas Giertych dawno byłby premierem. Tymczasem nie ma dnia, nie ma nocy, południa, popołudnia ani wieczoru, by nas, obrońców demokracji, nie uderzyła kolejna tragiczna wiadomość.

Już nie chcę nawet wspominać o sondażach, bo co kaczytom opadnie, to natychmiast wzrośnie, a dopóki Jerzy Stuhr nie wyjaśni do końca, o co mu chodziło, gdy twierdził, że ankieterzy dzwonią tylko na stacjonarne, dopóty w żaden sondaż więcej nie uwierzę. Ale i bez nich widzę, co się dzieje. Nie ma w nas zapалу. Nie ma woli, by wyjść na ulicę i raz jeszcze zakrzyknąć. Cokolwiek. Choćby: „Wolne macice, pisiory na szubienice!”

Czy to się jeszcze powtórzy – te zrywy z lampionami, te obrzucania farbą pisowskich biur, wyzywanie Kaczyńskiego od „ch...”, gdy Kijowskiego już nie ma? Osiem lat mu grozi, a pewnie wlepią chłopakowi dożycie. I pytam się: za co? Za to, że całe życie, całą rodzinę, całą nadzieję na dobrze płatną pracę utracił na froncie politycznej walki? Za to, że powiódł nas na barykady, a sam w tym czasie opiekował się puszkami? A z czego miał żyć? Z poklepywanek Schetyny czy ciepłych słów Petru? Ręce opadają, jak oni nas wszystkich zawiedli. Ten Grzesiu to jest ukryty człowiek PiS! Jak mógł pozwolić, żeby z partii odeszły takie autorytety jak Stefan Niesiołowski?

Nawet Petru się zmienił. Nic mu się nie udaje. Już nie potrafi trzech króli zamienić na sześciu albo chłopców do ginekologa posyłać. Sam słyszałem, jak ostatnio mówił, że „2015 rok to jest tak, jak dzisiaj, tylko minus trzy”. To już nie mógł powiedzieć, że minus cztery albo dwa? Byłyby cytowania, memy. A tak? Totalna cisza. A następczyni? Tyle było wyrazistych kobiet w Nowoczesnej, musieli wybrać anestezjolożkę? Jak ona usta otwiera, to mnie się oczy zamykają.

W jednego Frasyniuka do końca wierzyłem. Ten – wierzyłem – to im pokaże. Nie w sensie dosłownym, bo mnie akurat parady równości interesują średnio, ale pokaże, że ma... No wiadomo, o co chodzi. O 6.00 rano go zwinęli jak bohatera. Myślałem, że ich rozszarpie albo wsiądzie w tira i im tę „sukę” w błachę falistą przerobi. A on? Skuś się dał jak frajer ostatni. Ludzie na ulicę wychodzić chcieli, ale zanim jeden z drugim



KRZYSZTOF FEUSETTE

skarpetki na zimowe zmienił, już było po wszystkim! Pewnie liczył, że mu najmarniej pięć latek wlepią.

To jak wyjdzie, po pisiorach nawet śladu w Polsce nie będzie. A tu 10 minut i do domu? Takiego herosa? Pytam, ze łzami w oczach: to nie mógł się, bałwan jeden, przykuć tymi kajdankami do grzejnika, żeby chociaż do „Faktów” przeczekać?

Tacy oni są. Jak draka, to do rodaka, ale jak trzeba naprawdę cztery litery nadstawić, tylko kurz idzie. A Myszka Agresorka? Taka była z niej rewolucjonistka, twarzą jak kamienie nerkowe. A teraz? „Czy pan do mnie mrugnął?” – wrzeszczyła na komisji sejmowej. A jak mrugnął, to co? Kopara opadła, wykopu nie będzie? Już nie walczymy o demokrację, tylko o to, żeby chłop do baby mrugnąć nie mógł? No ludzie złości! To nie moje powiedzonko, tak mi się przypomniało, bo nawet na Wałęsę liczyć nie można. Albo wnuka z aresztu

wyciąga, albo syna na prezydenta w Gdańsku promuje, jakby tam nie było lepszych cwaniaków.

Okropnie to wszystko. Jednak najbardziej rozczarował mnie... Zresztą co ja piszę: „mnie”, skoro nas wszystkich, którzy żeśmy wierzyli, że jak nie ulica, to zagranica... Najmocniej, najgorzej i totalnie, powtórzę, zawiódł nas Onet. Jak można było dać ludziom taką Nadzieję, że nareszcie coś się ruszyło?! Że Biały Dom nie wpuści już ani Dudy, ani Morawieckiego, ani w ogóle nikogo z tej strasznej ekipy, dopóki ci nie zmienią ustawy o IPN (a wiadomo, że by nie zmienili), i że nawet rakiet nam nie sprzedadzą, a może i wojska wycofają, i hamburgery, i coca-colę, i filmów amerykańskich w TVP nie będzie... O tych hamburgerach, coli i filmach to myśmy sobie dośpiewali, ale „sankcje” stały w tekście jak byk! Jak myśmy się cieszyli, jak myśmy pod sufit nierówny skalali, że wreszcie się zaczęło! Ile myśmy ruskich szampanów wydudłali!

A potem jak obuchem w głowę. Jakby ktoś rozpalonym żelazem tego byka w zad potraktował. Wszystko bujda, kłamstwo, pic na wodę z czerskiego sedesu. Żeby chociaż przeprosili fejkerzy zakichani, żeby chociaż głowy zwiesili, „wydmuchali nas jak Olbrychski promile” – żeby powiedzieli. Jakoś by to człowiek zniósł – jak kura jajko złote, chociaż puste. Nic z tych rzeczy. Wolą z ludzi idiotów robić, skoro z siebie już nie mogą. Teraz mówią, że nic takiego nie twierdzili. Oni tylko chcieli zwrócić uwagę na to, że mogłoby tak być, jak napisali, to znaczy nie napisali, gdyby w Białym Domu siedział ktoś inny. Na przykład redaktor Węglarczyk. Igdyby ten Dom nie był Biały, tylko np. Czarno-Czerwono-Żółty. Wtedy to tak. A tak to nie. No skąd... To ja się pytam: skąd? Skąd czerpać nadzieję?

Odpiszcie, błagam. Frans Totalny, Czerska (róg Wiertniczej).

Wielka gra o budżet

Bogaci przeciwko biednym, płatnicy netto przeciwko odbiorcom dotacji. Linia frontu przed walką o kształt siedmioletniego budżetu UE po 2020 r. wydaje się jasno zarysowana.

Projekt nowego budżetu Komisja Europejska ma przedstawić 2 maja. Już teraz wiadomo jednak, że w związku z Brexitem i z koniecznością nakładów na nowe priorytety Unii, jak ochrona granic czy współpraca militarna, będzie brakowało w nim od 15 do 22 mld euro rocznie. Parlament Europejski wezwał państwa członkowskie do zwiększenia wpłat, by polityka spójności i rolna były finansowane na tym samym poziomie co obecnie. Także unijny komisarz ds. budżetu Günther Oettinger chce, żeby stolice wpłacały od 10 do 20 proc. więcej.

Takie kraje jak Holandia, Austria czy Szwecja domagają się jednak cięć. Premier Holandii Mark Rutte podkreślił, że unijny budżet powinien być zdecydowanie mniejszy, ale za to „wydawany w sposób bardziej efektywny”. Litwa, Łotwa, Estonia, państwa Wyszehradu oraz Chorwacja, Rumunia i Słowenia zaś zabiegają o jego zwiększenie.



Nawet gdyby udało się przekonać płatników netto do zwiększenia wpłat (Niemcy np. są do tego gotowe), to i tak w kolejnym budżecie środki dla Polski byłyby relatywnie mniejsze. I należy być na to przygotowanym. To efekt nadrabiania zaległości w rozwoju gospodarczym wobec innych krajów. W kolejnej perspektywie cztery lub nawet pięć polskich regionów przekroczy poziom 75 proc. unijnego PKB, co oznacza dla nich mniejszy udział w funduszach spójności. To Warszawa, ale także woj. dolnośląskie, wielkopolskie, pomorskie i śląskie. Jeśli do tego dojdą cięcia budżetu UE z powodu Brexitu czy finansowania innych priorytetów, pieniądze dla Polski mogą się okazać sporo mniejsze. Według jednych szacunków o 5 proc., a według innych nawet o 30 proc. Do tego dochodzą próby powiązania wypłaty funduszy z praworządnością lub gotowością przyjmowania uchodźców. Takie rozwiązanie forsują zarówno Niemcy, Holandia, jak i Francja.

Jedno jest pewne: walka będzie zacięta i będzie trwała długo. Zapewne aż do końca 2020 r.

Aleksandra Rybińska

RPA oraz Rodezja należały do najbogatszych krajów Afryki, choć oczywiście to prawda, że ich bogactwo budowane było w cieniu apartheidu. Dziś po dawnej Rodezji nie ma śladu, obecne Zimbabwe, gdzie większość białych brutalnie pozbawiono własności, należy do najbardziej zdewastowanych gospodarczo państw świata. Wydaje się, że już wkrótce ten sam los może czekać Afrykę Południową.

27 lutego południowoafrykański parlament przyjął ustawę o wywłaszczeniu bez odszkodowań. Projekt został zgłoszony przez lewicową partię Ruch Bojowników o Wolność Gospodarczą, której lider Julius Malema zapowiedział, że dzięki nowemu prawu „lud odzyska godność bez wypłacania rekompensat dla kryminalistów, którzy skradli nasze ziemie”. Kryminalistami są oczywiście biali farmerzy. Bez znaczenia jest przy tym to, że czarna większość należąca do plemienia Xhosa podobnie jak biali jest ludnością napływową i jeśli ktoś tu komuś ukradł ziemię, to co najwyżej rdzennej ludności buszmeńskiej, której jednak nikt niczego zwracać nie zamierza. Mamy zatem do czynienia

z motywowaną rasowo i ekonomicznie grabieżą.

Dzisiejsza RPA znów staje się państwem apartheidu, tyle że miejsce czarnych zajęli biali. W internecie można odnaleźć wstrząsające reportaże na ten temat, nagrane przez kanadyjską aktywistkę pravicową Laureen Southern. Nie przypadkiem zwróciłem uwagę

RPA

Biali jak Tutsi?

na poglądy pani Southern, lewicowy mainstream nie jest bowiem zainteresowany dramatem białej ludności. To oczywiście jedna z przyczyn milczenia zachodniego świata, który stara się nie dostrzegać rasizmu, jeżeli jego sprawcami są czarni.

W jednym z serii filmów (pod zbiorczym tytułem „Farmlands”) możemy obejrzeć slumsy, w których koczuje biała ludność pozbawiona wszelkiej opieki, w tym medycznej. Powód? Kolor skóry. W innych spotykamy rodziny farmerów broniące się przed

odcięciem ich farm od wody oraz – co znacznie groźniejsze – przed śmiercią z rąk band rabunkowych. Wszystko to dzieje się w obliczu bierności – jeśli nie akceptacji – państwa.

Nic dziwnego, że wielu białych ma dość. Niektórzy wyjechali do Australii i Nowej Zelandii, ale część wróciła, bo nie była w stanie się zaadaptować do nowych warunków. Jak podkreślają, ich domem jest Afryka, stąd pochodzą, są Afrykanerami. Teraz jednak mogą nie mieć wyboru.

Nowy prezydent RPA Cyril Ramaphosa bowiem oświadczył, że przekazanie ziemi czarnym jest jednym z jego priorytetów. Wielu radykałów potraktowało te słowa jako przyzwolenie do rozpoczęcia wojny przeciw białym. I choć Ramaphosa zapewnia, że nie pozwoli na siłowe rozwiązania, nikt w to nie wierzy.

W reportażu Laureen Southern jedna z mieszkanki białych slumsów mówi, że słyszy w radiu zapowiedzi rozprawy z białymi: „Zabić Burów, zabić Burów”. Niebezpiecznie przypomina to Rwandę, gdzie rzeź ludu Tutsi również rozpoczęła się od nawoływania w radiu.

Konrad Kołodziejcki

Rzucił naukę, rzucił kamieniami w policjantów, rzucił wagę i sportowe ciuchy, rzucił pięć żon, rzucił politykę, teraz rzuca uwagi. Na użytek telewizji publicznej ARD, która wygrzebała go z politycznego niebytu, bo może być przydatny.

W końcu w latach 1998–2005 był szefem niemieckiej dyplomacji. Nazywa się Joschka, właściwie Joseph Martin Fischer. Jest przydatny, mówi to, czego rządzącym dziś politykom mówić nie wypada: że jest za Europą dwóch prędkości, że Zachód nie może sobie pozwolić na konflikt między nacjonalistami a internacjonalistami, na powrót do przeszłości, że musi patrzeć w przyszłość, postawić na postęp, który przez takich jak „Orbán, Kaczyński i kilku innych nie jest możliwy”...

Decydującą rolę w kształtowaniu tej przyszłości przez Niemcy i Francję snuł Fischer. Ten obecnie 70-letni dinozaur, kiedyś czerwony, potem zielony, zaczynał karierę na ulicy. W szkole szło mu jak po grudzie, więc zakończył naukę na podstawówce, a ściślej: przerwał gimnazjum, przerwał przyuczanie do zawodu fotografa i wmieszał się w ruchy pokolenia '68. Na życie zarabiał malowaniem krawężników, był taksówkarzem, handlował starociami i tłumaczył z angielskiego pornokomiksy.



Niemcy *Joschka „superstar”*

Z czasem krwawy terroryzm RAF (Frakcji Czerwonej Armii) przestał go bawić i polityczną przystań odnalazł wśród Zielonych. Właśnie z ich ramienia został posłem Bundestagu i szefem resortu ochrony środowiska w heskim rządzie. Wówczas zdobył przydomek „ministra w tenisówkach”, z powodu białych butów Nike, w których odebrał nominację. W Bundestagu zaś zasłynął ze zwrotu do prowadzącego obrady: „Z przyzwoleniem, panie prezydencie, pan jest dupkiem!”.

Odojrzeniu Fischera można pisać książki. Zanim został wicekanclerzem i szefem dyplomacji w czerwono-zielonym gabinecie Gerharda Schrödera, naczytał się Lenina, Marksa, Mao czy Hegla. W jednej z opublikowanych rozmów z czasów kanclerza Helmuta Kohla prosił: „Tylko nie zostawiajcie nas z naszymi generałami”, bo wtedy jeszcze bał się wzrostu politycznego znaczenia i dominacji Niemiec w Europie.

Ale cóż, zdjął pegegi, wzul lśniące półbuty Lloyda, a zlachane dzinsy i koszulki z różnymi napisami zamienił na garnitur Armaniego, i teraz pisze sobie nową historię. Kiedyś uchodził za antysemitę, uczestniczył nawet w konferencji Organizacji Wyzwolenia Palestyny w Algierze, na której domagano się zniszczenia Izraela, ale któż to pamięta. Tak samo jak jego wymianę w Białym Domu propozycję, którą złożył, będąc już szefem MSZ – by Amerykanie jednostronnie rzekli się uderzenia bronią atomową. W Paryżu też mu już zapomniano pouczenie Francuzów ex cathedra, przez co okrzyknięto go nad Sekwaną mianem „szczurolapa”.

No i proszę, jak udowadnia misyjna telewizja publiczna ARD, i dziś Fischer może się do czegoś nadać. Niemcy zwierają szeregi. Bo Niemcy i Francja, bo Zachód, bo Europa, bo ten „nacjonalizm starych ludzi”, jak w jego oczach jawią się de facto młodszy od niego, obrzydliwi „Orbán, Kaczyński i kilku innych”. Joschka Fischer superstar! Troszkę śmiesznie, troszkę strasznie...

Piotr Cywiński

Donbas

Separatyści coraz słabsi

Te wiadomości nie przebijają się w Polsce: oto Ukraina już dawno przestała być słabszą stroną wojny donbaskiej.

Ostatniostało się to widoczne dla wszystkich obserwatorów tego konfliktu. Od miesięcy siły zbrojne Kijowa powoli, lecz i konsekwentnie, wgryzają się w strefę niczyją, pozostawioną przez porozumienia mińskie między linią ukraińską a rosyjsko-separatystyczną. Raczej chodzi o zajmowanie punktów o znaczeniu militarnym, ale nie zasiedlonych. Ostatnio jednak żołnierze ukraińscy zajęli dwie małe miejscowości. Ukraińska artyleria ostrzeliwuje zaś wsie po rosyjskiej stronie frontu.

Nie spotyka się to jak dotąd z kontratakami separatystów. Trochę dlatego, że Moskwa wzięła ich ostatnio na krótką smycz, a Kreml gra nie na intensyfikację działań wojennych, tylko odwrotnie – na ich pacyfikację, petryfikację stanu obecnego albo też wmuszenie Ukrainie przyjęcia „republik ludowych” jako terenów autonomicznych, pełniących funkcję pasa transmisyjnego rosyjskiego wpływu nad Dnieprem. Ale trochę również dlatego, że separatyści są, po prostu, w sensie wojskowym słabi. A Ukraina dobrze wykorzystała czas, który zyskała dzięki porozumieniom mińskim. I dziś jej siły zbrojne są silniejsze niż kiedykolwiek. Podczas gdy separatyści, których już w 2015 r. przed klęską ocaliła tylko bezpośrednia interwencja rosyjska, od tego czasu osłabli.

W dodatku ludność cywilna obszarów separatystycznych jest coraz bardziej zniechęcona panującym tam bezprawiem. A wojskowe sukcesy zniechędzonej „chachłów” jeszcze zwiększają efekt demoralizujący, zmniejszają zaś stopień identyfikacji mieszkańców „republik” z panującymi tam reżimami i ich wojskiem.

Jednocześnie na Ukrainie coraz bardziej depopularyzuje się prezydent Poroszenko, a wybory już za rok. W tej sytuacji pojawia się pytanie, czy rządzących w Kijowie nie zaczyna kusić wznowienie aktywnej wojny, która – można liczyć – spacyfikowałaby antyrządowe nastroje.

Piotr Skwieciński

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Koniec szkalowania Polski!

To zdumiewające, jak na nas, Polaków, rzucają się przeróżne media, środowiska, a nawet państwa z tego jednego powodu, że prostujemy ewidentne kłamstwo o „polskich obozach śmierci”. Jak im zależy, by nas wkręcić w odpowiedzialność za Holokaust, jak się wściekają, że chcemy ukrócić ten kłamliwy PR.

Chwała Bogu nareszcie mamy władzę, która się zdobyła na to, by powiedzieć „stop!”. Kilkadziesiąt lat trwająca akcja przyklejania Polaków do nazistów wzięła w łeb. Wszelkie zastrzeżenia na temat jakości ustawy o IPN, terminu ogłoszenia, dyplomatycznych niezręczności itp. mają być może jakiś urzędniczy sens. Ale co się stało, to się nie odstanie. Polski prezydent, parlament i rząd stanęli po stronie prawdy historycznej. Wszystkich poprzednich rządów od 1989 r. prawda nie obchodziła, tych Mazowieckich, Millerów, Tuszków... Nie obchodziło ich szkalowanie Polski!

Znamy już pierwszy przypadek zastosowania nowej ustawy. Reduta Dobrego Imienia zarzuca kłamstwo portalowi



**Jan
Pietrzak**

w Argentynie. Ktoś w internecie komentuje, że to bez sensu, bo kogo na świecie obchodzi argentyński portal? Otóż to, izraelskiego polityka Lapida bardzo obchodzi. Natychmiast zareagował atakiem na RDI. Tzw. autorytety w gazetach usprawiedliwiają Lapida, że zachowuje się on agresywnie z powodu izraelskich wyborów, co powinniśmy zrozumieć, bo kampania wyborcza ma swoje prawa. Czyli mamy się nie przejmować. Jeżeli tak jest w istocie, tym bardziej musimy się przejąć. Żeby wygrać wybory w Izraelu, należy zepsuć stosunki z Polską? Przewrotna teza. W dodatku psuć te stosunki, przywołując hekatombę zgotowaną nam przez Niemców w czasie wojny, zwanej drugą światową?

Miliony ofiar potwornej okupacji mają służyć wyborczym przepychankom?

Przy okazji, pod uwagę... Przed wojną Polskę zamieszkiwało 36 mln obywateli. Po wojnie 24 mln. Niemcy zamordowali 3 mln Żydów. 7 mln Polaków zamordowali do spółki Niemcy z Rosjanami. 2 mln zostało poza granicami. Jesteśmy w sprawie tej statystyki mocno przewrażliwieni!

Przyjaciele z bazy

Z aktorką **Anną Karczmarczyk** rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Co można oddać „Za marzenia”?

Anna Karczmarczyk: Sądząc po Ani, bohaterce serialu, który pojawił się w poniedziałkowe wieczory w Dwójce, oddać można wiele. Czasem nawet wszystko. Ale najpierw trzeba znaleźć to, o czym się marzy, a później cierpliwie dążyć do celu, nie zważając na potknięcia i trudności.

Czy Annie Karczmarczyk zdarzyło się za marzenia oddać wiele, a nawet więcej?

Nigdy nie miałam marzeń, których spełnienie komuś robiłoby krzywdę albo wymagało niesamowitego poświęcenia, mam jednak marzenia, którym poświęcałam i nadal poświęcam dużo uwagi i czasu.

Z przyjaciółmi pod jednym dachem mieszkała też grana przez panią le-karka ze szpitala w Leśnej Górze?

Tyle że w „Na dobre i na złe” był to dom rezydentów, rodzaj przydziału pracowniczego dla młodych ludzi robiących specjalizację w tym samym szpitalu. Tymczasem Ania, Zosia i Bartek z serialu „Za marzenia” poznali się w czasie studiów. Wspólne mieszkanie to ich baza wylotowa do nowego życia.

Pewnie wiele się dzieje w tej bazie dwudziestokilkulatków?

Oczywiście, ale przede wszystkim chcielibyśmy pokazać ich przyjaźń. Możliwą do spełnienia w tych zabieganych i egocentrycznych czasach. Potrzebną szczególnie w przełomowym okresie, kiedy nie mają już zaplecza uczelni ani rodziców, a trzeba podejmować kluczowe decyzje.



Kto ma prawo do Platona

Od wielu lat powtarzam, że żyjemy w orwellowskim świecie, w którym język i idee zostały fundamentalnie wypaczone. Specjalizował się w tym komunizm, wydawało się więc, że po jego upadku rzeczywistość wróci do normy. Nie wróciła.

Od początku byliśmy uczeni, że odbudowa porządku moralnego, czyli rozliczenie PRL, jest niemoralne, ci, którzy poszukiwali elementarnej sprawiedliwości, kwalifikowani byli jako nienawistnicy, a dekomunizację i lustrację uznawano za łamanie praw człowieka.

To już minione sprawy, chociaż miały one ogromny wpływ na kształt III RP, a teraz odbijają się czkawką w obronie tytułów Jaruzelskiego czy przywilejów ubeków. Główna wojna toczy się obecnie o demokrację i ma globalny charakter.

Na Zachodzie zaczęła się wcześniej i wiązała się z triumfalnym pochodem lewicowych idei wraz z dojrzewaniem i przejmowaniem władzy przez pokolenie kontestatorów. W imię „wolności” narastał terror poprawności politycznej, a z przestrzeni publicznej eliminowane były jakiekolwiek głosy krytyczne wobec nowych dogmatów. Buntownicy przejęli władzę, ale nie mieli zamiaru zdejmować swoich dawnych kostiumów, i z ław rządowych, najwyższych stanowisk społecznych, z pozycji arbitrów oraz dominujących ośrodków opinii głosili swój nonkonformizm i przyznawali sobie zań nagrody.

Lewicowo-liberalna ideologia uznana została za spełnienie europejskich wartości, demokracji i wolności, a establishment zachodni za ich strażników. Nic dziwnego więc, że jeśli narody ośmieliły się wybrać kogoś innego, oznaczało to zamach na wolność i demokrację.

Znamiennym dokumentem tego stanu ducha jest „Praski apel” przyjęty w stolicy Czech w maju minionego roku, a podpisany przez stu kilkudziesięciu intelektualistów, polityków i artystów z całego świata. Pelen patetycznej retoryki („Nie wolno nam milczeć, gdy demokracja jest zagrożona”) jest dziwnie mialki treściowo. Wzywa, aby organizować się przeciwko wrogowi, który jest równie straszny, co nieokreślony. W pierwszym zdaniu apelu czytamy, że atakuje on demokrację, ale w następnych okazuje się, że chodzi o liberalizm.



*Arystokracja to rządy najlepszych,
którzy umieją trzymać na wodzy
swoje namiętności. Ile z cnót
arystokratycznych zachował
obecny establishment?*

Autorzy usiłują nas przyzwyczaić do tego, że liberalizm i demokracja, wbrew definicji i tradycji, mają być synonimami.

Jako egzemplifikacja niebezpieczeństwa w apelu wymienione zostały na początku Rosja i Chiny, a potem w jednym szeregu: Turcja, Węgry, Filipiny i Wenezuela. To zestawienie najlepiej wyjaśnia, o co chodzi w apelu.

Możliwości wpłynięcia ze strony jego sygnatariuszy na status quo Chin czy Rosji, a nawet Turcji czy Wenezueli, są żadne. W wypadku Węgier sprawa ma się już inaczej. W tym kontekście uderza skrajna nieuczciwość zestawienia z rządami Fideszu reżimów, które stosują terror, więżą, a nawet zabijają opozycjonistów. Ale chodzi przecież o wywołanie trwałych skojarzeń, tak jak w wypadku komunistów, którzy długo wszystkich swoich przeciwników kwalifikowali jako faszystów.

Ten skandaliczny zabieg „Praskiego apelu” odsłonił Ryszard Legutko w australijskim piśmie „Quadrant”, a jego analizę kontynuował redaktor „National Review” John O’Sullivan. Wywołało to gwałtowną polemikę jednego z sygnatariuszy apelu, Joshuy Muravchika.

Nie będę zajmował się jego metodami polemicznymi. W kontekście tego, o czym piszę, najważniejsze

jest odwołanie Muravchika do Platona i twórców amerykańskiej konstytucji. Autor „Państwa” rzeczywiście wskazywał niebezpieczeństwa ulegania zmiennej i kapryśnej woli większości i prawdą jest, że ojcowie amerykańskiej konstytucji budowali system, w którym wybory większości ograniczone były przez trwałe normy. Platon był wrogiem demokracji, założyciele Stanów Zjednoczonych kreowali system mieszany, w którym demokracja wsparta jest pierwiastkiem arystokratycznym.

Arystokracja to rządy najlepszych, którzy umieją trzymać na wodzy swoje namiętności i poświęcają się dobru wspólnemu. Ile z cnót arystokratycznych zachował obecny establishment? W rzeczywistości to oligarchia, czyli rządy mniejszości w swoim interesie, mniejszości, która prezentuje mentalność zadufanych paniczek. Dziś to zwykli ludzie przy wszystkich swoich ułomnościach, może dlatego, że nie żyją w szklanej kuli jak przedstawiciele obecnej, zepsutej arystokracji, zachowują więcej zdrowego rozsądku i na nich musimy się oprzeć, aby podjąć wysiłek odbudowy zagubionego porządku naszej cywilizacji.

OGNIEM NA WPROST

Ona oburzona, on przestraszony

Monika Jaruzelska, córka jeszcze generała, święcie oburzona. Nie tyle degradacją taty, ile tym, że prawicowe media robią z niego antysemitę. Ma też swoją teorię na ten temat. „Ustawa weszła w takim czasie, by mogła przysłonić przede wszystkim sprawę polsko-izraelską, która kładzie się cieniem na naszych relacjach ze światem. W związku z tym należało pokazać gen. Wojciecha Jaruzelskiego jako antysemitę” – twierdzi. Po pierwsze, wystarczy zajrzeć do brytyjskiej Wikipedii, żeby się dowiedzieć, co Jaruzelski robił w 1968 r. Cytując: „Za czystkę antysemityczną w wojsku mieli być współodpowiedzialni członek ścisłego kierownictwa resortu obrony, a od 11 kwietnia 1968 minister obrony narodowej generał Wojciech Jaruzelski, który stanął na czele specjalnej komisji, oraz szef Wojskowej Służby Wewnętrznej generał Teodor Kufel”. Współ z Kuflem wydali sześć rozkazów – zawierających 1348 nazwisk – na mocy których usunięto z wojska żołnierzy pochodzenia żydowskiego. Mało tego. Żołnierze ci zostali zdegradowani „z powodu braku wartości moralnych”. Jaruzelski był tak zajadły, że ścigał ich i wydalał jeszcze w 1980 r. Co do antysemityzmu Jaruzelskiego. Mogę panią uspokoić. Nie wiem, czy był antysemitą. W duszy jego nie siedziałem. Ale wiem na pewno, że komuniści wykazywali czysto instrumentalny stosunek do Żydów. Jak była potrzeba, to ich hołubili, a jak takowej nie było – potrafili postawić pod ścianą. Tylko nie wiem, co gorsze.

Jan Tomasz Gross – znany ze swoich wątpliwie historycznych, ale przede wszystkim antypolskich „analiz” – sypał na SB swoich kumpi. Informacją tą podzielił się na antenie Telewizji Republika Antoni Zambrowski. Zambrowski jest synem Romana, który w latach 1947–1955 był członkiem Rady Państwa. Stał najwyższym w komunistycznej hierarchii ze wszystkich rodziców dysydentów aresztowanych po marcowym wiecu w 1968 r. „Połamał się w śledztwie i zeznał – mówi Zambrowski o Grossie. – Wyjechał potem na Zachód i Kuroń z nim porachunku nie miał, a pretensje miał do mnie. Czytałem jego zeznania. On sypał kolegów”. No to teraz w ramach poprawienia swojego wizerunku w oczach

kolegi Adama Michnika rehabilituje się, stosując różne formy szkalowania Polski.



Zycia uchodźców. W Paryżu w restauracji przy Rue Caille (X dzielnica Paryża) między trzema przybyszami ze Sri Lanki doszło do bardzo ostrej wymiany zdań zakończonej użyciem maczety. Efektem działania tzw. ramienia przedłużonego były odcięte dłoń i praktycznie całe drugie ramię. Ponieważ okaleczony właściciel lokalu dalej nie chciał płacić haracz, pobratymcy zdjęli z niego skalp. Nie trzeba chyba dodawać, że obaj mężczyźni uciekli z miejsca przestępstwa i ciągle są poszukiwani przez policję. Jak na razie bezskutecznie. Skądinąd całkiem przypadkiem pojawił się ciekawy temat dla antropologów. Należałoby zbadać, jak techniki okaleczania stosowane przez Indian z Ameryki Północnej trafiły aż na Sri Lankę? Tylko najpierw trzeba ich złapać.

Pewien emerytowany profesor Instytutu Historycznego PAN w obszernym tekście umieszczonym na jednym z portali publicystycznych zachęca do „kablowania”. „Wypada więc tu podziękować naszym europosłankom, paniom Danucie Jazłowieckiej, Róży Thun, Julii Piterze, Barbarze Kudryckiej, Danucie Hübner, i panu Michałowi Boniemu za głosowanie za dobrze rozumianym interesem naszej ojczyzny, zaś panu komisarzowi Fransowi Timmermansowi za mądrą obronę prawdziwych, a nie lukrowanych interesów Polski i Polaków” – uprzejmie donosi emerytowany profesor. Powodem denuncjacji, jak twierdzi, jest jego paniczny strach, bo „[...] możemy dostać się pod buty patriotycznej młodzieży, jak to miało miejsce 11 listopada 2017 r. na parafaszystowskiej manifestacji nazywającej się Marszem Niepodległości [...] Ale też – na razie na niby – możemy zostać powieszeni przez prawdziwych patriotów” – alarmuje. Czemu tak się boi patriotycznej młodzieży pan profesor? Czyżby „kablowanie” weszło mu w krew jeszcze za czasów komunizmu? „Nie ma co się ludzić – kończy swoje wywody emerytowany profesor – w Polsce mamy do czynienia z rozwijającym się faszyzmem”.

Andrzej Rafał Potocki

Oblicza PRL

Palac Kultury i Nauki w Warszawie budzi kontrowersje wśród Polaków, poczynając od zainicjowania jego budowy. „Dar narodów radzieckich dla narodu polskiego” wzniesiony w latach 1952–1955, którego pomysłodawcą był sam Józef Stalin, wtopił się jednak skutecznie w architekturę stolicy i został przez gros ludzi oswojony jako nieszkodliwy, wręcz atrakcyjny relikw PRL, przyćmiewający nieludzkie oblicze dawnego reżimu, stanowiąc namacalny dowód na pozytywne 50 lat zniewolenia od ZSRR. Na oficjalnej stronie internetowej PKiN napisano, że jest najwyższym budynkiem w Polsce, wspomniano, kto był jego pomysłodawcą, przedstawiono najbardziej podstawowe historyczne dane. Niewspółmierną uwagę w porównaniu z kilkoma najbardziej podstawowymi faktami z dziejów budynku poświęcono ciekawostkom z nim związanym, a w szczególności zamieszkującym go od samego początku kotom, sokołom oraz miejskim pszczołom. Dla większości młodych ludzi nieznana pozostaje idea przyświecająca budowniczym tego monumentalnego gmachu (przeniesienie serca Warszawy z pl. Zamkowego na pl. Defilad), a także okoliczności jego wzniesienia, które wiązały się z likwidacją istniejącej jeszcze po wojnie secesyjnej zabudowy ulic Chmielnej, Złotej, Siennej, Śliskiej, Pańskiej, Zielnej i Wielkiej.

PKiN po 1989 r. przez wiele lat dominował jako wizytówka Warszawy, przyćmiewając odbudowany po wojnie Zamek Królewski. Charakteryzował Warszawę przede wszystkim jako miasto postkomunistyczne, niejako oderwane od swojej wielowiekowej historii, a ponadto za sprawą tworzonego wokół budynku pozytywnego piaru pozwalał najmłodszym pokoleniom kojarzyć PRL jako być może z dzisiejszej perspektywy dziwną, ale w każdym razie z pewnością nie mroczną epokę.

Odkrywana w ostatnich latach szerokiej opinii publicznej historia Żołnierzy Wyklętych, działań komunistycznych władz po zakończeniu II wojny świato-



**Marta
Kaczyńska**

*Dla większości młodych
ludzi nieznana pozostaje
idea przyświecająca
budowniczym PKiN*

wej wymierzonych przeciwko polskim patriotom ukazuje, czym w istocie była Polska Rzeczpospolita Ludowa. Uzmysławia, że reliktem tej epoki nie są wyłącznie szpecące przestrzeń, ale powszechnie akceptowane obiekty budowlane, takie jak PKiN, lecz przede wszystkim zbrodnie popełnianie na polskim narodzie. Że lata 50. XX w., w których Józef Stalin postanowił podarować nam Pałac i zmienić oblicze Warszawy, powinny pozostać w naszej pamięci historycznej przede wszystkim jako czas, w którym w wielu piwnicach

stolicy funkcjonowały katownie bezpieki naznaczone nieludzkim cierpieniem Polaków walczących o suwerenną Polskę.

Pełnej świadomości na temat dziejów powojennej Polski służy udostępnienie zwiedzającym takich miejsc jak zlokalizowany w piwnicach Ministerstwa Sprawiedliwości areszt śledczy, który działał w okresie 1945–1954. W otwartym 1 marca muzeum zachowano oryginalne nieogrzewane cele bez okien, w których więźniowie byli przetrzymywani i torturowani. Wspomniane miejsce jest naznaczone cierpieniem tysięcy ofiar. Najbardziej znanymi spośród przetrzymywanych byli gen. Emil Fieldorf ps. Nil, Juliusz Bogdan Deczkowski ps. Laudański, Henryk Kończykowski ps. Halicz. W podziemiach ministerstwa można także zobaczyć wystawę zatytułowaną „Cele bezpieki”, która opisuje historię sprzeciwu wobec narzuconemu Polsce totalitaryzmowi. Areszt przy Alejach Ujazdowskich to kolejne miejsce, obok powołanego w 2016 r. i mieszczącego się przy ul. Rakowieckiej Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL, które pozwala w pełni zobrazować naszą historię i powinno się znaleźć na trasie wycieczek po Warszawie – najlepiej na chwilę przed lub tuż po wizycie w obleganym przez turystów PKiN.



Szczerze wyrazy głębokiego współczucia dla

Ani Wolf

z powodu śmierci

BABCI

składają

koleżanki i koledzy z tygodnika „Sieci”

Aplikacja motywacja

Aplikacja, która nagradza studentów za nieużywanie własnego smartfona, zrobiła furorę na uniwersytetach w Danii, Norwegii i Szwecji. Teraz wchodzi do Wielkiej Brytanii. Aplikację opracowali sami studenci, którzy spotkali się na Copenhagen Business School. Wszystko po to, aby rozwiązać problem rozpraszania uwagi młodych ludzi przez urządzenia. Okazało się, że szczególnie dotkliwe jest to dla studentów, którzy chcą się uczyć, ale nie mogą, bo cały czas sięgają po telefon. Studenci w aplikacji zbierają punkty. Za każde 20 min nieużywania telefonu dostaje się 10 pkt. Naliczane są one między godz. 7 a 23. Zebrane punkty można wymienić na nagrody. Np. dwie kawy to równowartość 10 godz. bez smartfona. W dwie godziny można zarobić na popcorn w kinie. Punkty można też oddać na konto UNICEF, który zakupi materiały edukacyjne i przekaże do potrzebujących szkół. Za chwilę potrzebna będzie aplikacja, która zmusi studentów do snu, bo żeby zdobyć punkty w aplikacji Hold, będą korzystać z telefonów wyłącznie w nocy.



292,1 tys.

– tyle osób w styczniu skorzystało z urlopów dla rodziców – 274,8 tys. kobiet oraz 17,3 tys. mężczyzn.

6 min

– o tyle spowolniły od stycznia zegary w Europie. Okazuje się, że nie jest to wada pojedynczego urządzenia. Wszystkiemu winny jest wcześniej niespotykany spadek częstotliwości prądu elektrycznego zasilającego zegary.

25 proc.

– o tyle ma się zmniejszyć liczba wiceministrów w rządzie Mateusza Morawieckiego.



Nieżyty gad

Pewien bankowiec z Teksasu czuł, że jest smokiem uwięzionym w ciele człowieka. Postanowił więc wydać 200 tys. zł na to, by stać się smokiem. Teraz wreszcie czuje się sobą, ale planuje kolejne operacje. Zanim jednak bankowiec stał się gadem, został kobietą. A było to tak. Eva Tiamat Medusa z Teksasu urodziła się jako mężczyzna, ale jako Richard nie czuła się sobą. W 1997 r. była jeszcze odnoszącym sukcesy w bankowości gejem, gdy zdiagnozowano u niej wirusa HIV. 56-letnia dziś Eva zaczęła się wówczas przeobrażać. Jak podaje Ibtimes.co.in, zmieniła płeć i gatunek. Richard przeistoczył się w Ewę, a ta w smoczyce. Na następne zabiegi, które doprowadzą jej ciało do smoczej perfekcji, kobieta smok zamierza przeznaczyć kolejne 40 tys. A mi nie daje spokoju pytanie: gdzie pracują smoki i skąd biorą pieniądze na przeobrażanie się?



Wielka emigracja

Podobno przez Francję przechodzi nowa fala antysemityzmu. Tylko w 2016 r. kraj ten miało opuścić ok. 5 tys. Żydów, którzy wyemigrowali do Izraela. Czy ktoś coś słyszał o odradzaniu się faszyzmu we Francji? Nie? No właśnie.

Asymilacja

Niemiecka stacja Spiegel TV wyemitowała dokument o 32-letnim Ahmedzie, uchodźcy z Syrii, który mieszka w Niemczech. Autorzy programu chwalili rodzinę Ahmeda, składającą się z... dwóch żon i szóstki dzieci (siódme jest w drodze). Chociaż poligamia jest w Niemczech zakazana, mężczyzna dostał zgodę na sprowadzenie swoich dwóch żon. Zamierza także sprowadzić trzecią. Mężczyzna chce mieć 10–20 dzieci i kolejne żony. Widać, że proces asymilacji przebiega bez przeszkód. Niemcy asymilują się do islamu w zastraszającym tempie.



”

Jeśli Amerykanie nie otworzą oczu tym wstającym od dwóch lat z kolan dyplomatolkom, to będzie katastrofa. Zachęcam inne kraje do podobnych czynów. Z tymi rządzącymi Polską nie należy utrzymywać kontaktów – zachęcał na FB do izolacji Polski Lech Wałęsa. A ja mam wrażenie, że dla wszystkich, w tym dla niego, lepiej by było, gdyby były prezydent sam się wyizolował. Nikt nie szkodzi Wałęsie tak jak Wałęsa.

Zombie?

Australijka Amy Louise z Brisbane postanowiła uczcić pierwsze urodziny swojego syna niecodzienną sesją fotograficzną. Na zdjęciach Phoenix ma ufarbowane na czerwono włosy, jego ubranie również zostało pochłapane kolorową farbą. Dziecko ma także specjalny makijaż, a obok niego znajduje się urodzinowy tort, który przypomina ludzki mózg. Chłopiec wygląda, jakby go zjadał. Po skali hejtu, która wylała się w sieci na pomyslową matkę, kobieta zdradziła, skąd wzięła pomysł. Otóż, gdy Amy była w ciąży, dowiedziała się, że dziecko nie przeżyje, bo jego serce nie funkcjonuje prawidłowo. 31 października lekarze stwierdzili jednak, że chłopiec jest całkowicie zdrowy. To dlatego świętując pierwsze urodziny, matka przygotowała dla chłopca tort z motywem zombie. „On cudownie ożył w Halloween, dlatego każdego roku chcemy uczcić ten dzień w specjalny sposób. Nazywamy Phoenixa naszym małym zombie. Zrobiliśmy tę sesję fotograficzną, aby pokazać nasze i jego emocje” – tłumaczyła kobieta. Był tylko syn nie wierzył, że jest zombie, bo to może się źle skończyć dla pomyslowej mamy.



Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x3), facebook.com/TamaraLejonaMedusa, Spiegel TV

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Wróg jest nagi

Teatr postanowił wystawić sztukę pt. „Wróg – instrukcja obsługi”. W ramach przygotowań rozesłano do szkół podstawowych prośbę, aby dzieci narysowały, jak wyobrażają sobie wroga. I dzieci narysowały: uchodźców, terrorystów, Niemców i Rosjan.



**Dominik
Zdort**

To nie spodobało się „Gazecie Wyborczej”. No bo jak można za wroga uważać uchodźcę, Niemca czy Rosjanina? Terrorystę jeszcze można by jakoś wybaczyć, choć to też postać raczej wymagająca zrozumienia, solidarności i opieki niż potępienia – szczególnie jeśli to terrorysta islamski.

Najbardziej oburzające jest jednak, że takich właśnie wrogów wskazują dzieci! Jak to możliwe, że szkoła nie nauczyła maluchów sympatii do Niemców i Rosjan? Dlaczego nie przekonała do tego, że uchodźcy to mili ludzie?

Chyba że to dobra zmiana ukradkiem umieściła w podręcznikach do podstawówki fałszywe informacje, że Niemcy rozpętali wojnę z Polską, a wsparli ich sowieccy Rosjanie. To dobra zmiana doprowadziła do gospodarczej kolonizacji III RP przez RFN, to dobra zmiana spowodowała agresję Rosji na Krym i wschodnią Ukrainę...

Ale gdzie byli wtedy rodzice? Przez lata edukowani przez „Wyborczą” powinni w chwili próby stanąć na wysokości zadania. Przecież duża część z nich, zapytana oficjalnie przez dziennikarza z ulicy Czerskiej albo pracownika firmy badającej opinię publiczną, odpowiedziałaby najpewniej, że kocha Niemców i Rosjan, że nie obawia się uchodźców...

Co innego jednak się odpowiada, gdy pyta dziennikarz lub ankietier, a co innego mówi się w domu dzieciom. Tym pierwszym mówi się to, co chcą usłyszeć, a dzieci chce się dobrze wychować, wskazać im, kto jest naprawdę niebezpieczny, z której strony może nadejść zagrożenie, kogo należy uważać za wroga.

Teatr oraz przeróżni aktywiści już zapowiedzieli pranie mózgów dziecięcych rysowników – już prowadzona jest wielka akcja wmawiania, że Niemiec, Rosjanin i uchodźca to nasi wielcy przyjaciele. Doradziłbym: lepiej powsadzać do ośrodków reedukacyjnych rodziców. Najlepiej wszystkich rodziców w Polsce.

Bo rysunki odesłane przez dzieci na konkurs rozpisany przez teatr mają znacznie większą wartość niż jakikolwiek sondaż robiony wśród dorosłych. Dzieci nie kalkulują, politycznej poprawności się nie kłaniają. Nie wiedzą, że nie wypada, że trzeba być dyplomatycznym. Mają odwagę powiedzieć wprost: król jest nagi. A wrogami Polski są Niemcy, Rosjanie i uchodźcy.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

RZECZY POSPOLITE

Roztargnienie

Trudny to kawałek chleba – bycie sędzią. Co chwila się czepiają. Powiedzmy Bogu ducha winny sługa Temidy przez roztargnienie zabierze z lady sklepowej 50 zł – zaraz wybucha afery i się pismaki rozpisują. Dobrze, że wyższe sędziowskie instancje potrafią takie zagarnięcie usprawiedliwić roztargnieniem. A przecież wiadomo, że roztargnienie może się przytrafić każdemu – o, dajmy na to taki Kwinto to z roztargnienia razem z Duńczykiem weszli do siedziby banku i przez efekt zamyślenia oraz ogólnego braku koncentracji wynieśli z niego parę toreb z pieniędzmi. Widać, że nawet przed wojną były problemy ze skupieniem się na robocie.

Ciekawe, dlaczego akurat w zawodzie sędziowskim roztargnienie bywa aż nazbyt często powodem różnych nieporozumień. Weźmy sędziego boiskowego. Ten to dopiero ma trudną robotę: musi ganiać z gwizdkiem w zębach i pokazywać kartki za marne grosze. Roztargnienie sprawia, że przy okazji popełnia błędy. Na przykład nasz eksportowy Szymon Marciniak,



**Tomasz
Łysiak**

który dał się poznać z dobrej strony zarówno w lidze polskiej, jak i w Lidze Mistrzów, na zmianę dyktując i nie dyktując karnych według przyjętego przez samego siebie i przez nikogo niezgłębianego do końca systemu. Najprawdopodobniej wszystko się dzieje przez owo fatalne „roztargnienie”. I tak nasz arbiter nie podyktował karnego dla Juventusu w sytuacji, w której Douglas Costa został w polu karnym ścięty przez gracza Tottenhamu jak, za przeproszeniem, gryziony kornikiem drzewostan Puszczy Białowieskiej piłą leśnika...

Tymczasem na „boisku politycznym” wystąpił Grzegorz Schetyna. Po tym, jak premier Morawiecki zawiózł do Brukseli „białą księgę” o reformach sądów, zaczął opowiadać o tym, że niezawisłość sądów w Polsce jest „maltretowana”... Zupełnie tak, jakby zaczął nagle bronić Marciniaka i próbował przekonać świat, że nie wolno się czepiać ani „maltretować sędziego”. W końcu takie rzeczy jak niedyktowanie ewidentnego karnego to nic złego. Zdarza się. Przez roztargnienie...

G... prawda

Jak różnicował w „Historii filozofii po góralsku” ks. Tischner, „są trzy prawdy: święto prawda, tys prawda i gówno prawda”. Portal Onet wrzucił na internetowe łamy swój g... news, jakoby prezydent i premier Polski zostali uznani przez Biały Dom za persona non grata oraz że z powodu ustawy o IPN poniesiemy różne konsekwencje. I się zakotłowało, aż Departament Stanu musiał prostować, że rewelacje springerowskiego Onetu to „g... prawda”. Ale co poszło w świat, to poszło. Informację tego polskojęzycznego portalu powielił nawet „Jerusalem Post”, w oryginale: „Report: Polish president not welcome at White House over Holocaust law”. Załapał się na nią także nasz mędrzec, noblista pokojowy, ten od nowego przewrotu kopernikańskiego, który „nie ma pretensji do Słońca, że się kręci wokół Ziemi” i który w chwili upadku komuny „zrobił zwrot o 360 stopni”...

„Polacy, czy nic się nie stało? Kaczyński wszystkich może robić w konia ale nie USA. Brawo!! Na naszych przyjaciół z drugiej strony Atlantyku zawsze można liczyć” – napisał Waleśa na Facebooku, cytując wiernie. I dalej, że „trzeba być głupkiem”,

żeby tak „grac”, „zachęcam inne kraje do podobnych czynów. Z tymi rządzącymi Polską nie należy utrzymywać kontaktów”, zaapelował. Internet to potęga! Można się na nim wyfejsbuczyć do woli, wyhejtować, ile wlezie, i wytwittować, co komu leży na żołądku. Są tacy, którzy czekają na takie g... prawdy, a nawet je powielają. Szefowa pewnej partii z dolnej strefy stanów niskich, Lubnauer ta pani się nazywa, a partia Nowoczesna inaczej, nie „kupczy”, jak sama wytwittowała, co jej leży, bo ma świadomość, że „patriotyzm to dbanie o interesy i bezpieczeństwo kraju. Większość Polaków chce czuć się bezpiecznie i cieszyć z międzynarodowych sojuszy!”, wyłożyła „tys prawdę”. W trosce o te interesy i uciechę pojechała ostatnio nawet do Brukseli, żeby spotkać się z innymi zatroskanymi.

Kto nie dba o własne interesy, niech pierwszy rzuci kamień. Można by sądzić, że to jakiś mądry pisowski strateg podrzucił Onetowi tego g... newsa o amerykańskich sankcjach wobec naszego prezydenta i premiera, właśnie po to, żeby się zakotłowało i żeby w imię „święto prawdy” mieć podstawę do zrealizowania repolonizacji obcych mediów, które również dbają... Ale niestety i to „g... prawda”.



**Piotr
Cywiński**

Wesprzyj budowę Pomników

Komitet Społeczny Budowy Pomników: śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego oraz Ofiar Tragedii Smoleńskiej 2010 r. prowadzi zbiórkę publiczną na pokrycie kosztów związanych z powstaniem monumentów.

W skład komitetu wchodzi m.in. prezes PiS Jarosław Kaczyński, bliscy i krewni ofiar tragedii smoleńskiej, premier, wicepremierzy, marszałkowie Sejmu i Senatu oraz wiele znanych i cenionych postaci życia publicznego.

Serdecznie zachęcamy naszych Czytelników do finansowego wsparcia tej inicjatywy, której celem jest godne upamiętnienie w sercu Warszawy śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego i osób, które towarzyszyły mu w tragicznym locie do Smoleńska.

Poniżej prezentujemy wzór przelewu, za pomocą którego można przekazać pieniądze Społecznemu Komitetowi. Pieniądze można też przelać na podane niżej konto.

Z góry dziękujemy, Redakcja tygodnika „Sieci”

nr rachunku odbiorcy
35 1540 1287 2216 5879 7578 0001

odbiorca:
KOMITET SPOŁECZNY BUDOWY
POMNIKÓW: ŚP. PREZYDENTA
RP LECHA KACZYŃSKIEGO
ORAZ OFIAR TRAGEDII
SMOLEŃSKIEJ 2010

nazwa odbiorcy:
KOMITET SPOŁECZNY BUDOWY POMNIKÓW: ŚP. PREZYDENTA RP

nazwa odbiorcy od:
LECHA KACZYŃSKIEGO ORAZ OFIAR TRAGEDII SMOLEŃSKIEJ 2010

nr rachunku odbiorcy
35 1540 1287 2216 5879 7578 0001

woluta PLN **kwalifikacja** WP **kwalifikacja** PLN

nr rachunku zlecającego (przelew) / kwota słownie (wpłata)

nazwa zlecającego

nazwa zlecającego od

tytułem
DAROWIZNA NA BUDOWĘ
POMNIKÓW: ŚP. PREZYDENTA RP
LECHA KACZYŃSKIEGO ORAZ
OFIAR TRAGEDII SMOLEŃSKIEJ
2010 W WARSZAWIE

tytułem od
KACZYŃSKIEGO ORAZ OFIAR TRAGEDII SMOLEŃSKIEJ 2010 W WARSZAWIE

06

Opłata:

pieczęć, data i podpis(z) zlecającego



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARŃOWSKI
ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
PIOTR SKWIECIŃSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI (BERLIN),
LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOLEK,
WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ
GÓRNY, KRYSZYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ,
STANISŁAW JANEK, JACEK KARŃOWSKI, MICHAŁ KARŃOWSKI,
KONRAD KOŁODZIEJSKI, PAWEŁ KORSUN, GRZEGORZ
KOSTRZEWA-ZORBAS, Cezary KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE,
DOROTA LOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI,
ROBERT MAZUREK, MAJA NARBUT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ
PAWLICKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK
PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ANNA SARZYŃSKA,

PRZEMYSŁAW SKRZYDLECKI, PIOTR SKWIECIŃSKI, WOJCIECH
STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIELIK, EWA WESOŁOWSKA, MARCIN
WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, IGOR ZALEWSKI, PIOTR ZAREMBA,
RAFAŁ ZAWISTOWSKI, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WÓSKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR,
JOANNA MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTODYSCJA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA ŁABECKA, ANNA.LABECKA@FRATRIA.PL,
MATEUSZ ŻELNIK, MATEUSZ.ZELNIK@FRATRIA.PL
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS



WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
**UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA**
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, **WWW.WSIECIprawdy.pl**,
PRENUMERATA@FRATRIA.PL

**WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY
DOKONYWAĆ NA KONTO:**

91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
**FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA**
**W TYTUŁE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE
ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ
PRENUMERATY**

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI
PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ
BEZPOŚREDNIO NA STRONIE **WWW.PRENUMERATA.
RUCH.COM.PL**.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA
ADRES E-MAIL: **PRENUMERATA@RUCH.COM.
PL** LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI
KLIEN'TA „RUCH” POD NUMERAMI: 22 693 70 00
LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.
DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
NAKLAD: 113 143 EGZ.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – **KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL**

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00

TOMASZ DĄBROWSKI, TOMASZ.DĄBROWSKI@FRATRIA.PL
PAULINA KĄKOL – MENEDŻER DS. REKLAMY
PAULINA.KĄKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – MENEDŻER DS. REKLAMY
WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

**REDAKCJA ZASTRZEŻA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW.**
COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).



FOT. NA OKŁADCE: EVERETT COLLECTION/EAST NEWS, WOJCIECH KLUBIK/EAST NEWS,
ANDRZEJ WIKTOR, SHUTTERSTOCK (43), GULIO NAPOLITANO/SHUTTERSTOCK.COM



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

„Ultimatum”, „persona non grata” i „zakaz wjazdu”, a wreszcie „sankcje” – żadne z tych stwierdzeń nie pada w dyplomatycznej notatce opisywanej przez Onet.pl, ale właśnie takimi słowami naszpikowany był tekst o rzekomym kryzysie w relacjach polsko-amerykańskich na najwyższym szczeblu. Zadanie wykonano, kolejne media powtarzały kłamliwe stwierdzenia, nawet gdy przyszło oficjalne dementi Departamentu Stanu USA

WIADOMOŚCI

KRAJ ŚWIAT **TYLKO W ONECIE** POLITICO POGODA PROGRAM TV REGIONALNE

WIADOMOŚCI TYLKO W ONECIE

Amerykańskie sankcje wobec polskich władz

ANDRZEJ GAJCY I ANDRZEJ STANKIEWICZ 5 mar, 23:01

FACEBOOK 21,3 tys.

TWITTER 0

E-MAIL

KOPIUJ LINK

771 KOMENTUJ

Prezydent Andrzej Duda i premier Mateusz Morawiecki nie mają szans na wizytę w Białym Domu. Amerykanie wprowadzili szczególne sankcje wobec polskich władz - do czasu przyjęcia zmian w ustawie o IPN prezydent ani wiceprezydent USA nie będą się z nimi spotykać. Onet dysponuje dokumentami, które to potwierdzają.

Foto: Radek Pietruszka / PAP

Choć rząd robi dobrą minę, relacje z USA od lat nie były tak napięte

- To brutalne ultimatum zostało sformułowane przez wysokiej rangi oficjeli amerykańskich na spotkaniach z polskimi dyplomatami
- Kluczową postacią był Wess Mitchell, jeden z najbliższych współpracowników szefa dyplomacji USA. On mówił najostrzej
- Poza nieformalnym uznaniem polskich liderów za „persona non grata” w Białym Domu, Amerykanie grożą też blokadą finansowania wspólnych projektów wojskowych
- Ostrzegają jednocześnie, że jeśli polska prokuratura zacznie ścigać na podstawie ustawy o IPN jakiegokolwiek obywatela USA, to skutki będą „dramatyczne”

Dziennikarze Onetu zdobyli dokumenty pokazujące potężny kryzys w relacjach polskiego rządu z Amerykanami wywołany przyjęciem ustawy o IPN. Choć rząd oficjalnie robi dobrą minę do złej gry, to lektura owych dokumentów pokazuje jasno: w ciągu ostatniego ćwierćwiecza relacje z USA nie były tak napięte.

Już sam tytuł informacji w portalu Onet.pl miał zmrozić czytelników

Orkiestra fake newsów

Dalecy jesteśmy od piętnowania dziennikarzy tylko za to, że ujawniają informacje objęte klauzulami i dodatkowo niewygodne dla polityków. To esencja tego zawodu. Tym razem chodzi jednak o coś więcej. Sensacyjny sposób podania w portalu Onet.pl szczegółów notatek z polskiej ambasady w Waszyngtonie miał być jak pierwszy kamień, który wywoła potężną lawinę fake newsów wymierzonych w polski rząd. I udało się, bo rezonans, jaki chwytliwym, choć nieprawdziwym hasłem nadały kolejne redakcje, był naprawdę potężny. Można powiedzieć, że to była klasyka manipulacji, jakby żywcem wyjęta z literatury szpiegowskiej. Vladimir Volkoff w doskonałej książce „Montaż” opisywał realia pracy sowieckiego agenta wpływu w paryskim świecie wydawniczym, czyli tzw. kręgach opiniotwórczych. Aleksander Psar od czasu do czasu podrzucał wygłodniałym pismakom jakiś smakowity kęs i czekał. Był pewien, że informacja się rozejdzie, bo wcześniej dobrze zainwestował w zbudowanie tzw. orkiestry, czyli grupy dziennikarzy, którzy w przewidywalny sposób zareagują na rozpuszczane przez niego „sensacje”.

SŁOWA BEZ ZNACZENIA?

Sam tytuł informacji w portalu Onet.pl miał zmrozić czytelników: „Amerykańskie sankcje wobec polskich władz”. W kolejnym zdaniu podkreślano tryb dokonany: „Amerykanie wprowadzili sankcje”. Dziś wiemy, że tekst powstał na podstawie notatki sporządzonej w polskiej ambasadzie w Waszyngtonie po spotkaniu z trojgiem wpływowych polityków: Molly Montgomery, specjalną doradczynią wiceprezydenta USA Mike’a Pence’a do spraw Europy i Rosji, Thomasem K. Yazdgerdim, który jest odpowiedzialny w Departamencie Stanu za kwestie dotyczące Holokaustu, i Wessem Mitchellem, jednym z najbliższych współpracowników szefa dyplomacji USA Rexa Tillersona. To ten ostatni miał być najbardziej napastliwy wobec strony polskiej. Portal nie publikuje źródłowej notatki (jest ona zastrzeżona), ale szeroko ją opisuje. Warto przytoczyć obszernie fragmenty artykułu, by dokładnie zrozumieć, jak ta intryga została utkana. „Prezydent Andrzej Duda i premier Mateusz Morawiecki nie mają szans na wizytę w Białym Domu. Amerykanie wprowadzili szczególne sankcje wobec polskich władz – do czasu przyjęcia zmian w ustawie o IPN prezydent ani wiceprezydent USA nie będą się z nimi spotykać” – czytamy. I dalej: „To brutalne ultimatum zostało sformułowane przez wysokiej rangi oficjeli amerykańskich na spotkaniu z polskimi dyplomatami”. Z każdym kolejnym zdaniem robi się coraz bardziej dramatycznie: „Poza nieformalnym uznaniem polskich liderów za »persona non grata« w Białym Domu Amerykanie grożą też blokadą finansowania wspólnych projektów wojskowych”.

„Słowa »ultimatum«, »persona non grata« i »zakaz wjazdu« tam nie padają. To nasza interpretacja” – przyznał jeden z autorów tekstu opublikowanego w Onecie

Dwa dni po publikacji artykułu jeden z jego autorów, Andrzej Stankiewicz, w rozmowie z „Super Expressem”: „Wyjaśniam, bo jesteśmy już za to atakowani przez PiS: słowa »ultimatum«, »persona non grata« i »zakaz wjazdu« tam nie padają. To nasza interpretacja”.

Takie wyjaśnienie niewiele jednak zmienia w rzeczywistości gigantycznej burzy medialnej, którą już wtedy szalała w kolejnych mediach. Orkiestra grała na całego. Tytuł na pierwszej stronie „Gazety Wyborczej”: „Biały Dom: TYCH PANÓW NIE PRZYJMujemy” i fotografie polskiego prezydenta oraz premiera. „Dudy i Morawieckiego nie przyjmujemy dopóty, dopóki Polska nie wycofa się z grożącej cenzurowaniem mediów i badaczy nowelizacji ustawy o IPN. Amerykańscy dyplomaci otwarcie sformułowali to ostrzeżenie” – czytamy. A więc już mamy pierwsze wzmocnienie przekazu Onetu (jest mowa o „otwartym sformułowaniu ostrzeżeń”) z domieszką nieprawdy – ustawa wyłącza z karaniania badaczy naukowych.

W „Gazecie Wyborczej” sprawę komentuje jeszcze jeden solista, były ambasador RP w USA Ryszard Schnepf: „[...] trudno sobie w tej chwili wyobrazić, by USA zaczęły wycofywać z Polski żołnierzy. Ale spór może eskalować, a wtedy nawet taka opcja wydaje się niewykluczona”. Zdumiewające. Cóż to bowiem znaczy, że „opcja wydaje się niewykluczona”? Tym bardziej że groźba zerwania sojuszu wojskowego z Ame-

rykanami nawet w artykule Onetu postawiona jest w nader mglisty sposób, bo dziennikarze piszą tylko o odnotowanych przez stronę amerykańską „nastrojach antypolskich w Kongresie, który zgadza się na finansowanie operacji wojskowych”.

Zadziwiająco mało zestrojona z resztą grajków w tym zgielku wydaje się telewizja TVN. W „Faktach” usłyszeliśmy, że prezydent, premier i szef MSZ spotkali się i rozmawiali o newsie Onetu. „[...] tu chodzi o ostrzeżenie, które wydała strona amerykańska, która stwierdza, że jeśli nie będzie zmian

w tej znowelizowanej już ustawie o IPN, to wówczas zostaną zablokowane kontakty między polskim prezydentem, premierem a amerykańskim prezydentem i wiceprezydentem”. Dzień później, już po zdementowaniu informacji przez Biały Dom, słowa dobierano zdecydowanie ostrożniej, ale najważniejsza kwestia była solidnie ukryta w środku materiału. „Nie ma mowy o wprowadzeniu jakichkolwiek sankcji, bo to w dyplomacji broń atomowa zarezerwowana na czas potężnego konfliktu. Jest natomiast dyskretnie wywieranie presji na polskie władze, by przez jedną ustawę nie stawiać na szali kluczowych relacji. To bardzo delikatna metoda, ale jasna dla obu stron”.

DEMENTI NIE WYSTARCZA

Rzecznik Departamentu Stanu Heather Nauert zareagowała na rewelacje Onetu dosyć szybko. Pytana o publikację na

konferencji prasowej powiedziała, co nie jest zaskoczeniem dla Polski, że Stany Zjednoczone mają „wątpliwości” co do nowelizacji ustawy o IPN, ale kategorycznie dodała też, że nie ma mowy o ograniczeniu współpracy militarnej z Warszawą. „Wszelkie doniesienia o zawieszeniu współpracy dotyczącej bezpieczeństwa czy dialogu na najwyższym szczeblu są po prostu nieprawdziwe. Polska jest bliskim sojusznikiem z NATO, to się nie zmieniło i tak pozostanie” – powiedziała. Dziennikarze Onetu później próbowali zmącić obraz, twierdząc, że Waszyngton nie odniósł się do tego, o czym pisali (np. o zakazie spotkań z najwyższymi polskimi urzędnikami), ale powyższa wypowiedź Nauert jest praktycznie niemożliwa do innej interpretacji. Warto zaznaczyć dwa fragmenty tego oświadczenia. Jeśli pada stwierdzenie o „dialogu na najwyższym szczeblu”, to chodzi właśnie o kontakty z prezydentem i premierem, bo trudno o wyższy szczebel. Po drugie, dementi jest naprawdę stanowcze, rzeczniczka użyła słów: „simply false” (tłum. po prostu fałszywe), nie ma tu pola do innego zrozumienia amerykańskiego stanowiska.

Zupełnie odrębną kwestią jest to, że polska ani amerykańska dyplomacja nie planowały w najbliższym czasie spotkań prezydentów, premiera ani sekretarza stanu. Na nieco niższym szczeblu rozmowy się toczą, z wizytą w Stanach Zjednoczonych w ostatnich dniach byli szef gabinetu prezydenta RP Krzysztof Szczerski i wiceminister spraw zagranicznych Marek Magierowski. I nikt ze strony polskiej nie ukrywa, że jest napięcie i że jest ono spowodowane nowelizacją ustawy o IPN.

Zamiast faktami, dziennikarze Onetu woleli się ekscytować tym, że ich newsa cytują zagraniczne media. Konkretnie jedno, plotkarski portal BuzzFeed. Znow zagrała „orkiestra”. „Źródło dyplomatyczne portalu BuzzFeed w Warszawie potwierdza, że amerykańskie władze zdecydowały się wprowadzić szczególne sankcje wobec polskich władz” – podał Onet, a za nim Gazeta.pl:

„BuzzFeed potwierdza: Biały Dom nie chce widzieć polskich polityków”, i Polityka.pl: „BuzzFeed potwierdza: USA wprowadzają retorsje wobec Polski”. Zanim zdeszyfrujemy te doniesienia, docenimy słowo „retorsje”, bo to nowość ubogacająca i wzmacniająca antyrządowy przekaz.

Teraz przejdźmy do „źródeł dyplomatycznych portalu BuzzFeed”, który tak ochoczo dołączył do polskiego chóru. Artykuł podpisany jest dwoma nazwiskami. J. Lester Leder to doświadczony redaktor działu światowego, autor 541 wpisów, na co dzień pracujący w Waszyngtonie. Tekst powstał we współpracy z Marcinem Krasnowolskim, który do tej pory z talentów dziennikarskich był mało znany, zarówno nad Wisłą, jak i nad Potomakiem. Autor zamieścił na BuzzFeed dopiero 11 publikacji i jest raczej monotematyczny, zadebiutował miesiąc temu (to z pewnością przypadek) tekstem zatytułowanym: „Oto dlaczego Izrael i Polska walczą o Ho-

lokaust”. Później pisał także (zawsze we współpracy z red. Lederem) m.in. o muzyce rapowej, która wpisuje się w polski nacjonalizm, neonazistach planujących w Polsce koncert z okazji urodzin Hitlera i ostatnio o doniesieniach Onetu. Krasnowolski, z tego, co o sobie pisze, stacjonuje w Krakowie, przedstawia się jako „freelancer journalist” (wolny strzelec) i ekspert od kina azjatyckiego. Jesienią ubiegłego roku był zresztą gościem audycji w Radiu Tok FM, w której opowiadał o koreańskim tygodniu filmowym.

W związku ze spiętrzeniem kłamstw kolportowanych w Polsce i w USA amerykański Departament Stanu wydał kolejne oświadczenie: „Wszystkie doniesienia o tym, że amerykańscy urzędnicy nie będą się spotykać lub nie będą prowadzić dialogu na wysokim szczeblu, są całkowicie fałszywe. [...] W sprawie przyszłych spotkań nie mam żadnego harmonogramu. Informacja o spotkaniach, które miałyby się odbyć z inicjatywy Białego Domu, będą przekazywane przez Biały Dom” – powiedziała Heather Nauert. Czy to zamyka sprawę?

TAJNOŚĆ WYBIÓRCZA

Dziennikarze Onetu utrzymują, że nie mogą pokazać notatki, bo mogłoby to doprowadzić do zdekonspirowania ich źródła. To zrozumiałe. Kuriozalne jest natomiast żądanie wystosowane przez Bartosza Węglarczyka, dyrektora pro-

gramowego Onet.pl, do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, by to resort oddał tajny dokument. „Jestem przekonany, że pan minister przychylił się do naszej prośby [...] kilka dni temu na prośbę pana ministra opublikowaliśmy dokumenty świadczące o jego nieświadomych powiązaniach z wywiadem hiszpańskim. Teraz liczymy więc na wzajemność, tak ważną przecież dla dyplomatów”. Zaskakująca żarliwość akurat w kwestii papierów, które potencjalnie mogłyby obciążyć Prawo i Sprawiedliwość, ale nie nam to rozstrzygać, to poli-

tyczny wybór redakcji. Nie sposób jednak nie zadać pytania o zdrowy rozsądek. Jak tak wybitny znawca problematyki międzynarodowej wyobraża sobie wiarygodność polskiej dyplomacji w oczach Amerykanów po upublicznieniu utajnionych dokumentów na żądanie dziennikarza?

Red. Węglarczyk zżyma się także na wieść, że prokuratura zbada jego kolegów z redakcji, skąd mieli dokumenty, o których piszą. „[...] śledztwo przeciwko dziennikarzom to, uprzedzam, nie najlepszy sposób na budowanie wizerunku Polski na świecie. Ale ma za dużo wspólnego z PRL-em, o którym tak lubi mówić ten rząd” – napisał na Twitterze. Tu warto wyjaśnić, że śledztwo w sprawie ujawnienia tajnych dokumentów wszczynane jest z automatu i nie toczy się „przeciwko dziennikarzom”, ale „w sprawie”. Takie są przepisy i one nie zmieniają się bez względu na to, kto rządzi, więc porównanie do PRL to licha próba wywołania hysterii.

Zamiast faktami dziennikarze Onetu woleli się ekscytować tym, że ich newsa cytują zagraniczne media. Konkretnie jedno, plotkarski portal BuzzFeed

„Wszystkie doniesienia o tym, że amerykańscy urzędnicy nie będą się spotykać lub nie będą prowadzić dialogu na wysokim szczeblu, są całkowicie fałszywe” – oświadczyła Heather Nauert, rzecznik Departamentu Stanu



Fot. Yasin Ozturk/Anadolu Agency

Drugą stroną tego medalu jest przedziwny obieg dokumentów w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Teraz mamy notatkę w sprawie „sankcji” i analizę Jana Parysa, które „wypłynęły” w Onecie. Niedawno okazało się, że ostrzeżenie MSZ o amerykańskich obiekacjach wobec nowelizacji ustawy o IPN dotarło do Departamentu Służby Zagranicznej w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów dopiero cztery dni (!) po przyjęciu ustawy przez parlament. Papiery „gdzieś się przeleżały” i raczej trudno uwierzyć, że był to przypadek. Raczej można mówić o jakiejś formie sabotażu, wręcz próbie paraliżu pracy szefa rządu. To zdecydowanie nie napawa optymizmem.

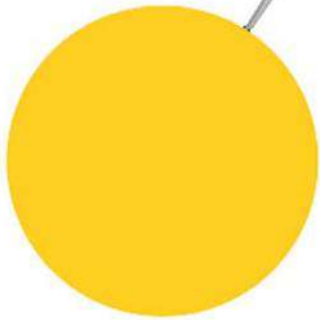
Wraz z publikacją Onetu rozgorzała dyskusja o wiarygodności portalu, który należy do szwajcarsko-niemieckiego koncernu wydawniczego Ringier Axel Springer. Natychmiast przypomniano ich – delikatnie mówiąc – nie do końca trafione newsy. W marcu 2016 r. czytaliśmy, że „Szczyt NATO nie odbędzie się w Warszawie”, a jeśli nawet do tego dojdzie, to zbojkotuje go prezydent USA Barack Obama. Przed przyjazdem w lipcu 2017 r. amerykańskiego prezydenta to w Onecie czytaliśmy, że „Lech Wałęsa spotka się z Donaldem Trumpem”. Miało to być zagranie na nosie piśmowskiej władzy, która marginalizuje byłego prezydenta. Miało być... Z kolei na ostatnim szczycie w Davos mieli się nie spotkać Andrzej Duda z Donaldem Trumpem. Na krótko, ale do spotkania doszło. Kolejna sensacja wyskoczyła 1 lutego: „Decyzją premiera Izraela Beniamina Netanjahu Anna Azari zostanie

wezwana do Izraela, a placówka dyplomatyczna pozostanie bez ambasadora – twierdzi źródło Onetu zbliżone do izraelskich władz”. To informacja, która miała nam powiedzieć, że w naszych relacjach z Izraelem jest naprawdę źle.

* * *

W marcu 2017 r. ujawniliśmy w tygodniku „Sieci” list Marka Dekana, prezesa RASP, do pracowników polskich redakcji (m.in. „Fakt”, Onet.pl, „Newsweek”), w którym instruował, jak należy czytelnikom tłumaczyć porażkę PiS przy głosowaniu za pozostawieniem Donalda Tuska na fotelu szefa Rady Europejskiej. Dekan pisał wtedy (list przysyłał co tydzień) o Polsce, która pod rządami PiS nie chce jechać po „autostradzie unijnej integracji”. Jak tę rzeczywistość opisywać? Jak trafić do polskich czytelników? „Podpowiedzmy im, co zrobić, żeby pozostać na pasie szybkiego ruchu i nie skończyć na parkingu”. Dlatego powyższe dziennikarskie fake newsy – zapewne zupełnie przypadkowo wymierzone akurat w rząd PiS i prezydenta Dudę – trudno uznać za przypadek.

Naprawdę niefortunną i niezamierzoną wpadkę Onet zaliczył, podając wieść, że „nie żyje papież Benedykt XVI”. Tego nikt nie zaplanował, to zapewne efekt godnego pożałowania wyścigu na newsy bez należytej weryfikacji. Za to nagrody nie będzie, ale znajdzie się na pewno towarzystwo dziennikarskie, które doceni „sankcje”. Orkiestra wszak musi grać dalej i koniecznie w jednym tempie.



Kłamstwo zabija

Walą nas pałami. Gdy stoimy prosto, sięgną tydek. Ale jeśli znowu zegniami się potulnie i pochylimy głowy – dostaniemy w potylicę



MACIEJ PAWLICKI

Walą nas pałami kłamstw, oszczerstw, manipulacji. Jakby w szale nienawiści i pogardy, w oderwaniu od prawdy, od rzeczywistości. Skąd ten szal, nienawiść i pogarda? Ta zaskakująca wielkość z nas erupcja antypolonizmu? Czy wytrzymamy? Czy rozdygotani i przerażeni znowu skulimy się i padniemy na kolana w nadziei, że wreszcie przestaną?

Polska jest przepuszczana przez „ścieżkę zdrowia”. Młodszym wyjaśniam, że podczas tłumienia antykomunistycz-

nego powstania w Radomiu i Ursusie w roku 1976 zomowcy tworzyli szpalery, między którymi przepuszczano aresztowanych, tłukąc ich pałami, metalowymi prętami, nogami od krzeseł, nazywając to „ścieżką zdrowia”. Żeby delikwent „wyzdrowiał”, to znaczy spokorniał i zrozumiał, gdzie jego miejsce.

Gdy taktyka premiera Morawieckiego zaczyna przynosić efekty w kontaktach z Unią Europejską, mamy nowe pole konfliktu. Brwi zmarszczył Wuj Sam, jedyny gwarant polskiego bezpieczeństwa.

Trafnie pokazał ktoś ewolucję śmiercionośnej broni: maczuga, miecz, czołg, rakietę, media. Choć siłę kłamstwa (dziś delikatnie zwanego fake newsem) i niszczenia morale dokładnie opisał dwa tysiące lat temu Sun Tzu, klasyk sztuki wojennej. Kłamstwo może wygrać bitwę, zanim się ona zacznie. Wychodzi taniej.

WOJNA Z USA

Wszyscy słyszeliśmy, jak w Audytorium Maximum premier Morawiecki mówił, że powinniśmy być dumni z antykomunistycznego zrywu młodzieży w marcu '68 roku, z jej walki o wolność. Nazajutrz „Jerusalem Post” pisze, że premier Polski wzywa, by Polacy byli dumni z antysemickiej kampanii. Trudno uwierzyć w aż taką głupotę „Jerusalem Post”. To niestety ostentacyjne kłamstwo i oczerznienie polskiego premiera. I co? Mamy wpaść w dygot przerażenia? Jak niejaki Migalski, który na TT powtarza to samo kłamstwo?

Tego samego dnia funkcjonariusze niemieckiego portalu Onet odpalili torpedę w sam środek polskiej wrażliwości: oto USA wystosowały wobec Polski ultimatum, nałożyły na Polskę sankcje, a polski prezydent i premier mają w Białym Domu status persona

non grata, czyli zakaz wstępu. I co to będzie, bo przecież odwiedzanie Białego Domu jest od wieków codziennym rytuałem polskich przywódców? Liczni użyteczni idioci albo agenci wpływu podnieśli radosny rejwach, że USA już niemal zerwały z Polską wszelkie relacje i oto jesteśmy kompletnie bezbronni. Na nic stanowcze dementi rzeczniczki Departamentu Stanu, która doniesienia Onetu nazwała fałszem. Nie szkodzi, sprawę grzejemy, producenci kłamstwa upierają się przy swoim, „ścieżka zdrowia” trwa.

Różnica zdań z USA w sprawie polskiej ustawy istotnie jest. Powinniśmy amerykańskim przyjaciółom wyjaśnić jej sens, ale jednocześnie wyrazić daleko idące zaniepokojenie polskiego rządu i narodu amerykańską ustawą senacką 447 i poprosić rząd USA o pilne i szczegółowe wyjaśnienia, jaki jest jej cel i czy na pewno rząd i parlament USA zdają sobie sprawę z możliwych negatywnych jej konsekwencji. Tylko służalcza mentalność niewolnika każe się potulnie z decyzji swego rządu, parlamentu i prezydenta wycofać i paść w piach, błagając o wybaczenie.

„Car dziwi się, ze strachu drżą petersburczany, car gniewa się, ze strachu mrą jego dworzany...”. Dla mentalnych służalców carem był Breżniew, jest nim Berlin, Bruksela, Paryż, wszelkie żydowskie organizacje, Izrael, a także Waszyngton. Chcą, byśmy wszyscy byli dworzanami cara, wystraszonymi „petersburczanami”, czynownikami gotowymi wyrzec się najbardziej podstawowej godności, prawdy i honoru. Byle tylko car nie marszczył brwi.

CZAPUTOWICZ DZWONI DO TRUMPA

Amerykanie chcą zgody między Polską a Izraelem, ale na pewno nie chcą poniżenia ani zwasalizowania żadnego ze swych kluczowych sojuszników. Gdyby chcieli, by Polska padła na kolana, wyrzekła się swych decyzji i przeprosiła za to, że ośmieliła się bronić swego honoru przed tsunami kłamstwa, to znaczyłoby, że chcą tu niewolnika i odtąd wszelkie dotyczące Polski decyzje będą uzgadniać w Jerozolimie. Tak nie jest. I odwrotnie też nie.

Jeśli to prawda, że prezydent Duda nie odebrał telefonu od sekretarza Tillersona, to bardzo go za to chwałę. W dyplomacji arcyważne są formy. Zwłaszcza w sytuacjach kryzysowych. Telefon od prezydenta Trumpa powinien odebrać prezydent Duda o każdej porze dnia i nocy. A sekretarz Tillerson sobie przypomni, że powinien dzwonić do ministra Czaputowicza. My zaś nie obrazimy się wcale, gdy minister Czaputowicz przez pomyłkę zadzwoni do Donalda Trumpa i – zgodnie z protokołem – odbierze sekretarz Tillerson.

Pisałem tu niedawno o „rytuale przejścia”, którego Polska doświadcza, bo staje się krajem podmiotowym, rozumiejącym swoją rację stanu i asertywnie zabiegającym o jego realizację. Podmiotowe państwa, które skutecznie rozgrywają swoje interesy i realizują swoją rację stanu, bardzo często poddawane są ostrej krytyce. Akurat USA i Izrael – setki, tysiące razy, w mniej poważnych, ale i bardzo poważnych sprawach. Izrael wiele razy lekce sobie ważył nawet stanowisko Rady Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Ostrej krytyce bywają poddawane Wielka Brytania, Niemcy, Francja, Japonia, Hiszpania, Chiny, Indie, Turcja, Włochy... Nie zawsze sprawiedliwej, czasem niesprawiedliwej. Ważne, wręcz kluczowe jest to, czy politycy i społeczeństwa krytykowanego państwa tę krytykę przyjmują ze spokojem, wyławiając z niej merytoryczne uwagi, które mogą pomóc we własnych decyzjach, czy też wpadają w paniczny dygot, porzucają swe decyzje i przyjmują instrukcje z zewnątrz.

Mateusz Morawiecki należy do tej pierwszej kategorii. Ma spokój, wiedzę, asertywność i otwartość. Nareszcie polski premier mówi wprost: „Coraz częściej spotykamy się z antypolonizmem, i ja chcę walczyć z tym antypolonizmem tak, jak skutecznie nasi żydowscy bracia walczą z antysemityzmem. Bo nie tylko mają do tego prawo, my mamy obowiązek im w tym pomagać. Ale też mam nadzieję, że oni nam pomogą w walce z antypolonizmem”.

KŁAMSTWO ANTYSEMICKIE

Najbardziej czynna w prowokowaniu waśni polsko-żydowskich była carska

ochrona, sowieckie NKWD, a dziś są zapewne służby Rosji. Ale prowokowanie poczucia krzywdy Polaków, ich oburzenia, nawet gniewu o poziom absurdalnych oszczerstw – jest w istocie antysemickie. A tak, antysemickie i antyizraelskie. Bo Polska jest najwierniejszym i najcenniejszym sojusznikiem Izraela w Europie, który w ciemno żyrował wiele izraelskich działań, nie żądając nic w zamian. To się musi zmienić. Środowiska żydowskie w Izraelu i USA muszą przyjąć do wiadomości, że nie da się dłużej rugać i zawstydzac Polaków, a jednocześnie mieć ich zawsze u swego boku. Że trzeba ich – arcyważną dla Izraela – polityczną przyjaźń ciągle na nowo potwierdzać symetryczną życzliwością i poparciem w pełnej politycznej symetrii.

Wiem, że tropiąca demony antysemityzmu i ślepa na demony antypolonizmu ambasador Azari zabrania Polakom takich skojarzeń, ale jakoś się nie ulękne i powiem, jak wielu innych, że w tej nagonce być może chodzi o zrezygnowanie Polski z ustawy reparywacyjnej. Po to, by amerykańskie organizacje żydowskie mogły (zgodnie z przepychaną w USA ustawą 447) domagać się od Polski kilkudziesięciu miliardów dolarów za mienie Polaków wyznania mojżeszowego zamordowanych przez Niemców. Absurd, pani ambasador? Owszem, absurd etyczny i prawny, oby także był absurdem politycznym, fake newsem, ucieszę się bardzo.

Dziś powieściopisarz fantastyczny Gross szaleje, ma swoje żniwa. Ale Polska jest oczerniana od co najmniej 30 lat, tylko nasza klasa polityczna nie uznawała tego za warte zainteresowania. Nareszcie rządzą nami ludzie, którzy widzą, jak ogromne przynosi to szkody.

Polska przeszła do innej kategorii. Jakby z mętnego bajorka, gdzie taplają się uwiązane na sznurku tuczniaki wypłynęła żaglowcem na ocean. Tam jest inaczej – wiatr hula i świszcz, maszty gną się i skrzypią. Tam jest trudniej i groźniej. Ale piękniej. I tylko tam można dopłynąć do celu, zdobywać nowe lądy. Ale jeśli znowu zegnijemy się potulnie – dostaniemy w potylicę. Aż pęknie.

Zaniedbaliśmy obronę wizerunku Polski

Strona izraelska, o czym wiem, była „przygotowywana” od dłuższego czasu. Mówiono jej, że powstaje ustawa o IPN, która nie tylko będzie formą cenzury, lecz wręcz spowoduje zastraszenie środowiska naukowego.

To też słyszeliśmy w czasie rozmów w Izraelu

*Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z **Bronisławem Wildsteinem**, pisarzem, publicystą, członkiem powołanego przez premiera Mateusza Morawieckiego zespołu ds. dialogu prawnego-histerycznego z Izraelem*

Obserwując wystąpienia członków polskiej delegacji po powrocie z Izraela, odnieśliśmy wrażenie, że wróciliście w nastrojach niespecjalnie entuzjastycznych.

Bronisław Wildstein: Nie zgadzam się z tą opinią. Jestem szczerze zadowolony, że pojechalismy, że roz-

mawialismy. Pozytywnie zaskoczył mnie brak agresji drugiej strony. Mam wrażenie, że obie strony rozumieją, iż muszą się porozumieć. Oczywiście strona izraelska próbuje do tego doprowadzić na swoich warunkach, ale temu nie można się dziwić. Dużo więc się udało.

Wszystko się udało?

Nie udało się wydać wspólnego oświadczenia, ale to wynik przypadku, bo u premiera Netanjahu dokładnie w tym samym czasie pojawiła się prokuratura. Wspólny dokument wiele by jednak nie zmienił. Te rozmowy będą się toczyły i jestem przekonany, że to



usiedli prawnicy, żeby wyjaśnić parę szczegółów.

Z pana wypowiedzi już po powrocie wynika, że w czasie rozmów strona izraelska nie tylko słuchała, lecz również powoływała się na swoje informacje z Polski, w domyśle pochodzące od środowisk obecnie opozycyjnych.

Oni się nie powoływali wprost, ale to było oczywiste. Opowiadali, jak to w Polsce dobrze się działo przez ostatnie prawie 30 lat, jak wspaniale rozwijały się nasze relacje aż do sprawy tej ustawy, no lepiej już być nie mogło. Prezentowali nam niejako przy okazji – dyplomatycznie, ale wyraźnie – opowieść o niemal idealnej Polsce sprzed wyborów, nie tylko w kontekście naszych rozmów.

Może naprawdę uważają, że ustawa wszystko zepsuła?

Dowodem na to, że tu nie chodzi tylko o ustawę, jest sytuacja z 2006 r., gdy wprowadzono w Polsce bardzo podobne prawo, ustanawiające kary za przypisywanie Polakom zbrodni nazistowskich Niemiec. Sprawa przeszła absolutnie bez echa. Izrael nie podnosił żadnych wątpliwości. Ustawę obalili Trybunał Konstytucyjny z powodów proceduralnych. Wówczas TK obalał wszystkie ustawy przyjęte przez PiS niemal automatycznie.

Teraz było inaczej. Wybuchła awantura.

Strona izraelska, o czym wiem, była „przygotowywana” od dłuższego czasu. Mówiono jej, że powstaje ustawa, która nie tylko będzie formą cenzury, lecz wręcz spowoduje zastraszanie środowiska naukowego. To też słyszeliśmy w czasie tych rozmów: że badacze będą się obawiali, iż ich badania mogą zostać zdefiniowane jako nienaukowe, ergo – będą prawnie odpowiadali itd.

Czy był jakiś cel minimum tych rozmów? Było jakieś założenie, które staraliście się zrealizować?

Samo spotkanie jest sukcesem, bo kończą się monologi i zaczynamy rozmowę. Rozmowę o wszystkim.

Bo chcemy wypracować jakieś formy trwałych kontaktów. Trzeba myśleć także o wspólnym badaniu historii: takim, które odpowiadałoby prawdzie, na które mogłyby się zgodzić obie strony. To spotkanie może być ważnym krokiem, bo nasi partnerzy usłyszeli, może po raz pierwszy, głosy innych historyków, nie tylko tych, z którymi zawsze się zgadzają. Był wiceprezes IPN Mateusz Szpytma, był prof. Grzegorz Berendt, chyba najwybitniejszy polski działacz relacji polsko-żydowskich w czasie II wojny światowej, który podkreślił przy okazji, że nie czuje się zagrożony ustawą.

A o czym pan mówił?

Odnosiłem się do tezy, że wszystko szło w dobrą stronę, dopóki nie zostało to zepsute. Mówiłem, że tak mogło to wyglądać z perspektywy izraelskiej, ale nie z naszej. Bo my coraz częściej słyszeliśmy o „polskich obozach śmierci” i nie chodziło tu o określenie geograficzne, po które sięgał np. Jan Karski. To już zaczęło żyć własnym życiem, wzmocnione faktem, że pokolenia pamiętające II wojnę światową właściwie odeszły, a nowe mają dramatycznie niską wiedzę. Kilka tygodni temu delegacja izraelskich dziennikarzy odwiedziła Muzeum Powstania Warszawskiego i przeżyła szok. Nie wiedzieli, że okupacja w Warszawie była inna niż w Paryżu, że status Polaka był inny niż Holendra. Podniosłem także sprawę wizyt izraelskiej młodzieży w Polsce...

...która często wyjeżdża z przekonaniem, że obozy śmierci zbudowała okoliczna ludność.

Zacytowałem prezydenta Lecha Kaczyńskiego, który właśnie o tym mówił: że młodzi ludzie oglądają największy koszmar swojego narodu i wręcz odruchowo uczą się nienawiści do tej ziemi, do tego miejsca. A potem jadą sobie na kawę do Berlina gdzieś obok Wansee. Nie mają realnej wiedzy, kto naprawdę to zrobił. Ten proces edukacyjny powinien inaczej przebiegać.

Jaka była reakcja?

Usiłowali trochę tonować, ale nie mogę powiedzieć, by protestowali przeciwko temu opisowi.

już się będzie wyciszało. O ile nie będzie kolejnych niemądrych posunięć w rodzaju wytaczania procesu siedmiorzędemu portalowi w Argentynie, o którym pies z kulawą nogą by nie wiedział, gdyby Reduta Dobrego Imienia nie poinformowała Argentyńczyków, że mają taki portal i że powinni go bronić.

Delegacja strony izraelskiej miała poważną rangę?

To wyglądało podobnie jak po naszej stronie. Był przedstawiciel premiera Netanjahu w randze sekretarza stanu, byli prawnicy, byli także przedstawiciele Yad Vashem. Nie można narzekać.

Ile czasu trwały rozmowy?

Ponad cztery godziny. To było jedno spotkanie. Później osobno

Problem zaniku wiedzy o II wojnie światowej sprzyja oskarżaniu Polaki. Mieszkańcy uniwersyteckich kampusów przy dobrej kawie potępiają zbyt mały heroizm Polaków.

To jest beczelność. By zrozumieć historię, trzeba spróbować się wczuć. I jest to obowiązek obu stron. Także wrażliwość Żydów, którzy ocalili z Holocaustu, jest szczególna. To jest wrażliwość strauatyzowana. Nie można im tego odmawiać, oni tak to pamiętają. Zagrożenie pamięta się szczególnie, a zagrożeniem mógł być każdy Polak; szmalcownik nie miał na czole napisane, że jest szmalcownikiem. Ci, którzy ocalili, widzieli różne przypadki, o różnych słyszeli. Niestety nie jest prawdą to, co Jan Żaryn, zresztą bardzo uczciwy człowiek, mówi – o nawet milionie Polaków zaangażowanych w pomoc Żydom.

To wyliczenie wynika z uwzględnienia, że jednemu uratowanemu musiało pomagać nawet dziesięć lub więcej osób.

Ale ta liczba mimo wszystko nie jest prawdziwa. Oczywiście to są sprawy niezwykle trudne do oszacowania. Próbuje to czynić prof. Berent i dochodzi do wniosku, że możemy mówić o kilkudziesięciu tysiącach pomagających. To bardzo dużo jak na tak trudne warunki, ale też nie przesadzajmy w drugą stronę. Nie mamy również prawa oczekiwać od ludzi, by zachowywali się jak herosi. A ryzykowanie życia swojego i swoich najbliższych dla ratowania kogoś innego jest heroizmem.

Jak więc mamy oceniać zachowanie narodu polskiego wobec Zagłady?

Naród polski zachował się wyjątkowo dobrze. Pewnie najlepiej spośród wszystkich narodów europejskich poddanych tej próbie. Tym bardziej że reprezentacją Polaków było państwo polskie. A ono zachowało się tak, jak się zachowało, czyli dobrze. Nie było polskiego Quislinga, Polska i Polacy w swojej masie cały czas stawiali opór. Ale z drugiej strony Polacy są także tylko ludźmi. Była granatowa policja, były zjawiska złe. Iles tysięcy zostało wydanych lub zamordowanych przez

Żydów. To jest fakt trudny do ujęcia w liczbach, ale jednak to były tysiące.

Czy ze strony izraelskiej pojawiło się twierdzenie o rzekomo „systemowym” charakterze tych zdarzeń, przywołane przez premiera Netan-jahu w czasie rozmowy z premierem Morawieckim?

Nie, nic takiego się nie pojawiło. Bo przecież to nieprawda, nie było żadnych systemowych działań. To jest fundamentalny fałsz. Systemowo to my walczyliśmy z okupantem i broniliśmy Żydów, choć działo się to w warunkach wiadomo jakich. Oczywiście jeśli będziemy całkowicie szczerzy i zaczniemy np. przyglądać się temu, kiedy powstała Żegota, to się okaże, że powstała za późno. Albo okaże się, że polskie podziemie nie przeciwstawiało się Holocaustowi czynnie. Ale znowu – trzeba to odnieść do ówczesnej sytuacji, do możliwości tego podziemia i także do tego, jak zachowały się inne narody. Bo bez tego okazuje się, że oskarżamy ofiary o to, że nie były należycie heroiczne. To jest gigantyczny skandal. Ale z dru-

giej strony, powtarzam, na niesprawiedliwe oskarżanie nie powinniśmy odpowiadać autoapologią.

Skoro nie było nic o „systemowości”, to czy pojawiły się jakieś oskarżenia wobec Polaków?

Nie. Strona izraelska formułowała zarzuty dotyczące antysemityzmu w dzisiejszej Polsce. Byli dobrze przygotowani: cytowali autentyczne wystąpienia i wypowiedzi.

Czyje wypowiedzi?

Na przykład ludzi, którzy mają tytuły naukowe i wygadują rzeczy nie do przyjęcia, jak pani Ewy Kurek. Tego typu sprawy. Ale też zgadzali się, że pomyje wylały się również w Izraelu, że antypolonizm jest rzeczą skandaliczną, że filmik przygotowany przez fundację Rudermanów to coś całkowicie nieakceptowanego. Zresztą Izrael się od tego odciął.

Czy strona izraelska sugerowała, że antysemityzm w Polsce rośnie?

Nie, oni opisywali konkretne fakty. Myślę, że nie wiedzą, czy to wzrost,



Fot. Andrzej Wiktoria

czy to tylko sytuacja, w której ujawniło się coś głębszego. Inna sprawa, że oni wiedzą, że w porównaniu z państwami zachodnimi aktów antysemitycznych jest w Polsce dużo mniej. Z tym że w wielu krajach statystyki nabijają mniejszości muzułmańskie.

Czy w czasie rozmów pojawił się wątek wypowiedzi premiera w Monachium, o wycie „sprawców”?

Nie, nie pojawił się. Jak podejrzewam, dyplomatycznie. Nie jestem zwolennikiem łapania się za słówka, do tego zmanipulowane. Dziś w „Wyborczej” czytam, że zdaniem premiera „współsprawcami Holocaustu” byli Żydzi. A gdzie premier tak powiedział? Przecież mówił wówczas jednoznacznie, że sprawcami byli Niemcy; jego słowa odnosiły się do zbrodniarzy, do konkretnych zbrodni. W tej samej gazecie, która jest tu przecież jedynie symbolem szerszego zjawiska, czytam, że ustawa ma wpisany antysemityczny rdzeń. Przecież to jest śmieszne. Ale to niestety idzie w świat.

A poruszono sprawę restytucji mienia?

Nie, nic nie było mówione o restytucji.

Jak wyglądały rozmowy dotyczące bezpośrednio ustawy o IPN?

Strona izraelska z zainteresowaniem słuchała tego, co mówili polscy prawnicy, zresztą bardzo kompetentni. Prezentowali precedensy, sposób jej działania. Bo przecież tę ustawę można traktować jako przedłużenie przepisów dotyczących walki z negacją Holocaustu. Owe przepisy mówią przecież jasno, że chodzi o zbrodnie III Rzeszy, o zbrodnie nazistów. Przypisywanie komuś innemu tych zbrodni jest więc negacją Holocaustu.

Czy na spotkaniu w Izraelu zastanawiano się, dlaczego sprawa tej ustawy tak nagle wybuchła?

Nie, to nie byłoby celowe. Nasi rozmówcy przedstawili cały wielki rejestr wątpliwości dotyczących ustawy. Usłyszeliśmy, że ten przepis może być wykorzystany do uderzenia w „niewy-

godnych badaczy”, że zastraszy historyków, ograniczy lub utrudni badanie Holocaustu, będzie przeszkodą dla ludzi wygłaszających swoje świadectwa na temat wojennych przeżyć, jakiegokolwiek one były. My wyjaśnialiśmy, odpowiadaliśmy, prostowaliśmy.

Ustawa zdominowała rozmowy czy też pojawiły się inne wątki?

O ustawie mówiliśmy dużo, ale później wyszliśmy poza tę sprawę. Mówiliśmy – my, polska delegacja – o budowie trwalszych struktur porozumienia, które utrudniłyby tego rodzaju eksplozje, animozje. Tu podkreśliłem: na samym początku powiedzieliśmy, że nie przyjechalibyśmy, aby negocjować ustawę. Ustawa jest zatwierdzona,

Powinniśmy mieć lepsze rozeznanie środowiska żydowskiego w Polsce. Bo nie jest tak, że ono jest jednolite. Pewne grupy zmonopolizowały kontakty z Izraelem

przyjęta, a my nie mamy nic do powiedzenia w tej kwestii. Niezależny Trybunał Konstytucyjny oceni to prawo. Strona izraelska była bardzo zainteresowana terminem rozprawy w tej sprawie. Tłumaczyliśmy, że są procedury, że powołano już, a więc bardzo szybko, zespół orzekający. Oceniałem, że potrzeba minimum półtora–dwóch miesięcy. Tu, chyba nieco ironicznie, minister Cichocki przypomniał, że gdy swego czasu prezydent Komorowski skierował pewną ustawę do TK, to ten rzekomo niezależny Trybunał wydał orzeczenie w ciągu niespełna tygodnia, co jest chyba rekordem „niezależności”.

Polska delegacja broniła w Izraelu polskiej ustawy. Czy jednak pana zdaniem nie należało tej sprawy poprowadzić inaczej?

To niezręczne pytanie. Nie chodzi o to, że jako członek zespołu mam obowiązek bronić tej ustawy. Ja uważam, że wszyscy Polacy powinni bronić tej ustawy w tej chwili, chociażby była ona ułomna. W związku z tym nie będę analizował, czy coś można było zrobić inaczej. Choć, ogólnie mówiąc, można mieć pewne zastrzeżenia do tej ustawy. Pojawia się także pytanie, czy obrona narodowej godności za pomocą aktów prawnych w ogóle ma sens. I to pytanie w Izraelu padło.

I co pan odpowiedział?

Że prawa nigdy nie da się zastosować w pełni, natomiast ma ono również charakter wychowawczy. Niezależnie od wątpliwości musimy teraz bronić tej ustawy. Tym bardziej że ataki na ten akt prawny są niesprawiedliwe. Słyszymy, że będzie nieskuteczny. Ale z drugiej strony, że będzie zbyt skuteczny, że sparaliżuje badania. W swojej istocie ta ustawa była uzasadniona, bo mamy prawo, mamy obowiązek bronić swojego dobrego imienia i prawdy historycznej. Do tego te zarzuty, że jest podszyta antysemityzmem. Ta ustawa została tak nieuczciwie zaatakowana, że na tym tle nikną naturalne wątpliwości, które mogą się pojawić. Bo nie można przyznać racji tym wszystkim kłamcom, manipulantom, oszustom. Wątpliwości są drugorzędne. Trzeba jednoznacznie stanąć po słusznej stronie.

Jonny Daniels, Izraelczyk działający w Polsce, mówił niedawno na łamach „Sieci”, że gdy Polacy w odpowiedzi na zarzuty dotyczące okresu II wojny światowej przypominają Izraelczykom takie postaci jak Jan Karski, Irena Sendlerowa czy szereg Sprawiedliwych, jest to traktowane jako ucieczka od istoty sprawy i w zasadzie propaganda. Czy pan zgadza się z tą opinią?

Nie zgadzam się. Uważam, że to jednak mocny głos i że to jest naprawdę ważne, że to ma znaczenie. W ogóle uważam, że powinniśmy mieć lepsze rozeznanie środowiska żydowskiego w Polsce. Bo nie jest tak, że ono jest

jednolite. Pewne grupy zmonopolizowały kontakty z Izraelem.

Akurat Jonny Daniels ten monopol rozbija.

Tak, ale to jest ktoś z zewnątrz, a ja mówię o tych, którzy na stałe są w Polsce. Jeżeli spojrzymy na Forum Żydów Polskich, to znajdziemy tam zupełnie inne głosy, często krytyczne wobec rządu, ale jednocześnie uczciwe, rozumne, rzetelnie podnoszące różne sprawy. Ten głos był niesłyszalny. W Izraelu też mówili: „Przez 30 lat byliście zgodni, o co więc teraz chodzi?”. Wy, czyli władze, naukowcy, największe media. A przecież ta zgoda była pozorem, wynikała z monopolu.

To da się skorygować?

Trzeba. To potrwa lata, ale trzeba. To element szerszego zjawiska, które ponad 10 lat temu określiłem jako „pedagogika wstydu”. Zupełnie zaniedbaliśmy obronę naszego wizerunku i opowiadanie naszej historii. To było wpisane w zakłamaną opowieść o tym, że ta historia nie ma znaczenia, że tożsamość narodowa jest obciążeniem. To były komunały, które rzeczywistość sfalsyfikowała już wielokrotnie. I to tak, że trudno ich bronić. Dziś musimy odbudowywać naszą politykę historyczną i mamy potrzebne do tego instytucje. Mam jednak wrażenie, że one są straszliwie rozproszone. To są działania w różnych sferach, nieskoordynowane, co powoduje, że niektóre działania są powielane, a inne zupełnie leżą. Za mało uwagi poświęciliśmy na to, by porozumieć się z Polonią. Ludzi przyznających się do polskości w samych Stanach Zjednoczonych są miliony. Dziś nie stanowią żadnej siły politycznej. Nie mówię, że możemy szybko zbudować coś na podobieństwo żydowskiej diaspory, ale gdybyśmy zdołali skłonić tych ludzi, by wystąpili w obronie Polski, to już byłoby coś.

Nie jest zaskoczeniem, że poprzednie rządy nie były tym wszystkim zainteresowane.

Był krótki epizod pierwszego rządu PiS, dużo robił też prezydent Lech Ka-

czyński. W bardzo niesprzyjających warunkach zrobił wręcz ogromnie wiele. Z dystansu historycznego widać to wyraźnie. Mamy również w kraju taką piątą kolumnę. Tych, którzy opowiadają, że PiS to nie Polska. I tych, którzy – gdy my jedziemy do Izraela – ogłaszają, jak Schetyna, że jedziemy „na kolanach”, co wspierają niektórzy publicyści prawicowi. Oni nie tylko nie przejmują się, że naród polski oberwie; oni chcą Polaków ponownie zapędzić w mikromanię.

Dlaczego?

Bo zakompleksionym, zawstydzonym własną tożsamością stadem łatwiej rządzić. Można narzucać autorytety, które powiedzą: jesteście, jacy jesteście, ale my was wyprowadzimy na Europejczyków. Godność jest niebezpieczna, godność daje podstawę do aspiracji, do samostanowienia.

Kultura masowa jest najważniejszą bronią w walce o prawdę. Jeżeli jednak my prezentujemy siebie za pomocą „Pokłosia” i sami to rozpowszechniamy po świecie, to czego możemy się spodziewać?

Czy zgodzi się pan z opinią, że nie doceniliśmy siły nastrojów antypolskich w Izraelu? Można odnieść wrażenie, że dobre relacje polityczne, ów niepisany sojusz, przesłoniły nam prawdziwy obraz sytuacji?

Myślę, że tu nie chodzi o sojusz polityczny, ale o coś więcej. Otóż my wciąż żyjemy w ramach wspólnoty doświadczeń. Bo polskie i żydowskie doświadczenia były wspólne. Nachodziły na siebie, stykały się. Żydzi żyją w Polsce 800 lat. Traktowaliśmy więc te relacje nieco inaczej, jako w jakiejś mierze relacje rodzinne, wykraczające poza

politykę. I może tuż po wojnie, gdy powstawał Izrael, tak rzeczywiście było. Dziś jest inaczej: Izrael jest normalnym państwem. Do tego dochodzi resentyment wobec Polski – te opowieści o polskim antysemityzmie, który oczywiście istniał, ale który jest wyolbrzymiany, no i strauumatyzowana pamięć Holokaustu. To zaowocowało negatywnym postrzeganiem naszego kraju. Bez przesady, ale jednak. Wciąż działają też ośrodki, które chcą Polakom dorobić gębę współsprawców Holokaustu.

A do tego wszystkiego wewnętrzna gra polityczna w Izraelu.

Tak. Netanjahu postawił na Europę Środkową, ponieważ Izrael ma złe stosunki z Europą Zachodnią. Nie chodziło o żadne sentymenty, ale o grę polityczną. W sytuacji napięcia wewnętrznego może te relacje poświęcić, szukając ratunku własnej głowy. Tak rozumiem ten zaczn. To dlatego sprawa została ujawniona tak, a nie inaczej, czyli w szczególnym dniu w Auschwitz. Bo nawet jeśli Izrael wierzy, że to jest niebezpieczna ustawa, to mogła zostać wysłana normalna nota. Wybrano manifestację na użytek wewnętrzny, polskich uczuć nie wzięto pod uwagę. Netanjahu chciał się przeciwstawić zarzutowi podnoszonemu przez jego opozycję, że nie dość, iż ma różne zarzuty, to jeszcze handluje pamięcią Holokaustu, dogadując się z „arcynacjonalistami” z Polski i Węgier, a więc zapewne z antysemitami.

Można mówić o żywym antypolonizmie w Izraelu?

Jest wiele czynników. Owa strauumatyzowana pamięć przekazywana z pokolenia na pokolenie, a więc już jakoś oderwana od faktów. Są też wy-cieczki młodzieży do miejsc kaźni. To są właściwie dzieciaki, 14, 15 lat. Jak oni mogą reagować? Nie znają języka, jeżdżą odizolowani od świata, przekonywani, że Holokaust ciągle jest możliwy. To jest wbudowane w świadomość Izraela, że musi trwać jako państwo walczące. No i do tego dochodzi przekaz ludzi takich jak Jan Tomasz Gross czy Jan Grabowski, któ-



rzy opowiadają o 200 tys. Żydów zamordowanych przez Polaków. 200 tys. oznaczałoby rzeczywiście działalność systemową. Ale to jest lgarstwo, nieoparte na żadnych naukowych podstawach. To są zarzuty wyabstrahowane z rzeczywistości.

Za to chętnie nagłaśniane, a ich wątpliwą wartość naukową zbywa się dyskretnym milczeniem.

Przypadek Grossa jest charakterystyczny. Pracował spokojnie na amerykańskim uniwersytecie i wydał książkę „W czterdziestym nas Matko na Sybir zesłali”. To bardzo sensowna praca o polskiej martyrologii, skupiona na losach dzieci. I co? Pies z kulawą nogą się nie zainteresował. A gdy napisał „Sąsiadów”, to zrobił światową karierę, jest tłumaczony na wszystkie języki. Jego metodologia woła o pomstę do nieba. Na przykład gdy liczy Żydów zamordowanych po wojnie przez Polaków, a były takie przypadki, wlicza w to również ludzi z aparatu komunistycznego. To skandal, bo przecież oni ginęli nie jako Żydzi, ale w ramach obrony Polaków przed komunistycznym najazdem. Grossa to nie interesuje. Odpowiedzią lustrzaną jest twierdzenie, że Żydzi zrobili nam w Polsce komunizm.

Próbujemy się przebić z prawdą o II wojnie światowej, ale po drodze są nie tylko uprzedzenia w Izraelu, lecz również silne Niemcy, wyraźnie zainteresowane dzieleniem się winą.

O zmianie niemieckiego podejścia do przeszłości mówił już w latach 80.

XX w. Helmut Kohl. Trudno się dziwić, pokolenia mijają. To się wiązało z denacjonalizacją zbrodni, pojawili się naziści bez narodowości albo naziści licznych narodowości. Bardzo wygodnie było podłączyć pod to Polaków. Niemieccy politycy wiedzą, że muszą się pilnować, i zaprotestowali przeciwko oskarżaniu Polaków, ale w mediach, w kulturze masowej wygląda to już zupełnie inaczej. Zresztą kultura masowa jest najważniejszą bronią w walce o prawdę. Jeżeli jednak my prezentujemy siebie za pomocą „Pokłosia” i sami to rozpowszechniamy po świecie, to czego możemy się spodziewać?

Uznania dla warsztatu naszych twórców i jeszcze gorszej opinii o narodzie.

Osobiście uważam „Idę” za dobry film. Ale gdy człowiek trochę dorośnie, to wie, że sztuka nie działa w próżni, że artysta nie jest wyabstrahowany od całej reszty. Jak to jest, że mamy takie filmy, a innych nie?

Wspomniał pan o przemianie Jana Tomasza Grossa z historyka polskiej martyrologii we wściekłego oskarżyciela. Nie on jeden się zmienił. Adam Michnik jeszcze w 1995 r. tłumaczył niechęć niektórych środowisk żydowskich do Polski, także w kontekście Marca '68, „odrzuconą miłością”. Dziś jego media głoszą coś zupełnie innego.

Teraz Michnik raczej też nie mówi wprost, że Polacy odpowiadają za Marzec '68. Choć oczywiście w jego mediach takich głosów jest pełno. To jest

wojna polityczna. Pamiętam tych ludzi z czasów opozycji, to byli moi dobrzy koledzy, bliscy znajomi. Wszyscy mieli świadomość, że to była akcja komunistyczna, klasyczna nagonka. Oczywiście, jak zawsze przy takich okazjach, ileś lotrostw się ujawniło. Pojawiały się donosy na „syjonistów”, tego typu rzeczy. Iluś zmuszonych do wyjazdu będzie więc pamiętało złe zachowanie sąsiada. Będzie to niesprawiedliwa pamięć, ale taka jest ludzka pamięć.

Na ile realne jest zagrożenie, że Polskę i Polaków posadzi się trwale na ławie oskarżonych o zbrodnię Holokaustu?

Nie, tak nie będzie. Będzie się nas wypychało na tę ławę, ale to się nie uda. To wszystko ma jeszcze jeden wymiar: opowieści o Polsce jako takiej Transylwanii, gdzie szaleją Drakule, gdzie żyje prymitywna dzicz. To zaczęło się w czasie oświecenia, wówczas pojawiła się wizja zdziczałej Europy Wschodniej, która stała się negatywnym punktem odniesienia. To jest bardzo wygodne dla Zachodu, na wielu poziomach. To usprawiedliwiało Jaltę, komunizm, różne rzeczy, to usprawiedliwia jawną odmowę traktowania nas jako normalnych partnerów. Zwłaszcza gdy owi dzicy czasem się zbuntują i wybiorą nie tych, co trzeba. Antysemityzm pasuje do tej układanki idealnie.

Jaki jest pana zdaniem bilans sprawy po rozmowach w Izraelu?

Moim zdaniem bilans jest taki, że będziemy wracali stopniowo do normalnych stosunków z Izraelem, z Żydami amerykańskimi. Takie jest moje przekonanie. Powinniśmy nad tym pracować – i w czasie obchodów Marca '68, i w czasie nadchodzącej rocznicy powstania w getcie. Warto np. przypominać, że Żydowski Związek Wojskowy walczył pod dwiema flagami – polską i żydowską. Uważam, że sprawy polityczne odbudujemy w miarę szybko, to zajmie miesiące. Natomiast odbudowa głębszych relacji, naszego wizerunku zajmie lata. Żadnych złudzeń, że będzie łatwo. Bo to jest część czegoś większego: tej wojny o Polskę, o której tyle mówimy.

Rola Niemców w Holokauście jest powoli wybielana



Polska strona powinna jasno powiedzieć Izraelczykom: jeśli uważacie, że byliśmy gorsi od nazistów, to nie przyjaźnijcie się z nami i przestańcie nas prosić o poparcie w ONZ. Bo my nie musimy was popierać. Kawa na ławę. Wtedy będzie szansa na uzdrowienie relacji – twierdzi w rozmowie z Aleksandrą Rybińską **Seth J. Frantzman**, politolog, publicysta izraelskiego dziennika „Jerusalem Post”, założyciel Middle East Center for Reporting and Analysis

Fot. Archiwum Setha J. Frantzmana

Napisał pan dość krytyczny wobec Izraela i żydowskiej diaspory artykuł w „Jerusalem Post”, nawołując obie strony sporu wokół nowelizacji ustawy o IPN do szukania porozumienia i kompromisu. Co pana do tego popchnęło?

Seth J. Frantzman: Byłem zaskoczony, żeby nie powiedzieć „zszokowany”, wylewem żółci i złości w Izraelu oraz żydowskiej diasporze w reakcji na tę ustawę. Nie jestem ekspertem od Polski, ale znam się na nazizmie i byłem zaskoczony, w jakim stopniu Izraelczycy, a szczególnie wiodący politycy izraelscy, są antypolscy. Ci ludzie nie mają wstydu. Uznali, że najlepszą reakcją na polską ustawę zakazującą obwiniania Polaków za Holokaust będzie właśnie przypisywanie Polakom odpowiedzialności za zagładę Żydów. By zemścić się na nich za prawo, z którym się nie zgadzają. Było to obraźliwe i gorszące. Tymczasem należałoby uczyć ludzi, że Polacy jako naród byli ofiarami nazizmu, a nie sprawcami, nawet jeśli byli pojedynczy Polacy, którzy mordowali Żydów.

Może te reakcje były co najmniej po części podyktowane polityką wewnętrzną? Może po prostu niektórym izraelskim politykom opłacało się grać antypolską kartą?

Spójrzmy na to, kto zabrał głos. Naftali Bennett, minister edukacji i polityk prawicy. Yair Lapid, lider centrystycznej partii Yesh Atid. Avi Gabbaj z Partii Pracy. Reakcja była więc podobna na izraelskiej lewicy i prawicy. Można argumentować, że to populizm, że ci politycy chcieli zbić na tym polityczny kapitał, ale moim zdaniem problem jest głębszy.

W Izraelu żyje wielu polskich Żydów lub takich, którzy mają polskie korzenie. Istnieje więc ogromna liczba stereotypów na temat Polski, podszytych bólem i złością. Te stereotypy, te uczucia nigdy nie były otwarcie wyrażane po Holokauście i teraz wychodzą na powierzchnię.

Jak to możliwe, że przy tak dużej liczbie Żydów o polskich korzeniach w Izraelu wiedza o naszym kraju jest tam tak znikoma?

Nie wiem, jak się naucza historii w izraelskich szkołach, bo sam dorastałem w USA, ale jest ewidentne, że jeśli izraelscy Żydzi uważają, że Polska była współodpowiedzialna za Holokaust, to jest uczona źle. Moim zdaniem oscyluje wokół doświadczenia żydowskiego, a doświadczenie krajów, w których Żydzi wówczas żyli, nie odgrywa żadnej roli. Węgry, Chorwacja, kraje bałtyckie nikogo nie obchodzą. Nie tylko w Izraelu, lecz także w diasporze żydowskiej czy to w USA, czy gdzie indziej. A Polska jest krajem, do którego Żydzi jeżdżą, by odwiedzić obozy śmierci. Nie dowiadują się przy tym niczego o Polsce, która odgrywa rolę gigantycznego cmentarzyska. To także przyczyniło się do tego, że tak wielu Żydów dziś uważa, iż Polska była współodpowiedzialna za Holokaust. To fałszywa interpretacja historii wynikająca z tego, że nie przekazuje się młodym Żydom pełnego obrazu historii.

Czy to nie jest tak, że żydowska narracja historyczna głosi, iż Żydzi byli jedynymi niewinnymi ofiarami Holokaustu, a reszta europejskich narodów w ten czy inny

sposób ma krew na rękach? To tłumaczyłoby ostre reakcje na polską ustawę...

Nie wydaje mi się, by żydowska narracja historyczna rzeczywiście głosiła, że wszystkie inne narody europejskie były w taki czy inny sposób współodpowiedzialne za Holokaust. Myślę, że problem leży gdzie indziej: większość izraelskich Żydów nie odróżnia Łotwy od Bułgarii. Nigdy nie słyszeli o takich krajach. Gdyby ich zapytać o różnicę między Holokaustem w Słowacji i Słowenii, 99 proc. nie potrafiłoby na to pytanie odpowiedzieć. W przypadku Polski jest inaczej. Większość Żydów komentujących spór z Polską w mediach społecznościowych w kółko powtarza, że Polacy byli gorsi od nazistów. To już nie jest ignorancja. To już nie jest mówienie o współodpowiedzialności. To jest coś o wiele gorszego. To jest coś, co dorastając, słyszeli od swoich dziadków. Wielu Żydów w Izraelu to potomkowie ocalałych lub ludzi, którzy uciekli z Polski przed wojną. Jeśli ich dziadkowie uciekli z Polski przed wojną, to zapewne mówili im, że Polacy byli antysemitami. To mogło być nawet prawdą. Ale jest różnica między byciem antysemitą a gorszym od nazistów. To są nieznosne stereotypy. Ludzie pamiętają zazwyczaj tylko małe skrawki historii. W przypadku Polski mamy do czynienia z brakiem wiedzy o polskim oporze wobec niemieckiego okupanta, o polskiej ofierze w czasie wojny. Mamy tu całą warstwę braku zrozumienia i wiedzy.

Zauważyłam, że nie używa pan określenia „Niemcy”. To jest dosyć typowe dla mediów izraelskich i w ogóle mediów zachodnich, gdzie jest zazwyczaj mowa o „nazistach”, podczas gdy Polacy są wymieniani jako naród. Jacyś naziści, a nie Niemcy, budowali obozy, ale Polacy jako całość, jako naród mordowali Żydów. Dlaczego tak jest?

Kiedy dorastałem, uczono mnie, że naziści dokonali zagłady Żydów, ale Niemcy byli inni. Mówiono nam, że nie należy określać Niemców jako nazistów, bo to obraźliwe. A ja sobie zawsze myślałem: przecież to Niemcy wybrali nazistów, więc w czym problem? A gdy jest mowa o rzekomych kolaborantach, o Ukraińcach czy Polakach, pojawia się pytanie: chwileczkę, a co z Niemcami? Rola Niemców w Holokauście jest powoli wybielana. Są po prostu ludzie, którzy mają interes w tym, by zrzucić winę za Holokaust na inne narody. Na inne kraje. Bo ci ludzie nie mówią przecież, że niektórzy Polacy wydawali czy mordowali Żydów, tylko Polacy jako naród. I to jest problem.

W dzienniku „Haaretz” była minister edukacji Izraela Juli Tamir postawiła tezę, że Niemcy kupili sobie przebaczenie od Żydów. Polska tymczasem nie miała Żydom nic do zaoferowania.

W latach 50. wybuchła ogromna kontrowersja w Izraelu wokół nawiązania stosunków z Niemcami i wypłaty rekompensat przez Republikę Federalną. Prawica Menachema

REKLAMA

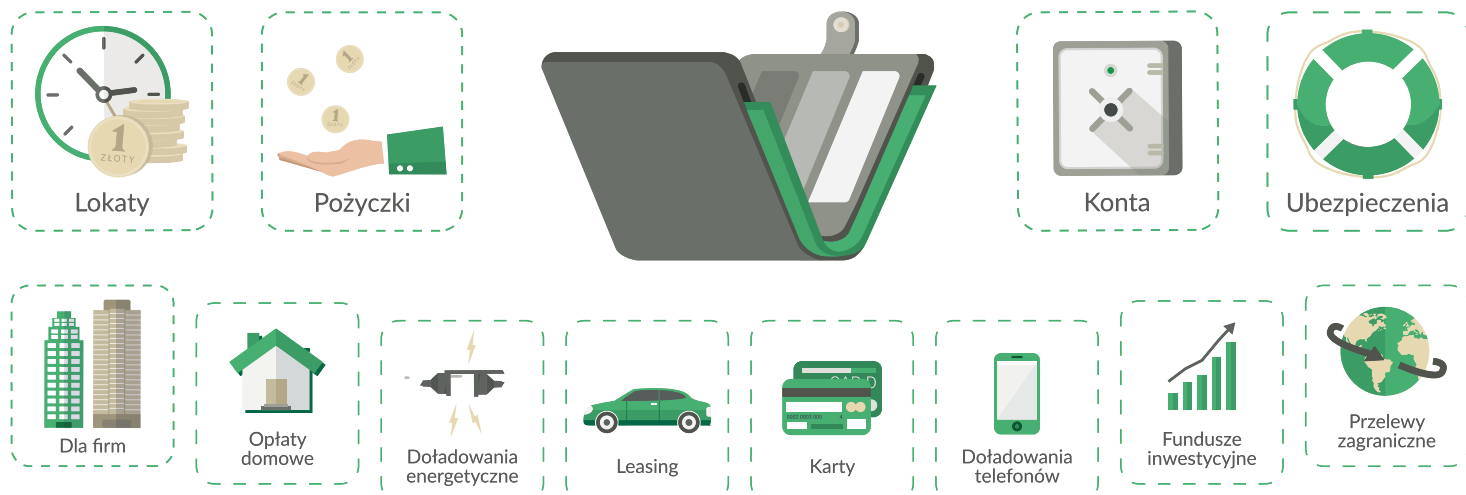
STEF CZYK FINANSE

To samo miejsce – większe możliwości

W codziennym biegu czas, wygoda i profesjonalna obsługa są wyjątkowo cenne. Wiemy o tym! W naszych placówkach przygotowaliśmy kompleksowe rozwiązania dla Ciebie i Twojej Rodziny.

Przyjdź do placówki Stefczyk Finanse, sprawdź szeroką ofertę i przekonaj się, jak wiele możemy Ci zaoferować.

POZNAJ DOSTĘPNE PRODUKTY:



Begina była przeciwna porozumieniu. Uważała, że Niemcom nie należy pozwolić na kupienie żydowskiego przebaczenia za pieniądze. Ale stało się inaczej i dziś w Izraelu oraz na Zachodzie dominuje pogląd, że Niemcy zadośćuczynili za Holokaust. Przyznali się do winy i zapłacili. A pozostałe kraje powinny uczynić to samo. Tyle że w przypadku Polski nie ma żadnej winy. Pojedynczy Polacy może i czynili zło, ale nie można obwiniać całego kraju za czyny jednostek. Polska nie istniała jako kraj w 1940 r. Jest pewna tendencja do wybielenia przeszłości Niemiec. Nie tylko w Izraelu, lecz także w USA. Hannah Arendt zresztą się do tego przyczyniła swoją tezą o „banalności zła”. Przedstawiła Niemców jako jednostki bierne, wykonujące po prostu rozkazy. Czyli Niemiec tylko wykonywał rozkazy i należy to zrozumieć. Za to Polak, który wydał sąsiada, to prawdziwy zbrodniarz. To się kupy nie trzyma. Ale tak się ta narracja ułożyła. A to Adolf Eichmann był prawdziwym zbrodniarzem. Wysyłał ludzi do komór gazowych. Odpowiadał bezpośrednio za Zagładę. Trudno tę narrację przełamać. Ale należy się starać to zrobić.

Da się ją pana zdaniem przełamać za pomocą ustawy?

Nie. Ustawa jak dotąd ma efekt przeciwny do zamierzonego. Wszyscy się oburzają, że Polska chce negować Holokaust, fałszować historię. Ustawami nie da się prostować kłamstw historycznych, co nie oznacza, że Polska nie powinna ich prostować. Powinna. Ma do tego pełne prawo. Polska powinna zainwestować znaczne środki w promowanie swojej martyrologii, w promowanie historycznej prawdy. Bo tego nie można tak pozostawić. Nie jest też dobrze, że Polską jest przedstawiana izraelskiej młodzieży jako muzeum śmierci, a o nowoczesnej Polsce, a także o sytuacji Polaków w czasie II wojny światowej, o ich bohaterstwie, ci młodzi ludzie niczego się nie dowiadują. Byłoby dobrze, gdyby Żydzi przyjeżdżający do Polski dowiedzieli się czegoś o historii tego kraju, także o historii polskich Żydów, która jest przecież taka bogata. Tym mógłby się zająć polski rząd, tymi wycieczkami. Bo one nie powinny tak wyglądać jak obecnie. Można to zrobić we współpracy ze stroną izraelską, z organizacjami pozarządowymi.

Polska strona najwyraźniej nie spodziewała się aż tak ostrej reakcji ze strony Izraela. Żyliśmy w przeświadczeniu, że mamy bardzo dobre stosunki z Tel Awiwem. A teraz rząd nie może się już wycofać z ustawy. Bo sprawę zaszły już za daleko...

Myślę, że Polska nauczyła się czegoś z tego konfliktu: że w relacjach dyplomatycznych jest tak jak w relacjach małżeńskich. Nie mogą one być jednostronne. A takie były w przypadku Izraela. Polska niczego nie wymagała od Tel

Awiwu. I okazało się po dekadzie dobrych relacji, że żaden z naszych polityków wypowiadających się w sprawie nowelizacji ustawy o IPN nic nie wie o Polsce. Pełna ignorancja. Nawet nie próbowali się czegoś dowiedzieć. O tym, jak myślał Polacy, na przykład. A trzeba powiedzieć sobie jasno: by móc mówić choćby o poprawnych relacjach, strona izraelska musi wykonać jakiś wysiłek i postarać się zrozumieć polską perspektywę. Polską historię. W pewien sposób ten konflikt jest więc korzystny, bo nagle Polska i Izrael stoją na równi, a wcześniej moim zdaniem tak nie było. Prawdziwe relacje, te, które były ukryte, wyszły na światło dzienne. Może teraz będzie można rozpocząć debatę na temat historii i porozmawiać jak dorośli. Polska strona powinna jasno powiedzieć Izraelczykom: jeśli uważacie, że byliśmy gorsi od nazistów, to nie przyjaźnijcie się z nami i przestańcie nas prosić o poparcie w ONZ. Bo my nie musimy was popierać. Kawa na lawę. Wtedy będzie szansa

na uzdrowienie relacji. Polacy wreszcie widzą, jak Izraelczycy myślą o nich, oraz widzą, że niektórzy izraelscy politycy nie stronią od używania historii Shoah do swoich celów. Relacje uległy pewnemu urealnieniu. Wycofywać się z ustawy nie należy. Bo to oznaczałoby, że wystarczy trochę presji i polska strona się ugina. Izraelczycy zresztą także się przebudzili. Nagle odkryli, że jest taki kraj jak Polska, w którym mieszkają ludzie mający swoje interesy, wrażliwość, historię, nacjonalizm

i agendę. Nie wygląda to ładnie, ale może im tylko wyjść na dobre. Bo wszystko, co było dotąd ukryte, wyszło na jaw i nie da się tego już zamieść pod dywan.

Nie będzie to jednak łatwe. Są podejmowane próby osadzenia Holokaustu w kontekście europejskim zgodnie z tezą, że antysemityzm panował w całej Europie, tyle że Niemcy przeszli do czynów...

Fajnie, fajnie, tyle że to Niemcy stworzyli obozy koncentracyjne i komory gazowe. I nic tego nie zmieni. Jestem gotów postawić odważną tezę, że nie powstałyby one na południu Włoch czy w Grecji. Tam antysemityzm nie zamieniłby się w masową zagładę Żydów. Oczywiście, że w przypadku niektórych krajów kolaboracja była ogromna: Chorwacja, Austria, Belgia. Dziesiątki tysięcy ludzi dobrowolnie dołączyło w tych krajach do SS. Nikt ich do tego nie zmusił. Istnieje więc jakiś kontekst europejski, ale to nie zmienia faktu, że odpowiedzialni są ci, którzy siedzieli przy stole podczas konferencji w Wannsee i podjęli decyzję o ostatecznym rozwiązaniu. Wszyscy ci ludzie byli Niemcami lub Austriakami. Z odpowiedzialnością jest w tym przypadku jak z drzewem: można obwiniać liście, ile się chce, ale istotne są korzenie. Niemcy odpowiadają za Holokaust. Zaplanowali go i wykonali. Szczególnie Żydzi powinni o tym pamiętać.



czysta oferta **Twoje 300**

Prąd i gaz w **obniżonych cenach**
Naprawa urządzeń na prąd oraz gaz
i **300 zł** zwrotu za prąd!*

Zgłoś się po Twoje 300 zł
tauron.pl/twoje300
555 444 555

Opłata jak za zwykłe połączenie telefoniczne,
zgodnie z taryfą operatora.

* Naprawa urządzeń przez 2 lata do 6000 zł. Szczegóły w Regulaminach na tauron.pl/twoje300.
Bonus wypłacany na konto rozliczeniowe za energię elektryczną w TAURONIE po dokonaniu
rejestracji na tauron.pl/zwrotzaprad

Niech będzie jak w korporacji



MARCIN FIJOŁEK

Z rządu odejdzie nawet 25 proc. wiceministrów, znikną premie i nagrody przyznawane w resortach oraz większość kart kredytowych, będą też zmiany w finansowaniu członków gabinetu – to zapowiedzi premiera Mateusza Morawieckiego z konferencji zatytułowanej „Sprawne państwo”. Pierwsze decyzje personalne (dymisje trzech sekretarzy stanu) zapadły kilka dni po deklaracji szefa rządu, więc można się spodziewać, że nie są to czcze zapowiedzi. Tym bardziej że przeprowadzone badania wskazują na popularność ruchu premiera – z son-

dażu instytutu IBRiS wynika, że niemal 80 proc. Polaków pozytywnie przyjęło pomysły Morawieckiego.

PODWYŻKI: PIERWSZE PODEJŚCIE

Dyskusja będzie jednak wracać – i w parlamencie, podczas przegłosowania pomysłów premiera, i podczas codziennych politycznych debat. Temat bowiem jest złożony, a zainteresowanie sprawą ogromne. Przykład? Politycy od lat mówią o kłopotach z zatrudnianiem fachowców (chodzi o niewystarczające zarobki), ale na koniec wycofywano się z takich pomysłów pod naciskiem opinii publicznej. Kilka dni przed ogłoszeniem zmian spotykam w korytarzach sejmowych Marka Suskiego. Szef gabinetu politycznego premiera przyznaje, że problem istnieje. – Siatka płac u nas jest ustawiona dość dziwnie. Jeśli premier zarabia mniej niż prezes średniej

klasy spółki skarbu państwa, a często nawet mniej niż pracownik niższego szczebla w spółkach, to nie jest to normalna sytuacja – tłumaczy rozmówca „Sieci”.

Suski, który jest parlamentarzystą od roku 2001, doskonale wie, że to temat bardzo delikatny. – Fala populizmu jest tak ogromna, że każdy rząd się wycofywał z propozycji podwyżek. To problem każdej ekipy rządzącej – mówi. Dosadnie, w mało parlamentarny sposób wyraziła go Elżbieta Bieńkowska. Na pamiętnym nagraniu, które wyciekło podczas afery taśmowej, rzuciła do Pawła Wojtunika, że „tylko złodziej lub idiota” podejmie pracę w rządzie za 6 tys. zł. „6 tys. zł! No rozumiesz to? [...] To jest niemożliwe, tak? Żeby ktoś za tyle pracował!”. Słowa te zaczęły wówczas być własnym życiem i wyrwane z kontekstu stały się symbolem oderwania ówczesnych politycznych elit od rzeczywistości.



Fot. Andrzej Huliński/REPORTER

Od pamiętnych słów Elżbiety Bienkowskiej, która przekonywała, że tylko złodziej lub idiota podejmie pracę w rządzie za 6 tys. zł, przez nagrody i premie dla polityków obecnej władzy, po zapowiedź cięć w administracji i zmiany systemu wynagrodzeń temat zarobków dla najważniejszych osób w państwie jak bumerang wraca do debaty publicznej. W ostatnich dniach premier Mateusz Morawiecki otworzył kolejny etap tej dyskusji. Co z niego wynika?

Ale problem pozostał, a zmagali się z nim także politycy PiS, którzy półtora roku temu złożyli projekt podwyżek: dla członków rządu, ale i dla parlamentarzystów. Paweł Kukiz rzucił wtedy hasło: „Koryto+”. Przyłgnęło ono do tej inicjatywy, z której po burzliwych dyskusjach wycofano się rakiem. – Wylano wtedy dziecko z kąpielą, bo przecież można było się wycofać z podwyżek dla posłów, ale sekretarze i podsekretarze stanu powinni zarabiać więcej – słyszę od ważnego polityka obozu rządzącego.

Ile otrzymują dziś ministrowie i wiceministrowie? To 6–8 tys. zł na rękę, czasem na niższych, „eksperckich” szczeblach jeszcze mniej. Jeden z ministrów dobrej zmiany opowiada mi historię, gdy mógł zaproponować za pracę w ministerstwie zaledwie 4–5 tys. zł. To dużo, patrząc na średnią krajową, nie mówiąc o najczęściej spotykanej pensji w Polsce. Ale jednak na warszawskim rynku nie są to pieniądze, którymi

można konkurować o najlepszych ekspertów. – Najlepsi eksperci, fachowcy, specjaliści funkcjonują nie na lokalnym, ale globalnym rynku pracy – przekonuje nasz rozmówca. I dodaje, że warunki trzeba wówczas porównać nie ze średnią krajową nad Wisłą, ale choćby z tym, co może zaproponować międzynarodowa korporacja z siedzibą w Londynie czy Madrycie. – W dzisiejszych czasach w wielu zawodach odległość to żaden problem. A pieniądze nierzadko są trzy–cztery razy lepsze niż to, co może zaoferować rząd. Jak mamy zatem ściągać najlepszych? Hasłem o służbie dla kraju? Owszem, to ważny argument, ale przegrywa, jeśli zarobki w firmie obok są kilkaset procent wyższe, a to najczęściej ludzie wciąż na dorobku – słyszymy.

Oddajmy raz jeszcze głos Markowi Suskiemu. – Po przejściu do kancelarii premiera na stanowisko szefa gabinetu politycznego – wydaje mi się, że to

wysoka funkcja – mam 2 tys. zł niższą pensję i prawie 1,5 tys. zł niższy dodatek funkcyjny niż w czasach, gdy byłem posłem – przyznaje. I choć na drugim oddechu dodaje, że nie skarży się na wysokość pensji, ale jedynie zwraca uwagę na dziurę w siatce płac, to problem pozostaje.

POMYSŁ PREMIERA

Mateusz Morawiecki wyszedł tym oczekiwaniom naprzeciw. A przynajmniej starał się wyjść. Propozycja szefa rządu polega na prostym założeniu: sekretarze stanu, którzy są jednocześnie parlamentarzystami, będą mogli otrzymywać część swojego uposażenia parlamentarnego (w wysokości 50–60 proc.). Z kolei podsekretarze stanu, którzy nie mogą być posłami, trafią do korpusu pracowników służby cywilnej, dzięki czemu ich wynagrodzenia będą mogły skoczyć nawet o 80 proc. – Chcemy,

by przypominało to rozwiązania przyjęte w Skandynawii czy Niemczech. Na tym się wzorowaliśmy – mówi nam osoba pracująca w KPRM przy tych propozycjach.

Diabeł będzie jednak tkwił w szczegółach – premier nie doprecyzował bowiem, jaki miałby być status podsekretarzy i jakie miałyby być zasady ich powoływania. Nie wiadomo też, czy w projekcie ustawy, którą obiecał szef rządu, nie pojawią się furtki pozwalające na obejście tych zapisów. Otwarte pozostaje pytanie, czy funkcję w rządzie będzie można łączyć np. z obecnością w radach nadzorczych spółek skarbu państwa. W sejmowych kuluarach słyszę gorzki żart: „Chce pan wiedzieć, ile zarabia wiceminister? 6 tys. plus dwie rady nadzorcze”. Na jeszcze jeden problem zwraca uwagę Stanisław Tyska z ruchu Kukiz '15. – Może nawet przyjełbyśmy tę zapowiedź premiera jako dobrą monetę, ale Mateusz Morawiecki jeszcze jako wicepremier, półtora roku temu, obiecywał odchudzenie administracji. Tymczasem tendencja jest wręcz przeciwna – ubolewa wice-marszałek Sejmu.

Ruch Kukiz '15 mówi „sprawdzam” i składa dwa projekty ustaw: pierwszy to likwidacja możliwości wypłacania nagród dla ministrów, drugi – likwidacja gabinetów politycznych przy ministerstwach. – Ten drugi projekt to w zasadzie przepisane propozycje polityków PiS, gdy ci byli w opozycji – śmieje się Tyska. – To już ktośś nasze podejście do tematu. Ostatnio na komisji sejmowej koalicja PO-PiS zablokowała przeformowanie tego projektu – dodaje.

Co na to otoczenie premiera? Wśród osób blisko współpracujących z szefem rządu panuje przekonanie, że można to załatwić na poziomie praktyki, a nie zapisów ustawy. Ministrowie i sekretarze stanu mają nie otrzymywać nagród (do tego problemu jeszcze wrócimy), a gabinety polityczne mają zostać radykalnie ograniczone, do niezbędnego minimum. Z naszych ustaleń wynika, że – podobnie jak w sprawie cięć na poziomie wiceministrów – trwają ostatnie negocjacje i ustalenia, ale w najbliż-

szych tygodniach zniknąć ma kilkadziesiąt procent dotychczas obsadzonych stanowisk.

Politycy opozycji nie są jednak przekonani do tych rozwiązań. Władysław Kosiniak-Kamysz, prezes PSL, który sam był ministrem, wie, że problem nie jest wydumany, ale dodaje: – Chciałbym, żeby nie tylko w tej sprawie panowało ponadpolityczne porozumienie. Sami zaproponowaliśmy takie w sprawie służby zdrowia. A tutaj? Nie jesteśmy przeciwni, ale musi być jasno i uczciwie pokazane, na jakich zasadach miałyby to obowiązywać.

W kampanii opowiadaliśmy o pokorze, służbie i Bizancjum za czasów PO, a tymi nagrodami sami rzuciliśmy sobie kłody pod nogi – mówi osoba z otoczenia premiera

Inny z ministrów w czasie rządów PO-PSL Borys Budka przekonuje, że gdyby padła propozycja zdrowej korekty systemu płac, to Platforma na pewno pochyliłaby się nad odpowiednimi zmianami prawa. – Jeśli chodzi o wiceministrów, to gdyby była gwarancja ich kompetencji, kwalifikacji i doświadczenia zawodowego, to możemy porozmawiać o zmianie systemu, ale nie może to być forma drugiej pensji. Pytanie również, do kogo miałyby trafić podwyżki. Żaden z sekretarzy stanu, którzy mają dziś mandat poselski, nie zarobiłby przecież więcej na rynku – mówi Budka. I przyznaje, że sam zarabiał więcej przed przyjściem do Sejmu. – Nie neguję, że wiceministrowie mają mnóstwo pracy, ale trzeba to zmieniać systemowo, a nie dorywczo, pod publiczkę, manipulując opinią publiczną – dodaje.

Paweł Rabiej z Nowoczesnej jest ostrożnym optymistą w zakresie zapowiedzi Mateusza Morawieckiego. – Cieszę się, że oko premiera spoczęło

na tym temacie, bo aktywność i jakość administracji jest bardzo ważna. Bez sensu jest jednak zupełnie likwidować nagrody. Jeśli mieliby otrzymywać je ludzie, którzy na to zasługują, to dla mnie jest OK. Przykład? Ludzie, którzy zajmują się uszczelnianiem systemu VAT, powinni otrzymać nagrody, zaoszczędzili przecież gigantyczne pieniądze dla państwa – mówi polityk Nowoczesnej.

Jego szefowa nie jest już tak wyrozumiała. – Najpierw tworzą rekordowo wielki rząd i przyznają rekordowe nagrody, wyższe od rocznych średnich zarobków Polaków. Potem mamy udawaną skruszę i zapowiedź zmian. To hipokryzja i obłuda, a Pisan-cjum rośnie – mówi Katarzyna Lubnauer. – To typowa buta i arogancja tych, którym się wydaje, że nie mają z kim przegrać – rzuca na koniec.

Andrzej Halicki, który w czasach rządów PO kierował sporym resortem administracji i cyfryzacji, zaznacza, że problem ze ściąganiem do pracy dla rządu np. programistów istnieje. Ale i on dodaje: – Nie można walczyć z Bizancjum i wieszać psów na poprzednikach, a przy tym gdzieś pod stołem przyznawać sobie nagrody.

Budka gorliwie dodaje: – Nigdy w czasie ośmiu lat rządów PO i PSL żaden z konstytucyjnych ministrów nie otrzymał nagrody. Dostawali je urzędnicy, nie nagradzaliśmy samych siebie. I tym się różnimy od PiS, które wymyśliło stały dodatek do wynagrodzenia w formie nagród.

BEZ MAŁPICH RUCHÓW

No właśnie, kwestia nagród. W ostatnich tygodniach z odpowiedzi na interpelacje posłów opozycji opinia publiczna dowiedziała się o kilkudziesięciu tysiącach złotych nagród i premii dla ministrów spod znaku dobrej zmiany. Czy zapowiedzi premiera Morawieckiego to odpowiedź na tamto zamieszanie? W KPRM słyszymy, że choć pomysły na cięcia w administracji powstały wcześniej, to ich realizacja ma przyspieszyć właśnie w związku z nagrodami. – Napięcie z Izraelem czy spór z UE możemy dość łatwo wyth-

maczyć naszym wyborcom, ale tutaj? W kampanii opowiadaliśmy głośno o pokorze, służbie i Bizancjum za czasów Platformy, a tutaj sami rzucamy sobie kłody pod nogi. Musimy sprzątać po poprzednikach z własnego obozu – przekonuje rozmówca „Sieci” z otoczenia szefa rządu.

Budka wskazuje jednak, że sam Morawiecki był przez dwa lata wicepremierem oraz ministrem i na system przyznawania nagród nie narzekał. – Sprawa jest prosta: możemy rozmawiać, ale nie z hipokrytami, którzy udają, że chcą nagradzać za pracę – rzuca polityk PO.

Gdzie w tej politycznej, partyjnej przepychance jest prawda? Oddajmy głos osobie, która przez ostatnie lata pracowała w administracji na kierowniczym, ministerialnym stanowisku. – Prawdą jest, że robienie małych ruchów pt. „nieoznakowane nagrody” jest oszukiwaniem ludzi. Politycy muszą być na tyle uczciwi i odważni, że powinni zakomunikować wprost: dobre zarzą-

danie państwem kosztuje – zaznacza nasz rozmówca.

Dodatkowym problemem jest kwestia wymiany ludzi w administracji. – O tym powinien pan napisać osobny artykuł. Niemal każdy pracownik jest w jakiś sposób chroniony prawnie. Nawet największego cymbała nie możemy wyrzucić z dnia na dzień – słyszymy w jednym z ministerstw.

Obozowi Zjednoczonej Prawicy na pewno nie przysłużyły się takie wypowiedzi jak Jarosława Gowina. Wicepremier w ogniu dyskusji o zarobkach dla członków rządu rzucił nawet, że w czasach, gdy był ministrem sprawiedliwości (w rządzie PO-PSL), bywało, że brakowało mu do pierwszego. Sam zainteresowany natychmiast przeprosił za swoje słowa i doprecyzował je, ale te – jak w przypadku Bieńkowskiej – poszły w świat. – Jesteśmy w pewnym stopniu zakładnikami tego, co mówiliśmy w kampanii, także wykorzystując wypowiedź Bieńkowskiej – przyznaje osoba z rządu.

– Niech będzie jak w korporacji – słyszę od niemal wszystkich polityków, niezależnie od barw partyjnych i poglądów. – Morawiecki zna przecież korporacyjny system w tym zakresie, szefował dużemu bankowi, wie, jak to działa – przyznają nawet rozmówcy z opozycji. Odpowiedź przynajmniej w teorii jest prosta – w rządzie powinny obowiązywać wysokie wynagrodzenia, ale i wysokie wymagania, a do tego twarda, regularna kontrola oraz rozliczenia z obiecanych efektów. – To również kwestia problemów z komunikacją i powiedzeniem ludziom: co konkretnie chcemy zrobić w danym resorcie, dla kogo to robimy, ile czasu potrzebujemy, jakich zasad się trzymamy. Tego brakuje nie od dziś ani wczoraj, ale od dekad – mówi jeden z rządowych polityków. Czy rzeczywiście propozycje szefa rządu to pierwszy krok na drodze podporządkowania administracji tym regułom?

Współpraca: Kamil Kwiatek

REKLAMA



PiW Państwowy
Instytut
Wydawniczy

Carlos Fuentes

**KRAINA
NAJCZYSTSZEGO
POWIETRZA**

Powieść totalna
Tytuł, który zapoczątkował
boom literatury
latynoamerykańskiej
na świecie

Polecamy również:
Herbert Rosendorfer
BUDOWNICZY RUIN

Yukio Mishima
ZŁOTA PAGODA

Antal Szerb
PODRÓŻNY
I ŚWIATŁO KSIĘŻYCA

Raymond Roussel
LOCUS SOLUS

Książki do kupienia
w sklepie internetowym
na www.piw.pl oraz
w dobrych księgarniach
na terenie kraju

Partia Zero

W latach 2016–2017 istniało historyczne okno dla utworzenia nowej znaczącej partii w Polsce. Nikt z tego nie skorzystał. A teraz okno już się zamknęło



STANISŁAW JANICKI

Dwa wydarzenia zdominowały ostatnie dwa lata w polskiej polityce po stronie opozycji: lęk i oczekiwanie na powrót Donalda Tuska na białym koniu oraz lęk i oczekiwanie na powstanie nowej partii. Problemem jest to, że Tusk i nowa partia funkcjonują tu w roli politycznego jednorożca. O tym mitycznym stworzeniu istnieje wiele opowieści, i to już od czasów starożytnych, tylko sam jednorożec nie istnieje.

O Tusku i zapowiedziach jego powrotu już pisałem na łamach „Sieci”, natomiast fenomenowi nowej partii warto się przyjrzeć. Tym bardziej że o ile Tusk jest realny, choć może nie w wersji zbawcy na białym koniu, o tyle nowa partia jest jednorożcem w ścisłym sensie, ale wcale tak nie musiało być. Dlaczego ten projekt nazywam Partią Zero. Z dwóch powodów: po pierwsze, miała zaczynać od zera, czyli być rezultatem resetu w polskiej polityce, a po drugie, na razie ma zerowe osiągnięcia, choć próbowały ją animować różne siły polityczne i miała kilka otwartych historycznych okienek.

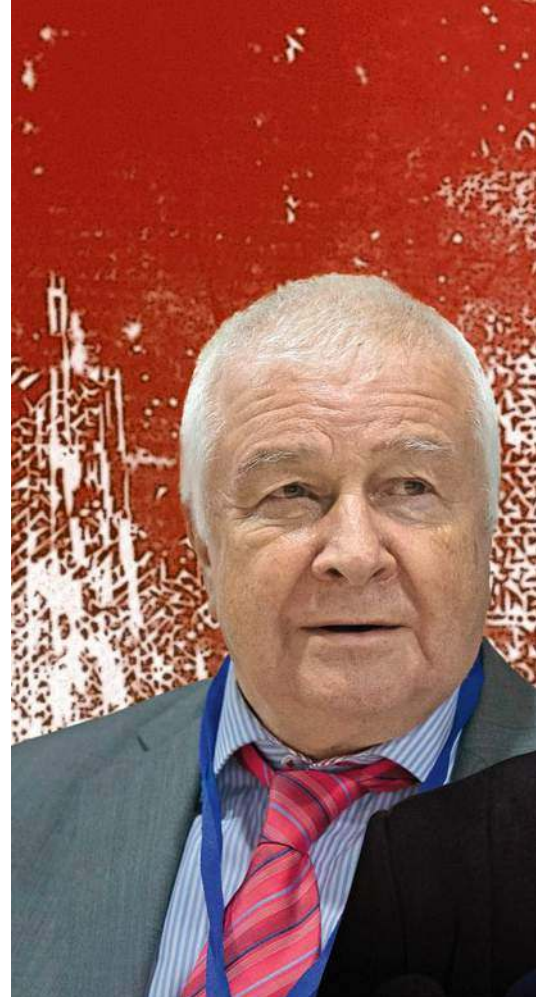
WARIANT LEWICOWY I KOBIECY

Najbardziej oczekiwano Partii Zero po lewej stronie polskiej sceny politycznej. I najczęściej spekulowano, że byłby to polski odpowiednik greckiej

Syrizy (powstałej już w 2004 r., ale sukcesy odnoszącej od 2012 r.) albo hiszpańskiej partii Podemos (powstałej w 2014 r.). Oba ugrupowania odwołują się do alterglobalizmu, demokracji bezpośredniej, ekosocjalizmu oraz tzw. demokratycznego socjalizmu, choć Syriza na początku miała bliższe związki z eurokomunistami i trockistami.

Polska Partia Zero miała powstać przede wszystkim dlatego, że po wyborczej klęsce w 2015 r. nie mógł się podnieść Sojusz Lewicy Demokratycznej (głównie z powodu startu jako koalicji Zjednoczonej Lewicy, czyli podwyższenia progu wyborczego do 8 proc.). A jego nowy lider Włodzimierz Czarzasty był zupełnie nierozpoznawalny i niewidoczny. Poza tym SLD, nawet po lewej stronie, był postrzegany jako partia postkomunistyczna, niepasująca do nowych czasów, z wymierającym elektoratem. Dla zwolenników lewicy współczesny SLD był zbyt niezdecydowany: czy ma być klasycznym ugrupowaniem socjalnym, obyczajową awangardą, czy partią antyklerykalów.

Tuż po wyborczej porażce SLD największe szanse na zajęcie jego miejsca miała Partia Razem Adriana Zandberga, trochę przypominająca Syrizę i Podemos. Wprawdzie nie weszła ona do Sejmu, ale jako ugrupowanie założone zaledwie kilka miesięcy przed wyborami (zarejestrowane w lipcu 2015 r.) zdobyła całkiem spore poparcie – 3,62 proc., co zagwarantowało jej stabilność finansową poza Sejmem – z powodu uprawnienia do otrzymywania subwencji z budżetu państwa. Jednak po wyborach partia Zandberga raczej się zwinęła, niż rozwinęła, a na jej niekorzyść działała zbyt wyrazista marksistowska czy trockistowska identyfikacja.



Po lewej stronie był jeszcze Twój Ruch Janusza Palikota, który przed wyborami w 2015 r. wszedł w skład Zjednoczonej Lewicy, a po wyborczej porażce zaczął anihilować. Nic nie pomogło przywództwo Barbary Nowackiej, która w czerwcu 2017 r. ugrupowanie porzuciła, przesądając o jego całkowitym upadku. Wciąż istnieje lewicowa Partia Zieloni, stawiająca na ekosocjalizm i obyczajową awangardę, ale nigdy nie wyszła ona poza margines sceny politycznej. Całkowitym marginesem stała się w ostatnich latach istniejąca od 1992 r. Unia Pracy, podobnie jak reaktywowana jeszcze w 1987 r. Polska Partia Socjalistyczna. Niczego nie osiągnęła na lewicy Partia Kobiet, założona w 2007 r. przez pisarkę Manuę Gretkowską, obecnie występująca jako Inicjatywa Feministyczna. W poważną siłę polityczną nie przekształciły się oddolne inicjatywy kobiet, najbardziej głośne i liczne podczas „czarnych protestów” i marszów, głównie w sprawie aborcji. Okazało się, że protesty kobiece nie wychodzą poza formę flash mobów i nie prowadzą do powstania nowej,



silnej partii czy wzmocnienia już istniejących ugrupowań.

Nie ma więc wciąż w Polsce nowego silnego ugrupowania lewicowego, choć wielu liczyło na powstanie rodzimej Syrizy (w Grecji partii rządzącej). I nic nie wskazuje na to, że szybko pojawi się szansa na powstanie takiego ugrupowania, jakie istniało w 2015 i 2016 r. Skutkiem tego jest wzmacnianie starożytnego, znanego SLD, mimo słabego przywództwa Włodzimierza Czarzastego. Trudno jednak mieć złudzenia, że SLD przekroczy 10 proc. poparcia. Wydaje się, że historyczne okno dla lewicowej Partii Zero na lata zostało zamknięte.

WARIANT NARODOWY I ANTYSYSTEMOWY

Partia Zero nie powstała też po stronie antysystemowej czy narodowej prawicy. Takim ugrupowaniem w wersji narodowej próbują zostać: powołany w 1993 r. Obóz Narodowo-Radykalny, istniejący od 2012 r. Ruch Narodowy, działająca od 1989 r. Młodzież Wszechpolska czy powstałe w 2016 r. Stowarzy-

szenie Endecja. Trzy pierwsze często działały wspólnie.

Najbardziej radykalni narodowcy chcieliby Partii Zero w wersji węgierskiego Jobbiku (przy wszystkich różnicach programowych i ideowych), czyli trzeciej siły politycznej, usytuowanej na prawo od rządzącego ugrupowania (na Węgrzech od Fideszu, w Polsce – od PiS). Ale nigdy im się nie udało zyskanie statusu ani pozycji Jobbiku, choć wydawało się, że okno historyczne dla takiej inicjatywy istniało szczególnie w latach 2016–2017.

Nie powiodło się także powołanie Partii Zero w umiarkowanej wersji narodowej, co było szczególnie bliskie Ruchowi Narodowemu i Stowarzyszeniu Endecja. Wehikułem dla takiego ugrupowania miał być Kukiz '15, ale pod koniec 2017 r. doszło do rozejścia się dróg Pawła Kukiza i narodowców, przez co ewentualna Partia Zero straciła zaplecze. I mimo odrodzenia patriotycznych uczuć dużej części Polaków, szczególnie młodych, nic nie wskazuje na to, żeby to endecy mieli na tym politycznie skorzystać. Następane historyczne okno dla na-

rodowców i ich wersji Partii Zero może się nie pojawić przez wiele lat.

Partią Zero w wersji antysystemowej nie stał się ruch Kukiz '15, choć często stara się taką rolę odgrywać. Wprawdzie ugrupowanie Pawła Kukiza powołuje się na bliskie związki z Ruchem Pięciu Gwiazd i jego liderem Luigim di Maio, ale włoska formacja w krótkim czasie stała się polityczną potęgą, podczas gdy Kukiz '15 raczej się kurczy. W wyborach 4 marca 2018 r. Ruch Pięciu Gwiazd zdobył 32,66 proc. poparcia i 221 mandatów w Izbie Deputowanych oraz 112 w Senacie. Wcześniej zdobywał już ważne przyczółki w samorządach, np. z tego ugrupowania wywodzą się burmistrzowie Rzymu i Turynu (Virginia Raggi i Chiara Appendino). W warstwie ideowej oba ugrupowania sporo łączy, ale wydaje się, że w Polsce nie ma takiego antysystemowego potencjału jak we Włoszech. Poza tym Paweł Kukiz tnie po skrzydłach swego ugrupowania i ogranicza jego zaplecze, podczas gdy liderzy Ruchu Pięciu Gwiazd postępują odwrotnie. W efekcie szanse przekształcenia się Kukiz '15

w antysystemową Partię Zero maleją, a nie rosną.

WARIANT LIBERALNY I EUROSCEPTYCZNY

Żadnych szans na bycie antysystemową Partią Zero nie ma już Komitet Obrony Demokracji, skompromitowany przez pierwszego lidera Mateusza Kijowskiego i związany przez jego następcę Krzysztofa Łozińskiego. A przecież w 2016 r. KOD miał niepowtarzalną szansę, by stać się poważną siłą w polskiej polityce. Takie szanse miała też Nowoczesna Ryszarda Petru (liberalna wersja Partii Zero), ale straciła je wskutek egoizmu (prywaty) lidera oraz bezbarwności i bezradności jego następczyni Katarzyny Lubnauer. Nowoczesna była pompowana i lewarowana przez te same siły i grupy interesów, które pomagały wcześniej Platformie Obywatelskiej. A to dlatego, że partia była pomyślana jako alternatywa, kontynuacja bądź trawna ratunkowa dla Platformy. Okazało się, że PO nie osłabła na tyle, by zrobić miejsce dla Nowoczesnej, a sama ta partia stworzyła zbyt anemiczne struktury, żeby mogła się stać Partią Zero. W efekcie Nowoczesna w sondażach spada już poniżej progu wyborczego, a jej „opiekunowie” przestali na nią liczyć, choć tuż po przejęciu władzy przez Katarzynę Lubnauer na krótko się ożywili i udzielali swego wsparcia. Licząc przy tym na otwarcie Nowoczesnej na centrolewicę, skoro elektorat liberalny okazał się zbyt szczupły.

Nie powstała i raczej nie powstanie Partia Zero w wersji Alternatywy dla Niemiec, gdyż znaczące dla tej partii środowiska mieszczańskie, akademickie, przedsiębiorcy i wolne zawody nie mają w Polsce takich poglądów (eurosceptycyzm, niechęć do imigrantów, sprzeciw wobec euro, demokracja bezpośrednia) jak członkowie i sympatycy AfD. Czasem kojarzeni z AfD polscy narodowcy nie mają nawet cienia takiego zaplecza w kręgach akademickich i mieszczańskich, a poza tym w Polsce nie ma problemu z bardzo liczną imigracją, głównie z państw muzułmańskich,

żeby antyimigrancki program miał duże znaczenie. Zupełnie inne znaczenie w Polsce i w Niemczech ma też odwoływanie się do czynnika narodowego.

STATUS QUO ZE WSKAZANIEM NA PiS

Wszystko wskazuje na to, że najlepszy czas dla powstania Partii Zero (we wszystkich wymienionych wyżej wersjach) skończył się wraz z 2017 r., a następna szansa może się pojawić dopiero za dziesięć albo i więcej lat. W latach 2018–2020 istniejące partie, szczególnie te parlamentarne, będą zbyt uwikłane w cztery nadchodzące kampanie

W najbliższych latach zanoszą się na utrwalenie obecnego kształtu polskiej sceny politycznej, co najkorzystniejsze jest dla PiS. Dlaczego? Bo rządząca partia ma znacznie więcej atutów i przewag niż partie opozycyjne

wyborcze, by myśleć o przekształceniu się w nowe byty, w nowe Partie Zero, jak w 2001 r. było z PiS i PO. Zapewne przed wyborami parlamentarnymi w coś nowego przekształcą się któreś z ugrupowań pozaparlamentarnych, ale nie ma szans na stanie się poważną Partią Zero. Tym bardziej po fatalnych doświadczeniach z Nowoczesną i Komitetem Obrony Demokracji.

Nie będzie poważnej Partii Zero także dlatego, że w polskiej polityce mamy deficyt przywódców, a bardzo trudno jest wykreować lidera z niczego. Zawiedli na całej linii Ryszard Petru, Katarzyna Lubnauer, Barbara Nowacka i Mateusz Kijowski, kompletnie się marginalizuje nowo-stary Władysław Frasyniuk. A liczne inicjatywy polityczne kobiet właściwie nie wyłoniły nikogo znaczącego w roli liderki. Może

poza wylansowaniem się kilku aktorek (np. Krystyny Jandy, Mai Ostaszewskiej, Magdaleny Cieleckiej), które jednak nie przejdą do czynnej polityki.

W najbliższych latach zanoszą się na utrwalenie obecnego kształtu polskiej sceny politycznej, co najkorzystniejsze jest dla Prawa i Sprawiedliwości, szczególnie gdy ta partia rządzi i ma znacznie więcej atutów i przewag z tego powodu niż partie opozycyjne. PiS może nadal przejmować wyborców innych ugrupowań, co byłoby trudniejsze, gdyby pojawiły się choćby dwie w miarę silne Partie Zero (np. w wersji narodowej, antysystemowej czy lewicowej). Dlatego brak poważnej Partii Zero stwarza PiS

szanse rządzenia przez następne dwie kadencje. To, że nie powstała poważna Partia Zero i raczej nie powstanie, wzmacnia też PO, gdyż nowa partia znacznie bardziej zagrażałaby opozycji niż rządzącym. Wprawdzie Grzegorz Schetyna nie okazał się wielkim przywódcą ani liderem, ale zdołał utrzymać dominację Platformy po stronie opozycji. I trzeba mu oddać, że właściwie ocenił Nowoczesną oraz KOD, nie wchodząc z nimi w bliskie relacje wtedy, gdy były w miarę silne. A teraz może sobie pozwolić na układy z Nowoczesną, bo może to robić z pozycji siły.

PO uniknęła marginalizacji czy anihilacji z powodu braku konkurencji jakichś Partii Zero, ale też nie ma powodów do triumfalizmu. Poparcie dla niej utrzymuje się na poziomie 16–20 proc. i bardzo trudno będzie zyskać więcej. Schetyny nie musi to martwić, gdyż gwarantuje mu przywództwo. Może to martwić jego partyjnych konkurentów, np. Borysa Budkę, co wobec zbliżającej się serii wyborów mogłoby doprowadzić do jakiegoś wewnętrznego puczu. Gdyby jednak nie udało się wysadzić Schetynę z siodła, rozłamowcy z PO mogliby stworzyć Partię Zero. Nie byłaby ona jednak groźna dla obozu władzy, bo spowodowałaby podzielenie aktywów i elektoratu PO. Bardziej prawdopodobne jest jednak to, że żadna poważna Partia Zero nie powstanie. Było wiele szans w latach 2016–2017, lecz ich nie wykorzystano.



Weź karierę we własne ręce

Staż w PZU pozytywnie nakręca

W PZU czekają na ciebie oferty **płatnych praktyk i staży**.
Podejmij wyzwanie dołącz do nas i twórz z nami #nowePZU.

Aplikuj **do 15 kwietnia**

Oferty praktyk i staży znajdziesz na:
pzu.pl/kariera



Między prawdą a Dziębą

Michał Dzięba złożył zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa przez Rafała Trzaskowskiego

Fot. Marek Łuczniak/REPORTER

Miały być poważne zarzuty pod adresem kandydata PO na prezydenta Warszawy, wyszła kilkudniowa zadyma medialna, w wyniku której najbardziej skompromitował się sam oskarżający. Dawni znajomi mówią o jego taktyce: „Ziarnko prawdy i galaktyka zmyśleń”. Z „nawróconego” rycerza, który ujawnia brudy dawnej władzy, pozostał tylko szantażysta. Im więcej wiemy o Michale Dziębie, „złotym chłopcu Platformy”, tym bardziej groteskową jawi się on postacią



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Kokaina, sex party, romans z pracownicą biura, przyjęcie „pod stołem” 150 tys. zł na kampanię wyborczą w 2009 r. – takie zarzuty Michał Dzięba ni stąd, ni zowąd sformułował pod adresem Rafała Trzaskowskiego 21 lutego. Jego wpis na Facebooku podjęły wszystkie media. Wyglądało to na mocny cios wymierzony w kandydata PO na prezydenta Warszawy. Tym mocniejszy, że z Dziębą dobrze się znają. Przez rok pracowali w brukselskim biurze, gdy Trzaskowski był europosem, a Dzięba załatwiał przeróżnych spraw w otoczeniu najważniejszych polityków Platformy.

Nazywano go nawet „pierwszym kadrowym skarbu” – bo działał zwłaszcza w obszarze państwowych spółek, które nadzorował jego pryncypał.

FANTASTA Z SIECI

Gdy przed dwoma tygodniami rozpoczął atak na Trzaskowskiego, polityk PO natychmiast stwierdził, że to wszystko bzdury, a Dziębę czeka proces. Mijały dni, były minister cyfryzacji pozwu nie składał. Do prokuratury poszedł za to (5 marca) Dzięba. Na briefingu bez ogródek oświadczył dziennikarzom, że jego celem jest wyeliminowanie Trzaskowskiego z życia politycznego. Zaczyna się więc głębsze przeświadczenie oskarżającego. Dopiero wtedy się okazało, że jego wiarygodność jest krucha.

Ale najpierw cofnijmy się o kilka tygodni.

Pod koniec ub.r. Michał Dzięba nagle uaktywnił się w mediach społecznościowych, jego wpisy stały się publiczne. Spójrzmy na najciekawsze. Ocenia, że

sekretarz generalny PO zwariował, za Grzegorza Schetynę jest mu wstyd, a rodzina Hanny Gronkiewicz-Waltz powinna zwrócić pieniądze za Noakowskiego 16. Uderza przede wszystkim w dawnych politycznych kolegów.

11 stycznia publikuje... spis treści statutu ruchu społecznego „Obywatele dla Polski”. Skrót tej nazwy znajdziemy w wielu jego wpisach. Wreszcie Dzięba pojawia się w koszulce z logo organizacji, która... nie istnieje. Pod tą nazwą działa na Facebooku jakaś grupa z Kłódzka (wspierająca „Kluby Obywatelskie” Platformy) i kolejna – nieaktywna od listopada. Dzięba nie ma z nimi nic wspólnego.

12 stycznia nasz bohater ogłasza światu, że odbył „bardzo dobre, przygodkowe spotkanie w garażu hotelu Hilton” z szefem CBA. Ernest Bejda miał mu obiecać, że „inteligentny pracownik CBA wysłucha historii korupcji profesora Gawlika przez prezesa KGHM Herberta Wirtha”. Jak wynika z naszych informacji, o swojej „rozmowie” z Bejdą

Dzięba poinformował nawet... samego premiera, wysyłając mu wiadomość za pomocą jednej z aplikacji mobilnych.

Są powody, by podejrzewać, że mamy do czynienia z fantastą i internetowym trollem. Ale idźmy dalej.

13 stycznia Dzięba publikuje zdjęcie sugerujące, że to okładka planowanej książki. Tytuł: „Moja Platforma. Historia jednej partii”. Poniżej autorzy: Michał Dzięba, Marcin Rosół, Piotr Nisztor, Warszawa 2019. W komentarzach odzywa się Marcin Rosół (b. szef gabinetu politycznego ministra sportu Mirosława Drzewieckiego, skompromitowanego w aferze hazardowej). Stanowczo prosi, by usunąć jego nazwisko, choć nazywa Dziębę swoim przyjacielem. Nisztor (dziennikarz „Gazety Polskiej” i TV Republika) nie reaguje. Oficjalnie w sprawie Dzięba vs Trzaskowski pojawi się dopiero za miesiąc.

W międzyczasie Dzięba objawi nam się jeszcze jako zwolennik Zbigniewa Ziobry, Jarosława Kaczyńskiego i słuchacz Radia Maryja. Dwa dni później opowie o rzekomych perwersjach Rafała Ziemkiewicza.

Pod jego wpisami coraz częściej natpukamy komentarze od dawnych znajomych w stylu: „Jakbyś potrzebował porady lekarskiej, daj znać. Masz ogromne problemy sam ze sobą”.

LEKI I DOZÓR POLICYJNY

Gdy przed budynkiem prokuratury Dzięba był dopytywany, dlaczego ze złożeniem zawiadomienia czekał dziewięć lat, nie znalazł przekonującej odpowiedzi. W licznych tego dnia wywiadach nie potrafił też wytłumaczyć swojego stanu zdrowia. Wątpliwości zasiewa to, że przez kilka tygodni przebywał na obserwacji w szpitalu psychiatrycznym w Tworkach. Zarzeka się, że nigdy nie przyjmował żadnych leków na dolegliwości psychiczne. Gdy dziennikarz Onetu zapytał o kilka konkretnych farmaceutyków, Dzięba obruszył się, że jego rozmówca bezprawnie wszedł w posiadanie jego dokumentacji medycznej. Czyli leki były... Niezadowolony z programu złożył na dziennikarza doniesienie do prokuratury.

W tej samej rozmowie okazało się, że Dzięba objęty jest dozorem policyjnym

i zakazem zbliżania się do byłej partnerki. Wiarygodność topnieje w oczach.

Docieramy do jego dawnych znajomych. Nikt nie chce mówić pod nazwiskiem. Obawiają się kłopotów – stalkingu, szantażu, fałszywych oskarżeń o wszystkie grzechy świata. – Nie poznaję człowieka. To jakby nie on. Kiedyś był bystrym facetem. Dziś jego wypowiedzi przypominają chaotyczny strumień świadomości – słyszymy.

Kolejna osoba: – W tym, co Michał mówi, zawsze jest ziarno prawdy i galaktyka zmyśleń. Weźmy np. ten romans w Brukseli. Owszem, był, ale nie z udziałem Rafała, lecz innego człowieka. Albo te kolejne zarzuty o łapówki przy przeróżnych sprawach, którymi sypie teraz jak z rękawa. Na żadną nie ma dowodów. Ale część z nich pewnie będzie pasować do łatki platformersów-aferalów, więc media mogą to podchwycić.

SZANTAŻYSTA

Najpoważniejszym (politycznie i biznesowo) zarzutem, jaki Trzaskowskiemu stawia Dzięba, jest przyjęcie 150 tys. zł od Marcina Cioka na kampanię wyborczą. Zanim Dzięba opowiedział o tym publicznie, miesiąc wcześniej wysłał Ciokowi (dawnemu koledze, z którym próbował robić interesy) wiadomość: „Jeśli chcesz zamknąć papierową umową rozliczeniową swoje zobowiązania z tytułu projektu EC Ursus, to rachunek jest dosyć prosty: 1,8 mln pln plus odsetki od 04/06/2012. Proponuję czas do namysłu: 24 h”. Dalej m.in. straszyswoją „cenną wiedzą”, którą „potrafi wymienić na inne rzeczy”. Kolejnego dnia: „We wtorek wracam z Nicei i organizuję Ci piekło: Ujazdowskiego 9, wejście od Szucha”. To adres CBA, a cała korespondencja – klasyczny szantaż.

Ciok stanowczo stwierdza, że Dzięba buja w obłokach. Składa do prokuratury doniesienie w sprawie szantażu. Tego samego dnia jego kolega dostaje wiadomość od Dzięby; na zdjęciu obok numeru telefonu do dyrektora Departamentu Operacyjno-Sledczego CBA przekaz: „Ja dziś jestem nie do ruszenia”.

– Marcin pociął się z Michałem już w 2012 r. – mówi nam ich wspólny znajomy. – Mało brakowało, a by się pobili. Od pewnego momentu rozmawiali

tylko przez prawników. Dzięba domagał się od Cioka jakichś nienależnych pieniędzy. Z tego, co wiem, to teraz próbuje wyciągać kasę nie tylko od Marcina, lecz i od innych dawnych znajomych. Straszyszy „obyczajówką” – dodaje.

Nasz rozmówca pokazuje wiadomość, którą rozsyłał Dzięba. Na zdjęciu kobieta w bieliźnie, rzekomo prostytutka, która ma mieć dużą wiedzę o seksimprezach polityków i biznesmenów. Następnie pokazuje twitterowe konto Nisztor. A tam to samo zdjęcie (z zamazaną twarzą) i słowa: „To jedna z tych pań, które wiedzą sporo o ostrych imprezach z udziałem wpływowych i bardzo wpływowych”. Poniżej kolejny tweet: „Jeśli prawdą jest, że kilka ekskluzywnych warszawskich pańienek notarialnie poświadczyło szczegóły imprez, w których uczestniczyły, to w najbliższej przyszłości będzie mega turbo grubo... I to kto wciągał, będzie najmniejszym problemem”.

To Nisztor najmocniej promuje Dziębę w mediach, aż dwukrotnie w ostatnich dniach przeprowadził z nim duże wywiady (w TV Republika oraz Polskim Radiu 24). Jak mówią nasi informatorzy, nie ma w tym przypadku. Ani w tym, że Dzięba zamieścił nazwisko Nisztor na rzekomo planowanej książce o PO. Obaj panowie mają się znać co najmniej od 2012 r.

Warto więc zapytać: co łączy pracującego dziennikarza śledczego ze „złotym chłopcem Platformy”? Dość powiedzieć, że mają wspólnych wrogów, i to nie tylko wśród polityków PO. Ale to temat na inną opowieść.

Nie ulega wątpliwości, że Michał Dzięba ma potężną wiedzę o zakulisowych rozgrywkach w Platformie, układach i układzikach w spółkach skarbu państwa w czasie rządów Donalda Tuska, a może i niewyświetlonych jeszcze przekrętach, którymi powinien się zająć prokurator. Dużo też pewnie wie o sprawach prywatnych, których ujawnienia dawni zamożni znajomi mogą się obawiać. Trudno jednak przypuszczać, by po szarży tego pana wymierzonej w Rafała Trzaskowskiego, nadaktywności w internecie i zarzutach bez pokrycia ktokolwiek rozsądny mógł w przyszłości jego rewelacje potraktować poważnie.

Najgorsze jest to, że dziecko przy ubieraniu przeważnie zaczyna płakać, więc przeciskanie ubranka przez głowę to jakiś koszmar. Pocę się wtedy i zaczynają mi się trząść ręce

*Ze **Stanisławem Tyszką**,
wicemarszałkiem Sejmu
z ramienia ruchu Kukiz '15,
rozmawia Dorota Łosiewicz*

W domu marszałkiem jest

Trzy i pół miesiąca temu został pan ojcem po raz drugi. Za drugim razem było łatwiej?

Stanisław Tyska: Jest na pewno trochę inaczej. Pierwsza była dziewczynka, teraz jest syn, więc dzieci są trochę inne w obsłudze. Kilka razy zdarzyło mi się, że gdy przewijałem syna, będąc już w garniturze, bo szedłem do Sejmu, zaatakowała mnie fontanna... Musiałem się szybko przebierać. Z dziewczynką takich niespodzianek

nie było. Ostatnio więc nie wyrywam się już do przewijania. Za drugim razem jest trochę łatwiej, bo już jest mniej niespodzianek, ale nie ukrywam, że przez cztery i pół roku trochę zdążyliśmy zapomnieć, jak to było z takim maluchem. Poza tym córka lepiej spała. Aktualne nocne perypetie dają nam w kość i są pewnym zaskoczeniem, a usypianie trwa wieki. Taka rodzicielska norma. Poza tym mam dość spokojne dzieci. Ostatnio zauważyłem,

że gdy laskoczę synka pod brodą, to się uśmiecha, reaguje. To znaczny postęp w porównaniu z tym, co było, gdy miał np. sześć tygodni. Na pewno jednak to żona stoi przed większym wyzwaniem, żeby poradzić sobie z dwójką. Tu muszę się jej uklonić.

Ale chyba widuje pan dzieci?

Oczywiście, choć może nie mam dla nich tyle czasu, ile bym chciał. Dużo pracuję. Jestem trochę pracoholikiem.

żona

Mam jednak swoje stałe obowiązki, np. kąpienie to moja działka. No i teraz muszę się schylać dwa razy więcej. A że ostatnio jestem nieco na bakier ze sportem, czuję to w kręgosłupie. Poranne odprowadzanie do przedszkola to także moje zadanie. Staram się też o atrakcje w weekendy. Ostatnio byłem z córką na łyżwach. Chociaż tyle ruchu złapałem. Rok temu udało nam się pojechać pierwszy raz od 20 lat na narty. Jeździmy na rowerach. Dzięki

niej odzyskuję młodość. Bawimy się też razem klockami. Właśnie odkopałem w piwnicy po 30 latach klocki Lego moje i moich braci. Gramy też w Pytaki, warcaby, przerabiamy świetny metodologicznie „Elementarz w podskokach”.

Jakimi zasadami kieruje się pan w wychowaniu?

Miłość, cierpliwość, ale na wczesnym etapie ważna jest też dyscyplina czy może raczej stosowanie mądrych ograniczeń. Dzieci dziś są wychowywane zupełnie inaczej niż moje pokolenie. Mają wszystko, a może bardziej: wszystkiego za dużo. Rzeczy przestają cieszyć. Dlatego staram się czasem odmawiać córce kolejnego gadżetu z Anną i Elzą. Wtedy to, co ma, będzie miało dla niej większą wartość. Pochodzę z wielodzietnej rodziny. Mam dwie siostry i dwóch braci. W takiej rodzinie muszą obowiązywać zasady, normy i pewna dyscyplina, bo inaczej rodzice by oszaleli. My np. chodziliśmy spać o stałej porze, tata pilnował, żebyśmy składali ubranie w kostkę itd. Cenię sobie takie zasady i chciałbym, żeby u nas obowiązywała np. stała pora kładzenia się spać. Jednak w tych kwestiach żona jest bardziej liberalna, pozwala córce dłużej posiedzieć.

Jak uciera się kompromis?

To jeszcze nie jest etap, żebyśmy mieli się o to kłócić. Może czas na poważniejsze dyskusje o wychowaniu dopiero przed nami. Tak naprawdę to u nas w domu marszałkiem jest żona. Ja interweniuję w skrajnych przypadkach.

Łatwiej ujarzmić dwójkę dzieci czy 460 posłów?

Posłowie nie dostarczają mi powodów, by ich kochać, a dzieci owszem. Na pewno córka próbuje sobie mnie owinąć wokół palca, jesteśmy na etapie córeczki tatusia. Staram się nie dać do końca zmanipulować. W Sejmie, gdy posłowie rozrabiają, można przywołać ich do porządku, skorzystać z dzwonka, wyłączyć mikrofon, a w najgorszym razie skorzystać z pomocy Straży Marszałkowskiej. W domu mam tylko swój autorytet.

Do ojcostwa trzeba dojrzeć?

Na pewno. Mam 39 lat, a ojcem jestem od niecałych pięciu. Dojrzałem więc dość późno w porównaniu np. z moimi rodzicami. Na pewno dużo się od dzieci uczę. Przede wszystkim od córki. Uczę się cierpliwości i innego spojrzenia na świat. Dzieci zadają proste, celne pytania. To sprawia, że człowiek musi sobie czasem od nowa na niektóre z nich odpowiedzieć. To pomaga także złapać dystans do problemów dnia codziennego. Posiadanie dzieci w ogóle zmienia priorytety i podejście do życia. Zaczynamy się orientować na kolejne pokolenie, myśleć, co mu przekazujemy, itd. Życie dla innego człowieka, dla dziecka zmienia optykę. To element istotny kulturowo, nawet w myśleniu o polityce. Chciałbym, żeby dzieci były ze mnie dumne. Chciałbym dać im zestaw umiejętności, które pozwolą im mądrze wybrać własną drogę. Ojciec powinien być dla dzieci nauczycielem, autorytetem, ale to trzeba wypracować konsekwencją, dyscypliną, miłością i własnym przykładem. Mając dzieci, trzeba też uważać na to, co się mówi. Trzeba ważyć każde słowo i gest, bo dzieci chłoną jak gąbka.

Wpada pan w panikę, gdy zostaje sam z dziećmi?

Dawno nie zostawałem, ponieważ syn jest karmiony naturalnie, więc nie było jeszcze okazji, żebym z nim został sam. Żoną jest bardzo opiekuńcza i woli wszystkiego dopilnować sama. Kiedyś, gdy zostawałem sam z córką, wszystko konsultowałem i dzwoniłem do żony z pytaniami. Teraz się trochę nauczyłem, ale kwestie śpiączkowe są bardzo skomplikowane.

Wie pan, czym się różni pajac od spiochów i jak wygląda kaftanik?

[Śmiech] To jest czarna magia. Jestem z siebie bardzo dumny, gdy założę przód na przód, a nie na tył. Najgorsze jest to, że dziecko przy ubieraniu przeważnie zaczyna płakać, więc przeciskanie ubranka przez głowę to jakiś koszmar. Poce się wtedy i zaczynają mi się trząść ręce. Płacz mi się to wszystko w rękach. Czuję stres, nawet gdy mnie pani o to pyta.

Wtrąca się Andrzej Wiktor, fotograf: Dorota, to jest dręczenie rozmówcy. Muszę wystąpić w obronie pana marszałka. Dla was, kobiet, to jest wszystko takie proste, a dla nas te rzeczy nie są takie oczywiste. Gdy moje dziecko zaczynało płakać, to ogarniała mnie panika.

Stanisław Tyszka [z ulgą]: O właśnie. Mam podobnie. Gdy syn płacze, to natychmiast się martwię, że coś mu dolega, wpadam w panikę. Tymczasem żona odbiera płacz z uśmiechem, jako konkretny komunikat. U dawnych Słowian sprawa była prosta. Gdy syn miał siedem lat, obcinano mu włosy i opiekę nad nim przejmował ojciec. Ja nie jestem jeszcze na tym etapie. Ale poczułem, że ta rozmowa zaczyna mnie stresować.

To może porozmawiamy o łatwiejszych sprawach. Wspomniat pan, że pochodzi z wielodzietnej rodziny. Był pan najstarszy z rodzeństwa?

Tak, a to wiązało się z dużą odpowiedzialnością. Miałem sporo obowiązków. Moja mama do dziś lubi opowiadać historię, że zdenerwowała się na mnie, bo zgubiłem klucze do mieszkania, mając cztery czy pięć lat. Mój dom był w ogóle dość tradycyjny, co sobie chwale. Na pewno wyniosłem z niego patriotyzm i tradycję służby publicznej, choć z pokoleniową, spowodowaną komunizmem, przerwą. Mój pradziadek Kazimierz Tyszka był ministrem kolei żelaznych w rządzie Władysława Grabskiego (tym, który wprowadził złotego), a później jeszcze znowu w rządzie emigracyjnym. Drugi pradziadek Stanisław Spasiński angażował się przed wojną w chrześcijańskich związkach zawodowych, był radnym Warszawy, współpracował blisko z późniejszym prymasem Stefanem Wyszyńskim i prezydentem stolicy Stefanem Starzyńskim. Ma piękną wojenną kartę. Został Sprawiedliwym wśród Narodów Świata. Był wiceszefem obozu dla uchodźców na Węgrzech. Pomógł tam uratować wiele osób w dramatycznych okolicznościach. Wracając do mojego rodzeństwa: przychodzi taki moment,

że w wielodzietnej rodzinie dzieci tworzą swój świat. Jest dużo wspólnej zabawy. Dużo graliśmy w tenisa stołowego, w piłkę. Wakacje to czas, który najmilej wspominam z dzieciństwa.

A teraz też macie swój świat?

Teraz każdy ma swoją rodzinę, małe dzieci. W pełnym składzie mamy okazję się spotykać głównie w święta. Siostry rozjechały się po świecie. To dramat mojego pokolenia, że młodzi ludzie musieli szukać szczęścia za granicą. Sam mam pięcioletnie doświadczenie życia poza Polską.

Zdradzę pani sekret. Jestem po prostu sztywniakiem. Nie wiem szalonych marzeń

Gdzie pana nosiło?

Robiłem doktorat we Florencji. Mieszkałem też w Waszyngtonie i Pradze. Do Włoch wyгнаła mnie fascynacja tym krajem, byłem go ciekaw. Pierwszy raz pojechałem tam w ramach programu Erasmus. Mieszkałem wówczas w Cassino. Z mieszkania miałem piękny widok na Monte Cassino. Przez chwilę studiowałem nawet

italianistykę. W ogóle skończyłem prawo, ale oprócz tego studiowałem jeszcze cztery inne kierunki (filologię angielską, filologię włoską, filozofię, politologię). Do Florencji trafiłem na ciekawe stypendium doktoranckie w ramach Europejskiego Instytutu Uniwersyteckiego, na wydział Historii i Cywilizacji. Zajmowałem się tam pamięcią zbiorową, zgłębiałem tematykę reptrywatywacji (restytucji) w Polsce i Czechach. Zajmowałem się wywłaszczeniami w ujęciu historycznym oraz prawnym. W Pradze i Waszyngtonie kontynuowałem te badania.

Co pana relaksuje?

Czytanie komiksów. Bardzo to lubię. W ogóle zawsze dużo czytałem. Miłością do literatury zaraził mnie ojciec. A komiksy o superbohaterach bardzo mnie w dzieciństwie pociągały. I to mi zostało. We Włoszech zafascynował mnie komiks „Dylan Dog”. Umberto Eco mówił o tym komiksie, że mógłby czytać trzy rzeczy nieustannie: Biblię, Dantego i „Dylana Doga”. Ja mam podobnie. Zgromadziłem sporą kolekcję tych zeszytów. Teraz czytam komiksy, tylko gdy mi je jakiś znajomy przywiezie z Włoch. Może gdy syn dorośnie, to mu się także spodoba.

Kim pan chciał być w dzieciństwie?

Wicemarszałkiem Sejmu [śmiech]. Tak poważnie, to choć dziś już tego nie





Fot. Archiwum prywatne Stanisława Tyski

widać, bardzo lubiłem sport. Marzyła mi się kariera tenisisty. Ponieważ dużo czytałem, myślałem, że może będę pisarzem. Ale dziś częściej niż rakieta trzymam laskę marszałkowską, a piszę głównie ustawy i programy polityczne.

Nie miał pan bardzo wyszukanych marzeń, liczyłam na coś bardziej szalonego.

Zdradzę pani sekret. Jestem po prostu sztywniakiem. Nie wiem szalonych marzeń.

Żaden prawdziwy sztywniak by się do tego nie przyznał. Za to podobno był pan korwinistą.

Tylko z przekonania, nie z działania. Faktycznie czytywałem „Najwyższy Czas!”. Miałem inne poglądy niż większość moich znajomych, tzw. warszawki, która zapatrzona była w Unię Wolności. Zawsze więc byłem na kontrze, wszyscy mnie atakowali, ja się odgryzałem, walczyłem o niższe podatki i cieszę się, że teraz mogę to zrobić w Sejmie.

Teraz też pan jest na kontrze. Czasem wobec kolegów, którzy byli

w Kukiz '15. Dlaczego Liroy-Marzec nazwał pana „frędzlem”?

Nie mam błędnego pojęcia. Rozmawiałem z człowiekiem dłużej może ze dwa razy w życiu. Nie było między nami żadnego konfliktu. Właściwie należałoby jego zapytać, dlaczego tak mnie nazwał. Ja robię wszystko, żeby sprawować swój mandat sumiennie, i tego samego życzę wszystkim innym posłom.

A jak się poznaliście z Pawłem Kukizem?

W 2011 r. od podstaw budowałem Centrum Analiz Fundacji Republikańskiej. Mieliśmy tam świetny zespół. Wiele koleżanek i kolegów z fundacji jest dziś wiceministrami, posłami, wpływowymi intelektualistami, działaczami organizacji pozarządowych. Później zacząłem doradzać politykom, m.in. Jarosławowi Gowinowi. Zobaczyłem jednak, że to doradzanie niewiele daje, a politycy często zmieniają poglądy. Poczułem zniechęcenie i rozczarowanie. I wtedy Paweł Kukiz przełamał dwupodział sceny politycznej. Dał szansę młodym ludziom. Pod koniec

kampanii prezydenckiej poznał nas wspólny znajomy. Pierwsze spotkanie było dość oryginalne. Umówiliśmy się w knajpie na Mokotowie, ale ona była zamknięta. Usiedliśmy więc na murku naprzeciwko. Paweł cały czas palił papierosa, rozmawiał przez telefon. Co chwila zatrzymywał się jakiś samochód albo przechodzień. Ludzie witali się z nim, życzyli mu powodzenia. Dotarło do mnie, że ten człowiek obdarzony jest wielką charyzmą i umiejętnością rozmawiania z ludźmi. Nasza rozmowa była w sumie dość krótka. Zaproponowałem pomoc na poziomie programowym, Paweł stwierdził, że dobrze mi z oczu patrzy, i tak się zaczęło. Zająłem się pisaniem naszego programu oraz budową struktur na Mazowszu. Dziś dzięki Pawłowi Kukizowi nasz ruch robi dobrą robotę. Wprowadzamy do debaty ważne tematy, nie zastępcze, ale realne, dotyczące kieszeni Polaków, podatków, wydatków. Stanowimy także inną jakość, jeśli chodzi o język debaty publicznej i kulturę dyskusji. W odróżnieniu od polityków partyjnych my możemy mówić to, co myślimy, nie mamy kartek z „przekazami dnia”.

Jaka jest Polska pana marzeń?

Mówiąc najkrócej, to Polska, która zatrzyma młodych w kraju. I przyciągnie z powrotem tych, którzy wyjechali. Emigracja to narodowa tragedia. Chciałbym, żeby Polska nie była państwem, które bezrefleksyjnie kopiuje kraje Zachodu, które są na zupełnie innym poziomie rozwoju. Mamy rozrośniętą biurokrację, jak zachodnioeuropejskie państwa dobrobytu, a jednocześnie nasze państwo jest nieskuteczne w rozwiązywaniu podstawowych problemów Polaków, typu służba zdrowia. Chciałbym niższych podatków, likwidacji PIT, wycofania się państwa z wielu dziedzin, w których nie jest potrzebne.

Nie żałuje pan, że zamienił życie naukowca na życie polityka?

Nie, bo polityka to służba. Ma się mniej czasu dla rodziny i przyjaciół, ale tu chodzi o rozsądną troskę o dobro wspólne.

W sercu nosimy Polskę

6 marca 2018 r. w Pałacu Prezydenckim odbyło się uroczyste spotkanie z okazji podsumowania II edycji Akcji Pomocy Polakom na Wschodzie. Przedsięwzięciu patronuje para prezydencka

Prezydent dziękował partnerom i sponsorom akcji pomocy, do których należą m.in. Krajowa SKOK, PGNiG czy PAP.

„Z całego serca zachęcamy do tego, aby dalej brać udział w tej akcji. Prosimy o dalsze wsparcie i dalszą współpracę. Bo nie ma żadnej wątpliwości, że warto. Warto dla Rzeczypospolitej, dla nas wszystkich” – mówił Andrzej Duda.

„Warto pomagać, proszę państwa” – dodała pierwsza dama Agata Kornhauser-Duda.

W tegorocznej edycji pomoc trafiła do wielu miejsc na terenie Ukrainy (Romanów, Marianówka, Dolbysz, Bar, Czerniowce, Stara Huta, Piotrowce Dolne, Nietyszyn, Szepletówka, Połonne, Sławuta), Rumunii (Pojana Mikuli, Nowy Soloniec) i Mołdawii (Bielce, Kiszyniów, Komrat). Tu mieszkają Polacy. Podczas sześciu wyjazdów, przemierzając niemal 8,5 tys. km, pracownicy Kancelarii Prezydenta przekazali wiele darów: 8 ton żywności, sprzęt AGD, laptopy, koldry i koce, obuwie, zabawki i książki, materiały opatrunkowe oraz chemię gospodarczą.

„Chcemy, aby Polacy mieszkający poza granicami mieli poczucie, że Polska o nich pamięta. To nie jest pomoc, to jest wdzięczność, to jest solidarność” – mówił prezydent.

Co ciekawe, akcja zainspirowana została przez naszych rodaków w Stanach Zjednoczonych. To oni zaczęli pomagać Polakom z okolic Lwowa i zwrócili się do Kancelarii Prezydenta o wsparcie tych działań.

Przekazaniu darów towarzyszyły liczne spotkania: z polskimi rodzinami, w szkołach, parafiach i instytucjach. Wizyty te pokazały, jak wielką walkę o polskość w swoich sercach toczą każdego dnia nasi rodacy mieszkający tak daleko od Polski.

„Dziękujemy wszystkim polskim nauczycielom, wszystkim organizatorom polskiego życia kulturalnego, wszystkim prowadzącym Polskie Domy. Dziękujemy z całego serca polskim

księżom pracującym na tych terenach, którzy swoją posługą duszpasterską wzmacniają tego ducha, z jednej strony własnie wiary, tradycji, polskiej kultury, ale przede wszystkim bardzo często także podtrzymują na duchu” – tymi słowami wyraził wdzięczność Andrzej Duda.

Jak ważny jest ten kontakt z Polską, mówiła Małgorzata Miedwiediewa, prezes Domu Kultury w Barze. „Te wasze odwiedziny, to spotkanie wspominamy często. Rozpoczęło one częste kontakty z macierzą, z Polską. Ten rok to nie tylko 100-lecie odzyskania niepodległości, lecz również ważna dla nas tutaj data – 250-lecie powstania konfederacji barskiej. Mieszkają wśród nas nadal potomkowie konfederatów. A pamięć o konfederacji barskiej zakorzeniła się w naszych sercach” – opowiadała o Polakach tam mieszkających.

„Najważniejsze jest to, że jesteśmy razem. Tu nie tyle chodzi o wsparcie materialne – to drobne prezenty. Ale chcemy pokazać, że pamiętamy o tych, którzy kiedyś mieszkali w Polsce. Wszyscy jesteśmy na jednym pnium wyrośnięci, nasza kultura, tradycja są mocno z sobą zrośnięte. Chcę podziękować tym pokoleniom, których już nie ma, za to, że przechowały te wartości. Na 100-lecie niepodległości chciałbym, by przeżywali je Polacy w jedności na całym świecie” – mówił prezydent.

„Spora część darów trafiła do szkół. To jest wyraz naszej wdzięczności dla tych, którzy dbają o rozwój polskiej oświaty, o upowszechnianie języka, wiedzy o kulturze. Te starania są ważne, bo wzmacniają poczucie tożsamości narodowej w tych pokoleniach, które tam się urodziły. Obserwujemy dobre owoce tych wysiłków: autentyczne przywiązanie do tradycji. To rezultat pracy nie tylko instytucji, lecz całych rodzin, w których uczy się i języka i tradycji. Jesteśmy jedną rodziną, bo w sercu nosimy Polskę” – dodała Agata Kornhauser-Duda.

Anna Raciniewska

TYGODNIK KATOLICKI „NIEDZIELA” organizuje konkurs pt.

„NA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI – MODLITWA ZA OJCZYZNĘ”



1918 · 2018

**Patronat Narodowy
Prezydenta
Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy
w Stulecie Odzyskania
Niepodległości**

**Duchowa opieka
nad Konkursem:**

abp dr Wacław Depo –
metropolita częstochowski

o. Marian Waligóra OSPPE –
przeor Jasnej Góry

Skład Komisji Konkursowej:

ks. prał. Zbigniew Kras
ks. prof. Krzysztof Pawlina
ks. kan. Wacław Buryła
red. Anna Wyszynska
red. Marian Florek

Patroni medialni:

portal www.niedziela.pl
NIEDZIELA TV

Partner Konkursu:

Fundacja NIEDZIELA.
Instytut Mediów

„Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie” – to słowa pieśni, która towarzyszyła Polakom od czasu zaborów, jednej z najczęściej powtarzanych w kościołach modlitw za Ojczyznę. Do historii przeszły również słowa Jana Pawła II: „Niech zstąpi Duch Twój! I odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi”. Znaną są też inne teksty modlitw za Ojczyznę, które w różnych okresach naszych dziejów kierowane były do Boga przez kapłanów, poetów i polityków. Są one zapisane w dziełach m.in. ks. Piotra Skargi, Adama Mickiewicza, Cypriana Kamila Norwida, a z bardziej współczesnych – Jana Pawła II, prymasa Polski kard. Stefana Wyszyńskiego i wielu innych.

W czasie jubileuszu stulecia odzyskania przez Polskę niepodległości, który przypomina, jak długa, bolesna i pełna ofiar była droga minionych pokoleń do wolności, „Niedziela” pragnie zaprosić Polaków do udziału w konkursie na tekst współczesnej modlitwy, pt. „Na stulecie odzyskania niepodległości – modlitwa za Ojczyznę”.

Modlitwa za Ojczyznę pomoże nam zawieść Bogu Polskę i wszystkie trudne sprawy społeczne, by nasz wspólny dom był bezpieczny i dobrze zorganizowany, by panowały w nim pokój, sprawiedliwość, poczucie jedności i wzajemny szacunek, by polskie rodziny były Bogiem silne.

Konkurs – podzielony na trzy kategorie wiekowe – adresowany jest do dzieci, młodzieży i dorosłych, do Polaków mieszkających w kraju i za granicą. Zapraszamy do nadsyłania – **do 15 kwietnia 2018 r.** – tekstów ułożonych przez siebie modlitw, które mogą być wyrażone prozą lub w formie poetyckiej. Zachęcamy do pisania krótkich tekstów – objętość jednej modlitwy nie powinna przekroczyć 1000 znaków ze spacjami. **Przed wysłaniem pracy konkursowej konieczne jest zapoznanie się z regulaminem Konkursu, zamieszczonym na stronie internetowej: www.niedziela.pl.**

Wręczenie nagród odbędzie się podczas uroczystej gali w siedzibie „Niedzieli” w Częstochowie 2 czerwca 2018 r. (sobota). Wyniki Konkursu zostaną opublikowane na stronie internetowej oraz w numerze „Niedzieli” z datą 17 czerwca 2018 r. Autorzy nagrodzonych i wyróżnionych prac otrzymają cenne nagrody i dyplomy. Najlepsze prace zostaną zamieszczone na portalu „Niedzieli”.

Zapraszamy do wzięcia udziału w Konkursie. Zachęcamy katechetów do zapoznania uczniów z jego warunkami i regulaminem.

**Redakcja Tygodnika Katolickiego
„Niedziela”**

niedziela
TYGODNIK KATOLICKI

K2: tajemnica porażki

Krzysztof Wielicki starał się ograniczyć do minimum ryzyko narażania ludzi na bardzo duże niebezpieczeństwo. A może bez świadomie wkalkulowanego ryzyka sukcesu po prostu osiągnąć się nie da

Z Zygmuntem Berdychowskim, himalaistą, zdobywcą Korony Ziemi, rozmawia Aleksander Majewski

Co takiego jest w górach, że himalaiści mimo olbrzymich zagrożeń wciąż chcą do nich wracać?

Zygmunt Berdychowski: Myślałem, że z himalaizmem jest trochę jak z twoim zawodem. Napiszesz jeden artykuł, chcesz napisać drugi. Napiszesz jedną książkę, od razu chcesz napisać kolejną. Podobnie jak w biznesie – stworzysz jedno miejsce pracy, chcesz stworzyć kolejne. Nie jest to nawet związane z pieniędzmi ani chę-

cią błyszczenia na salonach, to kwestia inspiracji. Dzięki temu budujesz poczucie własnej wartości i bardziej wierzysz w siebie. A dlaczego człowiek tak robi? Dlaczego chce więcej? Nie ma jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie. Dlatego też tak trudno powiedzieć, czemu człowiek decyduje się wchodzić na coraz to wyższe góry.

Ciekawe porównanie. Tyle że dziennikarz może tworzyć w domowym

zaczysku – w kapciach, w ciepелku. Natomiast o takich ludziach jak pan mówi się „igrający ze śmiercią”. Trzeba to mieć z tyłu głowy. Nie przeszkadza to panu w wyznaczaniu kolejnych celów?

Niebezpieczeństwo nie pojawia się od razu. To nie jest tak, że przyjeżdżasz do Katmandu i czujesz zagrożenie. Najpierw skrada się w rozmowach, później dostrzegasz je coraz bardziej w kolejnych dniach aklimatyzacji i w końcu się

z nim osławiasz. Masz na to czas. Nawet wysoko w górze odczuwasz tylko pojedyncze impulsy podpowiadające ci, że to, co robisz, jest niebezpieczne. To momenty i dlatego możesz przejść nad tym do porządku.

A o czym się wtedy – wysoko w górze – myśli?

Człowiek jest skoncentrowany na sobie. Nie myślisz wtedy o niebezpieczeństwie, że możesz zostać tam na zawsze. Twoją głowę zaprzątają prozaiczne kwestie, typu – uwierające okulary, za cienkie rękawice, pragnienie. Niebezpieczeństwo nie jest już wtedy namacalne przez to, że zdążyłeś się z nim oswoić. Zagrożenie uświadamiasz sobie dopiero później, gdy oglądasz filmy czy zdjęcia z wyprawy. Nie oznacza to oczywiście, że człowiek w górach niczego się nie boi. To dwie różne kwestie.

Jak radzi pan sobie ze strachem?

Nie ma na to lekarstwa. Są takie momenty, gdy chcesz czy nie, musisz się bać. Wystarczy, że masz przed sobą bardzo dużą ekspozycję, że musisz iść bardzo szybko, że brakuje ci tchu. Wtedy pojawia się strach. To sprawa indywidualna, dotyczy każdego w odmienny sposób. Każdy ma na to własną metodę.

Pan ma swój sposób na strach, a pańscy najbliżsi? Pewnie niejednokrotnie słyszał pan prośbę: „Zygmunt, daj już sobie z tym spokój. Zostaw to”.

Wiele osób słysząc o wyprawach w Himalaje, wyobraża sobie wyłączanie sytuacji, w których staje nad gigantyczną przepaścią. Jak przechodziłem pierwszy raz na Przełęcz Północną i zobaczyłem szczeliny i te ekspozycje, poczułem gigantyczny strach, ale pojawiła się też ogromna mobilizacja. Trzeba umieć, pomimo strachu w takich sytuacjach, utrzymać emocje na wodzy. Idąc na McKinleya [obecnie Denali – przyp. red.], widzisz wąską ścieżkę, a po obu stronach przepaść. Najchętniej poszedłbyś na czworaka, bo tak jest najbezpieczniej, ale przecież nie możesz tego zrobić, bo wszyscy patrzą. Wiesz, że jesteś poważnym gościem i nie możesz dać

plamy, więc idziesz. Idziesz i chcesz pokonać ten odcinek jak najszybciej. Przy kolejnych wyprawach to już nie robi na tobie tak ogromnego wrażenia. Wiesz, że jesteś związany liną, wiesz, że możesz uskoczyć, wiesz, że partner, który idzie z tyłu, zapewnia ci część bezpieczeństwa, a ty jesteś częścią ekipy, która jest jak sprawnie działający mechanizm niepozwalający, by stało się coś nadzwyczaj złego.

A jak to znosi pańska rodzina?

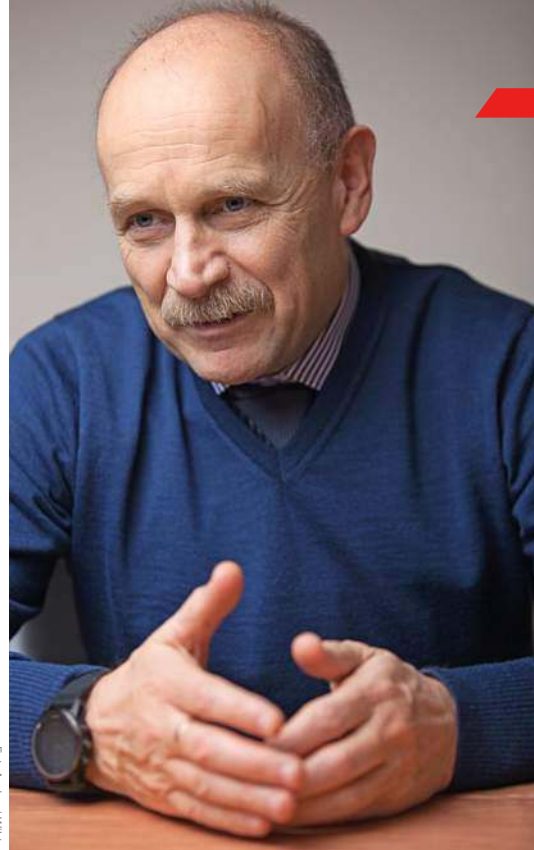
Pewnie nie da się przyzwyczaić do tego rodziny. Posłużę się własnym przykładem – na Mount Everest wszedłem dopiero za trzecim razem. Zawsze jednak powtarzałem moim najbliższym, że jeżeli nie będę wystarczająco przygotowany fizycznie i mentalnie, to potrafię się wycofać. Wycofując się, udowodniłem, że działam racjonalnie i potrafię oddzielić świat ambicji i pragnień od wyjątkowo dużego ryzyka. Stworzyłem im namiastkę pewności, że poruszam się w życiu z zachowaniem pewnych zasad.

Porozmawiajmy o narodowej wyprawie na K2. Nie udało się zdobyć szczytu. Czy wypada mówić o porażce?

Pojęcie porażki funkcjonuje w różnych dziedzinach, w himalaizmie również. Dlatego nie widzę nic niestosownego w tym, żeby powiedzieć, że ta wyprawa zakończyła się porażką. Nie zawsze musimy odnosić sukcesy. Jeżeli ktoś potrafi wyciągnąć z tej sytuacji wnioski, to tylko na tym skorzysta.

Czego zabrakło w tej wyprawie?

Musimy zdawać sobie sprawę, że ludzie, którzy wyruszają zimą na K2, podejmują niewyobrażalne wyzwanie. Przy tak trudnym zadaniu łatwo jest popełnić błąd. Moim zdaniem w tym przypadku zabrakło determinacji i pasji. Krzysztof Wielicki zauważył, że starał się ograniczyć do minimum ryzyko narażania ludzi na bardzo duże niebezpieczeństwo. A może bez świadomości wkalkulowanego ryzyka sukcesu po prostu osiągnąć się nie da? Może przy postawie asekuracyjnej nie jesteśmy w stanie dokonać tego



Fot. Andrzej Wiktoria

wielkiego wysiłku? Może zdobycie K2 zimą jest możliwe tylko przy odrobinie szaleństwa i ogromnym ryzyku? Myślę, że ten czynnik zdecydował, bo sama wyprawa była dobrze przygotowana i niczego nie brakowało. Być może tylko tej determinacji, która pojawia się, gdy ktoś w pełni świadomie przekracza pewne granice, podejmując tak duże ryzyko, które bardzo często kończy się śmiercią. Wielicki chciał jednak uniknąć takich sytuacji. I trudno się dziwić przyjetemu przez niego założeniu, ponieważ to nie była wyprawa prywatna, lecz narodowa. Jeśli zakończyłaby się śmiercią dwóch czy trzech osób, to nikt by tego nie zaakceptował. Być może właśnie tu tkwi tajemnica tej porażki.

Determinacji nie zabrakło Denisowi Urubce, który odłączył się od grupy, by samotnie zdobywać szczyt. Jak ocenia pan jego decyzję?

Takich decyzji podejmować nie wolno. Zespół to zespół. Koniec. Decydujemy się, że idziemy razem, są takie, a nie inne reguły, które powinny nas łączyć i nie wolno ich naruszać. Ryzyko, jakie podjął Urubko, jest niewyobrażalne. To ryzyko porównywalne do tego, co zrobił Tomasz Mackiewicz, chociaż był słabiej przygotowany od Urubki i nie miał tak dużego doświadczenia.

Czy takie ryzyko jest akceptowalne?
Na pewno nie.

Czy chce pan powiedzieć, że Urubko zachował się po prostu nieprofesjonalnie?

Tak. Jak idziesz w góry z zespołem, nie możesz decydować się na tego typu rozstrzygnięcia. Tak nie należy postępować, nawet jeśli rosło w nim zniecierpliwienie. W końcu był na wszystkich ośmiotysięcznikach, a siedzenie w bazie nie było szczytem jego ambicji. Denis Urubko jest jednym z nielicznych himalaistów na świecie, którzy mają tak bogate doświadczenie i tak wiele sukcesów na koncie. Trzeba jednak pamiętać o tym, że szef ekspedycji jest jeden i to on decyduje. Inaczej być nie może.

Wspomniał pan o Tomaszu Mackiewicz, który zginął podczas wyprawy na Nanga Parbat. Jedni uznali go za bohatera, inni wytykali mu brak rozsądku i zostawienie dzieci bez środków do życia. Jak pan ocenia jego decyzję?

Myślę, że jest pewna granica ryzyka, którą powinniśmy komponować w osiąganie najbardziej ambitnych celów, jakie sobie stawiamy w życiu. Ta granica w przypadku Tomasza Mackiewicza została przekroczona w niewiarygodny sposób. Lekko-myślność, z jaką przygotowywano to wejście, jest zdumiewająca. Nie dołączyłem do chóru krytyków Mackiewicza, ale dla mnie jako człowieka chodzącego wysoko w góry zupełnie niewytłumaczalne było choćby to, dlaczego nie zatrudnił dwóch dodatkowych szerpów, którzy pilnowaliby bazy i mogliby spieszyć mu z pomocą w sytuacjach zagrożenia, dlaczego nie miał rezerwowych butli z tlenem, dlaczego zdecydował się wchodzić na tak wysoki szczyt, mimo że wcześniej zdobył jedynie szczyt na wysokości 6900 m n.p.m., w dodatku w lecie. Każdy, kto zna specyfikę himalaizmu, stawia sobie to pytanie: jak to jest możliwe? To trudno zrozumieć.

Samobójcza wędrówka?

Każdy z nas ma lepsze i gorsze chwile. Każdy może podjąć decyzję, że koń-



Fot. Andrzej Wiktor

czy ze swoim życiem. Wkomponowanie aż tylu elementów niosących tak ogromne ryzyko w moim przekonaniu było świadomym igraniem z życiem. To nie ma nic wspólnego z chodzeniem po wysokich górach. To dwa zupełnie różne światy. Czasami mówimy, że ktoś prosi się o śmierć. Wyprawa zorganizowana w ten sposób była właśnie takim chodzeniem za śmiercią.

Himalaizm mimo wszystko imponuje wielu Polakom. To efekt naszej romantycznej natury?

Trochę tak, chociaż jak przyjedziesz pierwszy raz do bazy pod Mount Everestem i widzisz te sto kilkadziesiąt osób, które chcą wejść na tę górę, dostrzegasz ich pasję, determinację i entuzjazm, to przestajesz dostrzegać różnice między poszczególnymi narodami. Tym bardziej że rozmawiasz z sobą przez miesiąc, dzielisz się swoimi nadziejami i rozterkami. Na pierwszy plan wysuwa się wtedy indywidualizm. Himalaizm wzbudza tak duże zainteresowanie wśród Polaków, ponieważ są indywidualistami i przez długie lata to był nasz narodowy sport. Nasi najwybitniejsi himalaiści mogli przez pewien okres zdobywać szczyty i po prostu z tego żyć. Do legendy przechodzi to, o czym tak barwnie opowiadał Jerzy Kukuczka. Całe beczki różnego rodzaju dóbr (zegarki, ortaliony itd.) były sprzedawane w Nepalu czy w Polsce i stanowiły prawdziwy dochód z wypraw. Teraz nie jest to możliwe. Moim zdaniem fascynacja ludźmi, którzy zdobywają wysokie góry, nieco przygasła, ale dalej za sprawą mediów społecznościowych i dziennikarzy temat pozostaje żywy i dobrze się sprzedaje.

Wchodząc na górę, widzi pan szczątki poprzedników. Taki widok musi paraliżować...

Zwłoki himalaistów można spotkać przede wszystkim na Mount Everestcie. Każdego roku tak dużo ludzi chce zdobyć tę górę, że zawsze kilkoro z nich zostaje tam już na zawsze. Czasami nie ma po prostu kto tych ciał pochować, choćby poprzez położenia na nich kamieni czy wepchnięcie w jakąś szczelinę. W sytuacjach ekstremalnych jednak nie myśli się o tym. Jesteś skoncentrowany tylko i wyłącznie na sobie, zwłaszcza kiedy idziesz pierwszy raz. Myślisz o tym, czy maska nie jest zatkana, czy masz wystarczającą ilość picia, czy odpowiednio się przepięłeś, czy dobrze postawiłeś nogę. Starasz się nie patrzeć na zwłoki ani nie zaprzętać sobie nimi głowy.

W końcu dociera się na szczyt. Jak tam jest?

Gdy już wejdiesz na górę, to pierwsze, co robisz, zrzucaasz plecak. Potem wyciągasz flagę, robisz zdjęcia, chowasz flagę, pijesz, zakładasz plecak i myślisz już tylko o tym, jak stamtąd uciekać. Na szczycie nie ma miejsca na jakieś metafizyczne przeżycia, pozostają bardzo prozaiczne sprawy. Kierują tobą bardzo przyziemne myśli. Tylko tyle albo aż tyle. Głębsze refleksje przychodzą do głowy przy schodzeniu. Wspominasz widoki, których do tej pory nie było dane ci zobaczyć. Ale to tylko momenty, zaledwie mgnienia. Nic więcej. Reszta to myślenie o tym, jak bardzo ci ciężko, jak masz postawić stopę, jak masz się wpiąć w linę poręczową, jak poprawić okulary. Nie ma w tym żadnego romantyzmu.

*Nieumalowana,
w okropnej sukni,
Frances McDormand
była najjaśniejszą
świecącą gwiazdą
90. oscarowej gali*

Poza regułami

Fot. East News/Ian West



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Statuetka za pierwszoplanową kobiecą rolę w filmie „Trzy billboardy za Ebbing, Missouri” Martina McDonagha (gdzie zagrała razem zrozpaczoną i walczącą – niczym westernowy szeryf – matkę zamordowanej dziewczyny) należała się jej bez dwóch zdań. Drugą powinna dostać za przemowę na gali.

WSTAŃ, MERYL!

W kilkadziesiąt sekund skradła serca gości uroczystości i widzów transmisji (jej wystąpienie było najczęściej powielanym na forach fragmentem wydarzenia). Przyćmiła zjawiskowo wystylizowane koleżanki. Dosłownie porwała na nogi Meryl Streep, zwracając się do niej: „Jeśli ty wstaniesz, wstaną i inne”. Wcześniej o powstanie poprosiła wszystkie nominowane w tym roku panujące w przemyśle filmowym mężczyźni, by twórczego potencjału szukali też u kobiet.

Sposób, w jaki rozegrała swoje wystąpienie, potwierdził nie tylko jej aktorskie umiejętności. Przywołując tzw. klauzulę równości – załącznik do umów podpisywanych przez twórców filmowych, promujący parytety płci oraz rasy – McDormand potwierdziła, jak świadomą i zarazem silną jest jednostką.

Z POLECENIA HOLLY

Od kiedy mogła, starała się żyć według własnych reguł, tym bardziej że urodziła się (23 czerwca 1957 r.) jako zupełnie inna osoba. Biologiczna matka porzuciła ją, gdy – wtedy jeszcze Cynthia Ann Smith – miała kilkanaście miesięcy. Wychowywała się w rodzinie pastora Vernona McDormanda i jego żony Noreen, którzy adoptowali jeszcze dwójkę innych dzieci. To oni zmienili jej imię na Frances.

Jako czternastolatka debiutowała na deskach szkolnego teatryku w roli



Kadr z filmu „Trzy billboardy za Ebbing, Missouri” (2017)

Fot. Mat. prasowe

Lady Makbet, poza sceną szlifowała niełatwy dla rodziców charakter. Uczyła się dobrze, dużo czytała, ale też mocno manifestowała swoją niezależność. Buntowała się, miała problemy z narkotykami („bez igły” – jak komentowała po latach), lecz również realizowała swoje plany.

W Yale ukończyła aktorski kurs (w 1982 r. uzyskała tytuł magistra sztuk pięknych) i dwa lata później trafiła na plan pierwszego filmu braci Coenów (w Polsce znanego pod tytułami „Prosta sprawa”, a także „Śmiertelnie proste”). Poleciła ją Holly Hunter, współlokatorka z akademika i przyjaciółka od czasu studiów.

WSPARCIE KLANU

Nakręcona za niewielkie pieniądze „Prosta sprawa” (w której zagrała Abby, niewierną żonę) meandrami precyzyjnie obmyślonej i wyreżyserowanej fabuły zwodziła bohaterów i wciągała widzów, zapowiadając filmowy styl Ethana i Joela. Dla Frances oznaczała wejście na zawodową i życiową ścieżkę.

Rok 1984 okazał się przełomowy dla całej trójki. Bracia Coenowie debiutowali jako pełnometrażowi reżyserzy i scenarzyści; McDormand jako aktorka filmowa. W kwietniu Frances i Joel pobrali się. Małżeństwem są do dziś. Rekordowo, nie tylko jak na Hollywood.

W 1995 r. adoptowali półrocznego chłopca z Paragwaju. Jak tłumaczyła aktorka w jednym z wywiadów, zdecydowali się na to, bo nie udało się im w naturalny sposób zostać rodzicami, a ona bardzo pragnęła zostać matką. Parę miesięcy po przyjęciu małego Pedra do rodziny na planie „Fargo” zagrała policjantkę w zaawansowanej ciąży. I zdobyła pierwszego Oscara.

Po 21 latach odbierając kolejną statuetkę, podziękowała swojemu „klanowi” (tak nazwała Joela i Pedra) za motywujące wsparcie. Rolę w „Trzech billboardach za Ebbing, Missouri” przyjęła namówiona przez męża. Sama uważała, że jest za stara, by grać matkę nastolatki.

WŁASNĄ MIARĄ

„Za stara i za młoda, za gruba i za chuda, za wysoka i za niska, zbyt blond, zbyt ciemnowłosa” – tak oceniali ją planujący obsadę reżyserzy – wspomina w wywiadzie dla „The New York Timesa”.

Nie mieściła się w hollywoodzkim standardzie. Mimo wielu znakomych ról, które miała na koncie i tak, wydawałoby się, znaczących argumentów jak oscarowe nominacje. Oprócz nagrodzonego statuetką „Fargo” dostała je za drugi plan w filmach: „Missisipi w ogniu” Alana J. Parkera (1988), „U progu sławy” Camerona Crowe’a (2000) i „Daleka północ” Niki Caro (2005).

Jako aktorka realizowała się również na scenie (nominację do prestiżowej nagrody Tony za rolę w „Tramwaju zwanym pożądaniem” otrzymała już w 1987 r.) i na małym ekranie (trzy lata temu była nominowana do Złotego Globu za rolę w serialu „Olive Kitteridge”, który zresztą współprodukowała).

Z pewnością Frances McDormand jest wizerunkowym zaprzeczeniem hollywoodzkiej gwiazdy. Nawet na wielkie gale się nie maluje, a jej stroje trudno nazwać kreacjami. Konsekwentnie unika medialnego szumu. Jednocześnie, co pokazała podczas tegorocznego rozdania Oscarów, potrafi zrobić show, jeśli stoi za tym ważny cel, nie jedynie autopromocja.

Chciałbym, by film o Pileckim był porównywany z wielkimi produkcjami. Stawiam na polskich aktorów. Słyszę o sugestiach, że Rotmistrza powinna zagrać gwiazda hollywoodzka. Ale jak dotąd polskie kontakty z kinematografią USA polegały na tym, że Amerykanie wyciągali od nas pieniądze

Fot. Lukasz Orłowski/REPORTER

Na miarę legendy

Z reżyserem i scenarzystą filmowym Leszkiem Wosiewiczem rozmawia Tomasz Plaskota

Na jakim etapie są przygotowania do filmu o rtm. Witoldzie Pileckim? Z tego, co wiem, scenariusz już jest gotowy, tak?

Leszek Wosiewicz: Scenariusz jest gotowy, mamy producenta, ustaliśmy strategię działania. Mamy zapewnienia z różnych stron o możliwości finansowania tego projektu. Zaczęliśmy już okres przygotowawczy do zdjęć.

Kiedy się zatem rozpoczną?

Myślę, że na przełomie sierpnia i września, wtedy mamy porę roku odpowiadającą końcowi II RP i wybuchowi wojny w 1939 r.

Jest pan autorem scenariusza. Czym się pan inspirował podczas jego pisania?

Zbierałem wszelkie materiały. Całościowych publikacji jest bardzo mało. Jestem porażony skromnością materiałów. Fundamentalnym, ciekawym tekstem, chociaż z ogromnymi lukami, jest „Ochotnik do Auschwitz” dr. Adama Cyry, historyka z Muzeum Auschwitz. Bazowałem także na różnych dokumentach, które moja asystentka odnalazła w archiwach. Wiele relacji znalazłem w internecie. Przygotowania do napisania scenariusza zajęły mi dwa i pół roku.

Ciekawy i mało znany jest udział rtm. Pileckiego w powstaniu warszawskim. Zostanie ujęty w filmie?

Ten okres mam dość dobrze udokumentowany. Dla mnie było to niesamowite odkrycie. Chociaż napisałem cztery scenariusze o powstaniu, przeczytałem masę materiałów na ten temat, nie spotkałem się ani razu z nazwiskiem Pileckiego. Teraz już wiem, że „Reduta Witolda”, która broniła Niemcom dostępu do Al. Jerozolimskich w okolicach pl. Starynkiewicza, była jedyną pozycją powstańczą, która przez cały okres walk nie uległa Niemcom. Tej pozycji broniła grupa Pileckiego, dlatego nazywano ją „Redutą Witolda”. Niesamowite, że trafiłem na ten wątek.

„Reduta Witolda” była częścią zgrupowania „Chrobry II”, w którym walczyli żołnierze Narodowych Sił Zbrojnych.

Tak. Mam bardzo dokładny raport niemiecki opisujący walki w rejonie pl. Starynkiewicza. Reduta była atakowana przez Niemców z broni ciężkiej i pancernej. Powstańcy znaleźli w piwnicy stare puszkę. Pilecki wpadł na pomysł, żeby rozłożyć je przed barykadą, aby udawały miny przeciwczołgowe. Niemcy uwierzyli w to. Wstrzymali natarcie i rozpoczęli potężne bombardowanie, żeby wysadzić miny, ale wciąż się bali bliżej podejść. Pilecki ze swoją grupą opanowali okolicę. Każdy z podejżdżających bliżej wozów był podpalany.

Bronili się fantastycznie. Zaczęli w 17, w momencie kapitulacji było ich już 70. Żołnierze ginęli, ale wciąż dołączali nowi. Powstańcy Pileckiego nie chcieli się poddać. Nie chcieli się zgodzić na kapitulację. Ci młodzi ludzie mówili: mamy broń i amunicję, możemy walczyć dalej. To epizod, który mi uświadomił, że strasznie mało wiemy o naszej historii, również o Auschwitz.

Pana debiutancki film „Kornblumenblau”, którego premiera odbyła się w 1989 r., opowiadał właśnie o Auschwitz.

Kiedy go przygotowywałem, nie spotkałem w materiałach na temat obozu nazwiska Witolda Pileckiego. Kiedy w muzeum obozowym oglądałem wystawę poświęconą ruchowi oporu w Auschwitz, nie było tam nic o Pileckim. Tylko Cyrankiewicz.

WPRL się starano, żeby Józef Cyrankiewicz był czołową postacią obozu oporu przeciwko Niemcom.

Ale w pewnym momencie w Muzeum KL Auschwitz pojawił się Pilecki... A Cyrankiewicz zapisał nie tylko ciemne, najczarniejsze karty ze swego pobytu w obozie, lecz chciał ukraść zasługi Pileckiego, uczestniczył w zbrodni na Rotmistrzu. To takie proste: kradnę ci życiorys, a ciebie nie tylko skazuję na śmierć, unicestwiam

ślad po tobie i nakazuję wymazanie jakiegokolwiek pamięci o tobie... „Kłótnia Cyrankiewicza” to problem, który mamy do tej pory.

Czuję opory z różnych stron, naciśki, by postać Cyrankiewicza nie została przedstawiona zgodnie z prawdą historyczną. Już słyszę sugestie, żeby przedstawić go jako szlachetnego lewicowca zesłanego do KL Auschwitz, który „splamił się” tylko tym, że nie poprosił Bieruta o ulaskawienie Rotmistrza. Cyrankiewicz jest symbolem tego, na jakiej bazie została zbudowana PRL. Przez 11 lat pełnił funkcję premiera, później był szefem Rady Państwa. Dlatego o Pileckiego można było się upominać dopiero po jego śmierci.

Historia rtm. Pileckiego bardzo pana wciągnęła. I domyślam się, że miał na to wpływ nie tylko przygotowywany przez pana film.

Tak, ponieważ całe moje życie artystyczne biegło śladami KL Auschwitz, powstania warszawskiego i sowieckich zbrodni, czyli tropami, którymi poruszał się również Pilecki. To wszystko w historii Pileckiego układało mi się w jedno.

Ile mogą trwać zdjęcia, które, jak pan wspominał, rozpoczną się na przełomie sierpnia i września?

Zakładam, że w sumie będą trwały około roku. Będzie to historia pokazana od końca II RP przez wojnę 1939 r.; potem warszawska konspiracja, utworzenie Tajnej Armii Polskiej, później zgłoszenie się do Auschwitz na ochotnika, Związek Organizacji Wojskowych w obozie i po ponad dwóch latach ucieczka z obozu; kolejna konspiracja, powstanie warszawskie, niemiecki oflag, armia Andersa i misja do Polski zlecona Rotmistrzowi przez gen. Andersa. Zakończeniem będzie przyjazd do zrujnowanej Warszawy, gdzie Pilecki wpada w sidła Urzędu Bezpieczeństwa.

Ile może trwać wersja filmu, która trafi do widzów?

Zakładam, że dwie godziny i 50 minut. Chciałbym, żeby nasz film był

porównywany z wielkimi światowymi produkcjami, takimi jak „Szeregowiec Ryan” Spielberga.

Blisko trzy godziny. Długi film.

Tak, ale materiału mam znacznie więcej. Gdyby się okazało, że telewizja jest zainteresowana serialem, mam gotowych 10 odcinków cyklu telewizyjnego, który mógłby być emitowany na całym świecie. Przedstawiłby dzieje Pileckiego m.in. w Auschwitz: jak powstawał obóz w Birkenau, Holokaust Żydów. Byłby to pierwszy pełny obraz Auschwitz.

Dodam, że to w Auschwitz na Polakach Niemcy testowali komory gazowe, które później wykorzystano do mordowania Żydów. O Auschwitz traktował mój debiutancki film „Kornblumenblau”. Więźniowie obozu twierdzili, że dotknąłem nim rzeczywistości. Ale po 30 latach, które upłynęły od mojego debiutu, wiem zdecydowanie więcej na ten temat. Wszystkie ważne sprawy, które nosiłem w sobie, skumulowały się w postaci rtm. Pileckiego.

Myślał pan już o obsadzie? Jacy aktorzy wystąpią w filmie? Polscy, zagraniczni?

W tym tygodniu odbyła się pierwsza sesja z reżyserami, którzy zajmują się kastingiem. Stawiam na polskich aktorów. Mamy świetnych profesjonalistów, warto z nich skorzystać. Słyszę o sugestiach, że Pileckiego powinna zagrać jakaś gwiazda hollywoodzka. Ale jak dotąd polskie kontakty z kinematografią USA polegały na tym, że Amerykanie wyciągali od nas pieniądze, a my nic na tym nie zyskiwaliśmy. Brali ogromne pieniądze, a my chwaliliśmy się „koprodukcją amerykańską”: tym, że amerykańscy aktorzy u nas występują.

Te niby amerykańskie produkcje zawsze kończą się klęską, bo tamta kinematografia zupełnie nie przystaje do naszej. Najzwyczajniej nie jesteśmy partnerami, tylko ofiarami do wykorzystania.

Film ma trafić głównie do widzów na świecie. Jakim językiem będą się posługiwać aktorzy?

Będą mówić głównie po polsku i po niemiecku. Czasem będą używać czeskiego, romskiego, francuskiego, angielskiego, jidysz. Ale w „Pasji” Gibsona np. również mówiono w językach oryginalnych, głównie po aramejsku, a film ten na świecie obejrzało w kinach ponad miliard widzów... Nie mamy niestety takiego bohatera jak Jezus Chrystus.

Naszym głównym bohaterem będzie KL Auschwitz, o którym wszyscy na świecie słyszeli, ale o którym nikt tak naprawdę nie wie, i pewnie skromny Polak o nazwisku Pilecki, który próbował zatrzymać bieg historii... Opowiemy, jak wyglądało piekło na ziemi stworzone przez Niemców. Moim marzeniem jest, by film trafił i przemówił do widzów na całym świecie.

Jakie widzi pan główne przeszkody w tworzeniu tego obrazu?

Wiele osób mnie przestrzega, że nie da się zrobić filmu o człowieku, który praktycznie jest bez skazy. Przestrzegają, że żaden aktor nie zagra bohatera bez skazy. Przecież nasi aktorzy chcą grać wyłącznie kanalie, bo uważają, że dobra rola to zbudowanie czarnego charakteru.

Co pan sądzi o tych zarzutach? Jak pan na nie odpowiada?

W Polsce nie sprawdziliby się choćby Gregory Peck, bo grał wyłącznie szlachetne postacie. Dla mnie obcowanie z kimś tak mocnym w wielu wymiarach jak Pilecki jest wielkim szczęściem. Jestem przekonany, że ludzie oglądający film będą mieli podobne odczucia.

Nie ma chyba potrzeby dramatyzować historii Pileckiego, żeby przyciągnąć widzów.

Najmniej. Wystarczy, że opowiem jego historię zgodnie z rzeczywistością. Chcę opowiedzieć, że zachował się tak, zrobił to, tam był w takich okolicznościach, tam jeszcze w innych, tam planował to i to, czyli krok po kroku jak jego życie układało się w antyczną tragedię...

Wreszcie pragnę opowiedzieć o tym, o czym nikt nie wiedział. O próbie wyzwolenia Auschwitz. On i jego

ludzie byli do tego gotowi... Alianci nie zdecydowali się jednak na zbombardowanie Auschwitz.

Kogo widzi pan w roli głównej?

Szukamy nowych aktorów. Mam dwóch reżyserów kastingu, ciężko pracują, przeczyszcza całe środowisko aktorskie. Marię, żonę Pileckiego, już mamy.

Kto będzie ją grał?

Na razie nie mogę tego zdradzić. Zdradzę tylko, że to przepiękna kobieta, bardzo zdolna aktorka, grała w jednym z moich filmów, w którym młoda kobieta odnajduje Boga. Film był chętnie oglądany na świecie. W Polsce był krytykowany, twierdzono, że zrobiłem go dla Radia Maryja.

Kiedy film może wejść na ekrany?

Zakładamy, że za dwa lata. Zdjęcia zakończą się wiosną 2019 r., w międzyczasie będzie już trwał montaż.

Wie pan o tym zdecydowanie lepiej ode mnie, ale nie da się wyprodukować filmu i wypromować go bez dużych pieniędzy.

Oczywiście. Staramy się i szukamy tych pieniędzy. Są obietnice, że na tę jak na nasze warunki dużą i drogą produkcję znajdują się środki. Chcę stworzyć dobrą grupę produkcyjną złożoną z najlepszych fachowców. Nie będą to „gwiazdy”, które mają doświadczenie w przerabianiu pieniędzy. Chcę, by te pieniądze było widać na ekranie. Wygląda na to, że się uda.

Miedzy historià rodzinnaà a działaniem, które mogło zmienić świat, są rozpięte scenariusze twórców, którzy dziś chcą filmami opowiadać o Niezłomnych.

Najszybciej, bo jeszcze w tym roku (za chwilę na pokazy festiwalowe, a do kin najpewniej w grudniu) trafi do widzów film Jana Jakuba Kolskiego „Ulaskawienie”. Historia żołnierza wyklętego opowiedziana z bliskiej reżyserowi, rodzinnej perspektywy.

Na maj (25. dnia tego miesiąca minie 70 lat od śmierci rtm. Witolda Pileckiego) tzw. zdjęcia uciekające do filmu „Raport Pileckiego” (na razie znamy taki tytuł) zapowiada Leszek Wosiewicz.

Poza tymi dwoma projektami w przygotowaniach – często na bardzo wstępnym etapie – jest kilka innych; np. „Pilecki. Ochotnik do piekła”, któremu Polski Instytut Sztuki Filmowej przyznał dofinansowanie na prace przygotowawcze. Oznacza to m.in., że scenariusz wciąż powstaje.

W Agencji Kreacji Filmu i Serialu TVP trwa natomiast przygotowanie serialu „Oddział” autorstwa Jana Pawlickiego. W „zasobach dokumentalnych jest kilka naście gotowych filmów, których bohaterami są Niezłomni” – poinformowano nas w TVP, która jest też współproducentem obrazu Kolskiego.

„Ulaskawienie” to rozbudowany projekt (poza PISF wsparty go m.in. trzy filmowe fundusze regionalne, a także Czesi i Słowacy), zarazem osobista opowieść o rodzinie i stracie wpisanej w historyczne meandry. Reżysera zainspirowały przeżycia jego dziadków z 1946 r. Przełożył je na fabułę, w której rodzice wiozą trumnę z synem zabitym przez konfidenta UB. Chcą pochówku w spokojnym miejscu. Pierwowzorem głównego bohatera jest dziadek reżysera Jakub Szewczyk. Zamordowanym Wacław Szewczyk (ps. Odrowąż), brat jego matki. Zdarzenia są opowiadane z perspektywy 17-letniego wnuka. W rolach rodziców występują Grażyna Błęcka-Kolska i Jan Jankowski.

Film Wosiewicza jest zaś budowany wokół bohatera, którego działania mogły realnie wpłynąć na bieg historii. Wiadomość z ostatniej chwili: wybrano odtwórcę głównej roli (producent na razie nie chce zdradzać jego nazwiska). W maju mogą więc ruszyć zdjęcia do otwierającej sceny z 1937 r. A we wrześniu ekipa ma już na dobre wejść na plan.

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Holoubek odszedł 10 lat temu...



Fot. East News/Maciej Nabrzałik

Piszę ten tekst po uroczystości ku czci „Dziadów” Mickiewicza-Dejmka z 1968 r. w Teatrze Narodowym. Aktorzy przeczytali trochę wypowiedzi z epoki, puszczone odkryte jakiś czas temu nagrania z przedstawienia (bez obrazu, nie został zarejestrowany), w tym Wielką Improwizację wykonaną przez Gustawa Holoubka. Pokazano też na ekranie kilka wypowiedzi wybitnego aktora.

Jan Englert, dyrektor Narodowego, był prawdziwym mistrzem ceremonii czegoś ważnego, wzruszonym serio, czym zarażał innych. Kiedy drżącym głosem apelował o pojednanie choćby wokół wspólnej historii, jakiś człowiek z tylnych rzędów wrzasnął: „Pojednanie, ale z kim?”. Na sali przeważała „tamta strona”: Michnik, Lityński, Smolar. Poprzedniego dnia z kolei prawica na czele z premierem oglądała na tej samej sali współczesne przedstawienie „Dziadów” z repertuaru TN.

Jedni i drudzy pewnie nie rozumieli, że dla takich ludzi jak Englert te ceremonie mają swój teatralny wymiar. Oświetlono fotel, na którym Holoubek siedział 10 lat temu, w 40. rocznicę „Dziadów” – tuż przed śmiercią, bo zmarł 6 marca 2008 r. To, co mówił z ekranu o tamtym spektaklu, było zaprzeczeniem stereotypu aktora. Ludzie grający w tamtych „Dziadach” poddawali się nastrojowi publiczności, przez nich naprawdę przemawiał naród. I nie chodzi mi tu o arytmetykę. Zawsze uważałem, że polskość definiuje się przez dążenie do wolności, a to było przedstawienie na wskroś wolnościowe.

W jednym z nagrań Holoubek rozmawiał o śmierci z Tadeuszem Konwickim. A ja obejrzałem dopiero co „Salto” tegoż Konwickiego. Polsat, nieugięty w swojej pszennej buraczności, rozbijał najbardziej klimatyczne sceny reklamami, przerywając zdania w połowie. Wytrzymałem. Kocham ten czarno-biały film z 1965 r., z budzącą dreszcze muzyką Wojciecha Kilara. Nie do końca wiem, kim są dziwni ludzie żyjący w widmowym miasteczku wspomnieniami, przytłoczeni upiorami wojny. A przecież kiedy odbywa się w nim rocznicowa zabawa-stypa, zbiera mi się na płacz.

Może szczególnie uderzyła mnie rola Gustawa Holoubka. Chociaż nie, zawsze o niej pamiętam. Jego postać nazywana



PIOTR ZAREMBA

jest przez sąsiadów „dobrym człowiekiem”. Na zabawie wyznaje z szelmowską miną pod wódkę, że kryje się w tym protekcyjnalne pobbłażanie. Kiedy ktoś przy mnie o kimś tak mówi, przypominam Holoubkowe wywody.

Pamiętam niekończące się debaty o tym, że Pan Gustaw za mało w swoich rolach się zmienia, że, inaczej niż taki Łomnicki, jest zbyt intelektualny. Ostatnio przeczytałem,

że gdyby inny aktor grał Gustawa-Konrada w „Dziadach”, polska inteligencja nie utożsamiałaby się tak bardzo z przedstawieniem. No ale, pytałem, czy zagrałby przekonująco gadającego gwarą chłopca. Nawet jego zwykły Dobry Człowiek z „Salta” jest bardziej przypowieścią intelektualisty o kimś takim.

Holoubek był jednym z tych aktorów, którzy naginali postaci do siebie. Nadawali im sporo cech własnych, można to było kupić lub nie, ale do dziś przechodzi mnie dreszcz, kiedy wspominam jego Króla Leara z inscenizacji Jarockiego w Teatrze Dramatycznym (1977). Gdy dodać fakt, że ten teatr pod dyktando Holoubka był w latach 70. jedną z najbardziej intelektualnie spójnych scen, mam za co być mu być wdzięczny.

Był syntezą peerelowskiej inteligencji. Bohater insurekcyjnych „Dziadów”. Ale i poseł, bezpartyjny paprotek w gierkowskim Sejmie. Ale też człowiek, który rzucił poselskim mandatem w stanie wojennym. Zabrano mu za to i zniszczono teatr. Potem było jeszcze naiwne wsparcie dla Unii Demokratycznej, stolik w kawiarni Czytelnika z Konwickim. I piękne lata w Ateneum.

Dziesięć lat temu odszedł od nas wielki artysta. Wierzył, że teatr to pięknie, mądrze podane słowo. Dźwigał nas tym słowem w górę. To ciekawe, ale choć był związany z liberalnymi elitami, padł ofiarą napaści tzw. ojcobójców, teatralnych eksperymentatorów, których Piotr Fronczewski nazywa „gówniarzami”. Palili oni pod Ateneum znicze, żeby pokazać, że teatr Holoubka był martwy. Dla mnie był i jest żywy. Odnoszę wrażenie, że wciąż w nim siedzę. A może kiedyś spytam Pana Gustawa, czy zgadza się z opinią, jaką wygłaszał w „Salcie” na temat „dobrych ludzi”?

Piotr Zaremba

Odkrywanie Paderewskiego

Wystawa w warszawskim Muzeum Narodowym przybliża postać charyzmatycznego artysty i polityka wybitnie zasłużonego dla odzyskania przez Polskę niepodległości. Pokazuje go także w gronie rodzinnym i w wielu innych rolach

Paderewskiego nigdy dosyć – napisałem niedawno, ciesząc się z kolejnych płyt oraz częstych wykonań koncertowych ożywiających pamięć o twórczości znakomitego pianisty i kompozytora. Od 1961 r. co trzy lata w Bydgoszczy jest rozgrywany międzynarodowy konkurs pianistyczny jego imienia. Od roku 2014 z inicjatywy Fundacji Ave Arte kontynuującej popularyzatorskie dokonania Jerzego Waldorffa międzynarodowy festiwal Paderewskiego odbywa się w stolicy. Obecna wystawa w Muzeum Narodowym jest wyjątkową okazją do pogłębienia wiedzy o wielkim Polaku.

Ponad 600 eksponatów pochodzi z Riond-Bosson, szwajcarskiej rezydencji Paderewskiego. Znalazły się one wśród 1,5 tys. pamiątek i dzieł sztuki zapisanych Muzeum Narodowemu przez artystę w testamencie sporządzonym w 1930 r., w przededniu poważnej operacji. Operacja się powiodła, genialny muzyk żył jeszcze jedenaście lat, zmarł w Nowym Jorku w roku 1941, ale zapisu nie zmienił. Dopiero w latach 50. do Polski dotarło 61 skrzyń, ale czasy politycznie nie sprzyjały eksponowaniu ich zawartości. Pierwszy raz kolekcję Paderewskich pokazano w 1985 r. w Zamku Królewskim w Warszawie, współcześnie niektóre obiekty z tego zbioru można oglądać m.in. w Podchorążówce w Łazienkach, w dawnej posiadłości mistrza w Kąsnej Dolnej oraz w Muzeum Wnętrz w Otwocku Wielkim.

Trwająca do 20 maja wystawa „Paderewski” w Muzeum Narodowym zajmuje sześć sal. Każda odzwierciedla inną sferę życia bohatera. Gdy rozpoczynamy zwiedzanie, króluje przed nami fortepian ofiarowany artyście przez firmę Steinway & Sons. Zdjęcia z koncertów przed 16-tysięczną widownią w nowojorskiej Madison Square Garden w 1932 r. i w przepelnionej londyńskiej Royal Albert Hall tylko w części oddają skalę popularności Polaka. Mężczyźni nosili krawaty à la Paderewski, kobiety usiłowały zdobyć pukiel włosów muzyka, a jego monogram haftowały na pończochach. Tłumy



ADAM CIESIELSKI

fanów czekały na przejazd prywatnego pociągu, którym pianista podróżował po Stanach Zjednoczonych. To wszystko kilkadziesiąt lat przez Beatlesami...

Podziw dla twórcy był również udziałem elit. W drugiej sali mamy fotografię z dedykacją królowej Wiktorii, przed którą Paderewski występował. Jest portret i pełne fascynacji wspomnienie Heleny Modrzejewskiej, która

dostrzegła wdzięk i talent rudowłosego młodzieńca, pomogła mu finansowo na start i namówiła na występy w USA. Wiele gwiazd muzyki, teatru i kina gościło u Paderewskich na ich ranchu w Paso Robles. Sławni Polak do dziś w Kalifornii jest zaliczany do pionierów uprawy szlachetnych odmian winorośli.

W dalszych salach poznajemy m.in. życie rodzinne wirtuoza. Są fotosy jego przedwcześnie zmarłej żony Antoniny i dotkniętego ciężką chorobą syna Alfreda, który dożył zaledwie 20 lat. Także zdjęcia i portrety drugiej żony Heleny, z którą nie rozstał się przez 40 lat. Wspólnie kolekcjonowali sztukę, współtworzyli klimat Riond-Bosson, gościli przyjaciół, artystów i polityków.

Ostatnia odsłona przedstawia Paderewskiego patriotę.

Artystyczną popularność wśród przywódców światowych nieustraszenie wykorzystywał na przekonywanie ich do idei wskrzeszenia ojczyzny nad Wisłą. Oglądamy obraz, na którym nasz wielki rodak siedzi z prezydentem USA Thomasem Woodrowem Wilsonem przygotowującym historyczną deklarację z postulatem utworzenia niepodległej Polski. W 1919 r. Ignacy Jan Paderewski powołany przez Józefa Piłsudskiego na stanowisko premiera, jako delegat Rzeczypospolitej podpisał traktat wersalski sankcjonujący realizację tego marzenia.

Przed wyjściem z wystawy warto wysłuchać fragmentu przemówienia wygłoszonego przez Paderewskiego w 1940 r. Wzruszenie ogarnia, gdy sędziwy i schorowany już artysta zapewnia, że „nie zginie Polska, nie zginie, lecz żyć będzie”.



„Paderewski”, wystawa w Muzeum Narodowym w Warszawie:
17 lutego–20 maja 2018 r.
Kurator: dr Magdalena Pinker

Reduty Kraju Rad

Wojciech Stanisławski

Dawne enklawy stworzone lub zagospodarowane przez Romanowów i Stalina są najsilniejszą bronią Rosji na obszarze „bliskiej zagranicy”



Od Epiru po Padanię, od Osetii Południowej po Naddniestrze: gdziekolwiek spojrzeć, rozkwitają para państwa i quasi-państwa, pospiesznie drukowane są nowe paszporty i banknoty. Nie trzeba już mozolnie wyszywać flag – poliestrowe wychodzą taniej, można je drukować na metry. CONIFA, czyli Konfederacja Niezależnych Organizacji Piłkarskich, co roku przyjmuje nowych członków, a ostatnie mistrzostwa światowe rozegrała w Abchazji. Suwerenność, dawniej „zero-jedynkowa”, dziś staje się stopniowalna: zawsze znajdzie się kilka wyspiarskich państw na Pacyfiku, które są gotowe uznać nowy kraj w zamian za dyplomatyczne lub inne fawory.

Całe to zjawisko to kolejny dowód na rozpad powojennego ładu, lecz i na inne, głębiej zachodzące procesy: ludzie są istotami społecznymi i w ogromnej większości potrzebują funkcjonowania w ramach żywej wspólnoty. Skoro historyczne państwa nie chcą lub nie mogą już tworzyć tego rodzaju ram (rozmywane przez twory ponadnarodowe, wątpliwe w swoją rolę, coraz głębiej rozszczepione na płaszczyźnie etnicznej czy ideowej) – na ich miejsce pojawia się coś innego. Stąd m.in. popularność kibicowskich szczepów i regionalizmów, od pewnego momentu ochoczo zresztą podsycana przez komercję: skoro nowe tożsamości są okazją do wypromowania nowego lokalnego dania i wyprodukowania nowych magnesików na lodówkę, warto w nie trochę zainwestować. Nie bez znaczenia jest wreszcie wszechobecna kultura egotyzmu: wszelkie odrębności, lokalności, indywidualne rysy dziś domagają się

afirmacji, brak nagłośnienia jest odbierany jako wyraz represji. To niemal dialektyczne: im więcej globalizacji, tym więcej desperackich prób ocalenia swojej tradycji, swojego imienia.

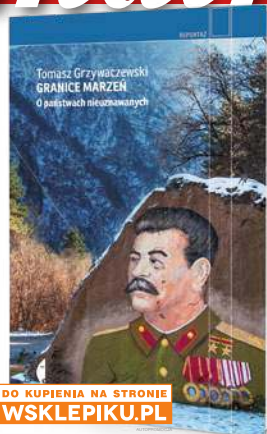
Na zachodzie Europy zjawisko to może się wydawać niewinne lub groteskowe, chociaż w przyszłości może być doskonale wykorzystane do jego osłabienia. Czym innym jest jednak pięć szóstych „strzępiastych klinów skórki pomarańczy globu”, dawniej nazywanych Trzecim Światem, gdzie aż kipi od nieuznanych landów (i cała ta kipiela wyleje się kiedyś również na nas). A jeszcze czym innym – ostańce dawnego imperium, enklawy jednych narodów w morzu innych, reduty Kraju Rad, które tak znakomicie można wykorzystywać w odwiecznej grze w „dziel i rządź”.

Tomasz Grzywaczewski, reporter, który od kilku już lat wędruje po Rosji i jej obrzeżach, ruszył tym ostatnim szlakiem, prowadzącym od Naddniestrza po Osetię Południową. Wspólny fundament wszystkich tych prowincji jest oczywisty: wielkie zsyłki i przemieszczenia narodów, czasem będące jeszcze dziedzictwem starożytności lub działań imperium Romanowów, znacznie częściej jednak polityki Stalina, stały się rozsądnikiem konfliktów, „tykającą bombą” (by uciec się do ulubionego porównania autora), która wybuchła w chwili rozpadu ZSRS, dając Rosji możliwość utrzymywania rzeszy zwolenników poza swoimi granicami (te reduty żyją z emerytur wypłacanych z rosyjskiego budżetu), szachowania państw ościennych możliwością rebelii na ich terytorium i destabilizowania kluczowych obszarów – od Bałkanów i Ukrainy po Kaukaz i Azję Mniejszą.

Autor opisując tych kilka światów i środowisk (prócz wyżej wymienionych: front pod Donieckiem, separatystów odeskich, weteranów z Arcach, czyli Górskiego Karabachu, i zwycięzców z Abchazji), pozostaje wierny manierze reportera kronikarza relacjonującego w czasie rzeczywistym wszystko, co zobaczył i czego posmakował. Jego książka to nie

traktat politologiczny, to reportaż, w którym co raz błyska flaszka, złote zęby, kolejne imię, kolejny cytat. Nie brakuje w niej świetnych smaczków w rodzaju kolczyków kurdyjskiej separatystki w kształcie pięciopalczastego liścia w kolorach rasta (nie żeby była entuzjastką marihuany, ale kolory Kurdystanu to też czerwony, żółty i zielony, a Ankara prędzej zaakceptuje reggae niż Kurdów).

Zdarzało się, że nużyła mnie relacja utrzymana bez reszty w czasie teraźniejszym (przeszły jest zarezerwowany dla flashbacków: dłuższych dygresji objaśniających korzenie konfliktów z czasów sowieckich), wszystkie te „wchodzę” „siadamy”, „zamyśla się mężczyzna”; czasem odnoszę wrażenie, jakby podobne reportaże można było pisać na zasadzie generatora tekstów, do którego wrzuca się nazwę miejscowego dania, wschodnie imię, całość zaś posypuje drobno siekaną refleksją: jak nie „Jemy już solankę w wersji abchaskiej, silnie doprawioną kolendrą i piekielnie ostrą lokalną przyprawą adżiką”, to „Świetlana komentuje przysypyany cukrem pu-



DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Tomasz Grzywaczewski, „Granice marzeń. O państwach nieuznawanych”, Wydawnictwo Czarne, 2018

drem mikroskopijnych rozmiarów sernik w gorącej malinowej polewie” lub „Irina jest poirytowana, bo do przyniesionej na rozgrzanej patelni mieszaniny baraniny i warzyw dodano jej za mało bakłażanów”, ot, Makłowiciada nostalgią podszyta.

Ale pisząc to, jestem niesprawiedliwy, bo mimo pewnej monotonii stylistycznej relacje te pokazują naprawdę wiele: po pierwsze, głębokie podobieństwo postaw i stylu życia na wszystkich kruszących rubieżach sowieckiego świata – te żelbetowe cokoły, te biesiadne obyczaje będą trwały równie długo, co łuki akweduktów i przywiązanie do wina na obszarach, którymi władał Rzym. Po wtóre zaś, potencjał, jaki wyrasta z ubóstwa i zagubienia w świecie, który każe kurczowo się trzymać przeszłości – bodaj i „skonstruowanej”, jak w Naddniestrzu, gdzie z banknotów uśmiecha się generalissimus Suworow, ale za to naszej, swojskiej, własnej. Doprawdy kto powie, że po tę potężną siłę społeczną sięga wyłącznie Putin?

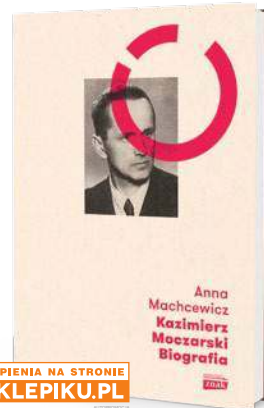
Korona z tarniny

To jedna z tych biografii, na których widok w witrynie księgarni kiwamy głową, po które niekoniecznie sięgamy w pierwszej kolejności: wydaje nam się, że wiemy o jej bohaterze, co najważniejsze, że można go sprowadzić do roli symbolu „ofiary stalinowskiego UB”, że perła, jaką wyniósł z tamtejszych kazamat, czyli „Rozmowy z katem”, jest ważniejsza od biografii układającej się zgodnie z popularnym wzorem polskich XX-wiecznych żywotów: inteligentko-PPS-owska rodzina, przedwojenny lewicujący pilsudczyk, AK i Powstanie, proces, więzienie, Październik.

Mylimy się. Książka Anny Machcewicz zwraca naszą uwagę na kilka kwestii: na zwyczajność życia Moczarskiego po roku 1956. Jak to, heros, któremu Herbert dedykował wiersze („widziałem człowieka poddałego torturom...”), w dzieła łączności z czytelnikami, „Kuriera Polskiego”, wesolej popołudniówki satelickiego SD? A po Marcu, gdy zachowawszy się przyzwoicie, został i stamtąd usunięty

sekretarz redakcji kwartalnika „Problemy Alkoholizmu”?

Takie reakcje są zrozumiałe, nie mieści nam się w głowie zwyczajność największych: „Bo nie bywa się na Oceanie Lodowatym i w Sajańskich Górach [...] żeby zostać powiatowym inżynierem i pocieszać się wódką po objeździe błotnistych dróg” – pisał Miłosz w gorzkim wierszu o swoim ojcu. Myśląc tak jednak, zapominamy zarówno o tym, że tortury, jakie zafundowano Moczarskiemu, nie były jego wyborem, jak i o tym – to najbardziej może wartościowa, jeśli chodzi o docieranie do nowych źródeł, część tej książki – z jaką konsekwencją i nienawiścią „resort” ścigał swoją ofiarę za życia i po nim. Już po śmierci Moczarskiego usiłowano wykraść wdowie jego zapiski, w 1978 r. powstało w MSW opracowanie, w którym podkreślano, że rehabilitacja dokonana przez sąd 22 lata wcześniej była bezzasadna, a niejaki Adam Humer po opublikowaniu przychylnej recenzji „Rozmów z katem” (o ironio, na łamach „Trybuny Ludu”!) alarmował KC PZPR i ministra spraw



DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Anna Machcewicz, „Kazimierz Moczarski. Biografia”, wyd. Znak Horyzont, 2018

wewnętrznych, że „kreuje się na bohatera [...] prowodyra krwawej kontrrewolucji”. Czy esbeków wytrącała z równowagi świadomość, że wymknął im się świadek ich okrucieństwa – i żywy dowód na „możliwość niezłomności”?

Szkoda, że autorka, snadź poruszona nieszczęsnym sporem o Muzeum II Wojny Światowej, nie mogła się powstrzymać od przeciwstawienia we wstępie biografii Moczarskiego „kultowi tzw. żołnierzy wykłętych”. Jedni i drudzy siedzieli w karcerach, dla jednych i drugich znajdzie się miejsce w panteonie.



Opowieść o dojrzewaniu



Christine McPherson (Saoirse Ronan) jest typową zbuntowaną nastolatką. Zaczyna właśnie ostatnią klasę liceum w katolickiej szkole, gdzie czekają ją pierwsze miłości, seksualne doświadczenia, napięcia w relacjach z przyjaciółmi. Pragnie się wyrwać z Sacramento w Kalifornii, frunąc do wielkiego świata. Ma to być zerwanie totalne. Christine każe się nazywać otoczeniu „Lady Bird”. Jej dom, imię, szkoła tworzą klatkę, z której Pani Ptak chce się uwolnić. Ma trudne relacje ze swoją zaborczą i surową matką (Laurie Metcalf), która za wszelką cenę próbuje wiązać rodzinny budżet.

Akcja nominowanego do pięciu Oscarów „Lady Bird” jest osadzona w 2002 r. Ameryka wychodzi z traumy po atakach 11/09. Trwa inwazja na Irak. Kraj musi znaleźć swoją duszę. Musi dojrzeć do nowej sytuacji, w jakiej się znalazł zaatakowany, zraniony, niepewny przyszłości. Tego samego doświadczenia bohaterowie. Utrata pracy, niezrozumiała zaborczość i gonienie marzeń, które wydają się odległe (dziewczyna nie ma pieniędzy ani na tyle dobrych stopni, by liczyć na wymarzone wyższe uczelnie) prowadzą do zagubienia. Wykolejenia się z torowiska życiowej harmonii.

Greta Gerwig doskonale rysuje trudne relacje matki z córką. Czulość miesza się z gniewem. Najgłębsza troska z zadawaniem najboleśniejszych ran. Tam, gdzie wielu reżyserów kazałoby aktorkom krzyczeć, Gerwig wybiera powściągliwość. Zamyka emocje w spojrzeniach. Wybuchy gniewu są natychmiast inteligentnie tonowane. Reżyserka nie gra na ani jednej fałszywej nucie. Konsekwentnie prowadzi wszystko do przejmującego i jakże mądrego finału!

Katolicka szkoła jest kierowana przez mądrą, wyrozumiałą, dowcipną zakonnicę, która bez nachalności wszczepia w wychowanków tradycyjne wartości. Wybrzmiewa w filmie klasowe rozwarstwienie Ameryki. Jednak pustka materializmu nie jest przepuszczona przez agresywnie kontestujące tradycyjne wartości lewicowe spojrzenie. „Lady Bird” ma zaskakująco prorodzinną wymowę. Podana w sposób zupełnie bezpretensjonalny, lekki, ale również bardzo mądry.

Wielkość filmu Gerwig zamyka się w finale, w którym reżyserka nie boi się spojrzeć w stronę delikatnie ujętej epifanii, coraz rzadszej w tego rodzaju kinie. Wspaniały film, krzywdząco pominięty na Oscarach.

„LADY BIRD”, REŻ. GRETA GERWIG, DYSTR. UIP

VOD

On wrócił!

81-letni upiór europejskiej polityki ze swoją zdumiewającą prawicową koalicją wygrał właśnie wybory w Italii. Mimo wyroków (nie może pełnić funkcji publicznych do 2019 r.), problemów ze zdrowiem i licznych skandali obyczajowych Silvio Berlusconi pokazał, że jest niezniszczalną postacią rodem z sequeli kina grozy. Silvio plus eurosceptyczne siły rzucające rękawicę Brukseli? To horror dla eurokratycznego establishmentu! „My way” Alana Friedmana to mocny, obiektywny i szczerzy dokument, w którym Berlusconi opowiada o swojej karierze. Reżyser znakomicie kontruje wynurzenia egocentrycznego, zakochanego w sobie

włoskiego magnata. Mimo sprzeciwu swojego rozmówcy nakreśla jego podejrzaną związków z włoską mafią, naświetla szczerzy antykomunizm, przyjaźń z George’em W. Bushem i fatalną fascynację Władimirem Putinem.

Warto zobaczyć spowiedź kontrowersyjnego polityka, który może sporo namieszać w polityce europejskiej. „My way” pokazuje mentalne pokrewieństwo Berlusconi’ego i Donalda Trumpa. Czy przełoży się to na geopolitykę?

„MY WAY”

JEST DOSTĘPNY NA NETFLIXIE





Zmarnowany potencjał

W 2005 r. na karę 14 lat więzienia został skazany ojciec Daniel Corogeanu. Wraz z czterema zakonnicami przeprowadzał egzorcyzmy na siostrze Irinie Corici. Zakonnica zmarła. Rumuński sąd uznał, że była chora umysłowo i nie otrzymała odpowiedniej terapii. Za duchownym nie wstawiła się nawet Cerkiew. Doskonały temat dla jakiegoś ateistycznego twórcy, który miałby pole do popisu w potępieniu „średniowiecznych” praktyk wierzących.

Film Francuza Xaviera Gensa bierze jednak duchownego w obronę, pokazując, że zmarła zakonnica była rzeczywiście opętana. To też opowieść o odzyskaniu wiary przez ateistkę, dziennikarkę Nicole Rawlins (Sophie

Cookson), która przyjeżdża do Rumunii zrobić reportaż o śmierci zakonnic.

Szkoda, że „Krucyfiks” nie został nakręcony jako psychologiczny dramat z elementami horroru. Zderzenie racjonalizmu reporterki z doświadczaniem realnego zła jest szalenie intrygującym tematem. Eksploatował go Scott Derrickson w świetnych „Egzorcyzmach Emily Rose” (2005). Derrickson mimo że zanurzył film w hollywoodzkim sosie, zadał wiele ciekawych pytań teologicznych. Wszedł w debatę o wolności religijnej, laicyzacji czy zderzeniu rozumu z wiarą. Niestety twórcy „Krucyfiks” poszli w stronę banalnych, oklepanych i wyświechtanych gatunkowych klisz. Scenariusz filmu napisali znani fanom horrorów bracia Hayesowie. W tym wypadku autorzy obu części „Obecności”

sklecieli scenariusz pod gustu mało wymagającej widowni.

Nie chodzi już o oglupawą i infantylną tematykę egzorcyzmów w końcowej bitwie z demonem. Scenariusz rozchodzi się w szwach nawet w drobiazgach. Jak to możliwe, że w małej, biednej wiosce rumuńskiej, gdzie wciąż jeżdżą furmanki, wszyscy mówią po angielsku? Zakonnice, duchowni (dziennikarce pomaga wyglądający jak wypiełgnowany hipster o. Anton) i właściciel lokalnego baru mówią płynną, wystudiowaną angielszczyzną. Prości chłopcy język kaleczą, ale wciąż dogadują się świetnie na tematy teologiczne! Zupełny nonsens. Szkoda zmarnowanego potencjału.

„KRUCYFIKS”

REŻ. XAVIER GENS, DYSTR. KINO ŚWIAT



Popłuczyny po „ Fargo ”

Suburbicon” dowodzi, że bracia Coenowie są niepodrabialni i tylko oni potrafią przenieść na ekran ducha swoich scenariuszy. Oddali swój stary scenariusz George’owi Clooney’owi, a ten zmienił go w marną podróbkę ich genialnego „Fargo”. Film ten opowiada znaną historię zwykłych ludzi, którzy przez chciwość wpadają w kołowrotek zbrodni. Ten świat jest im z natury rzeczy obcy, więc popełniają kolejne fatalne błędy i dochodząc do ściany, zamieniają się w bestie.

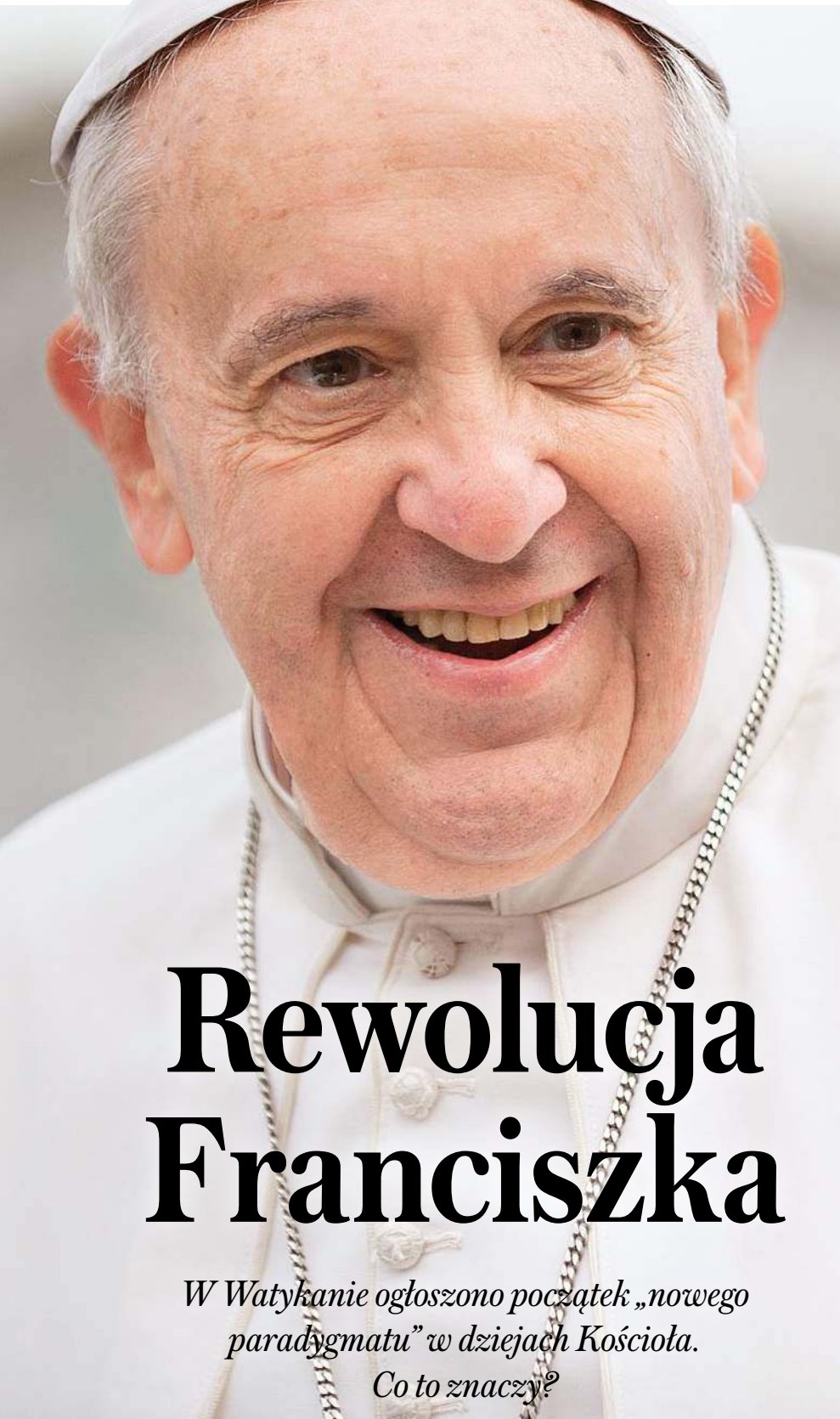
Zdeklarowany liberał Clooney nie byłby sobą, gdyby nie dorzucił do scenariusza wątku społeczno-politycznego. Wypiełgnowane przed-

mieścia były wizytówką Ameryki lat 50. Bogaczej się, konserwatywnej i pełnej uśmiechniętych ludzi sukcesu. Clooney dekonstruuje mitologię american dream. Białe przedmieścia pełne są rasistów z twarzami wykrzywionymi jak u polskich antysemitów w „Pokłosiu”. Właśnie w tym Clooney najbardziej przegrywa. Nie potrafi połączyć czarnej jak smoła Coenowskiej komedii ze społecznym kinem gniewnego Spike’a Lee. Wychodzi mu autoparodystyczny potworek. Infantylny i histeryczny jak dzisiejszy antytrumpizm.

„SUBURBICON”

REŻ. GEORGE CLOONEY, DYSTR. MONOLITH





Rewolucja Franciszka

*W Watykanie ogłoszono początek „nowego paradygmatu” w dziejach Kościoła.
Co to znaczy?*



GRZEGORZ GÓRNY

17 grudnia 1936 r. św. Faustyna Kowalska napisała w „Dzienniczku”: „Dzisiejszy dzień ofiarowałam za kapłanów; w dniu tym więcej cierpiałam niż kiedykolwiek – i wewnętrznie, i zewnętrznie. Nie wiedziałam, że w jednym dniu tyle wycierpieć można”. Tego dnia w Buenos Aires urodził się Jorge Mario Bergoglio.

DECENTRALIZACJA DOKTRYNALNA

W wielu analizach podsumowujących pięciolecie pontyfikatu Franciszka jedno słowo pojawia się szczególnie często: rewolucja. Na czym miałyby ona jednak polegać? Włoski pisarz Vittorio Messori uważa, że dzisiejszy Kościół upodabnia się do postmodernistycznego świata, wpisując w Baumanowski schemat „płynnej nowożytności”, gdzie wszystko jest zmienne i nie ma nic stałego, a jedyną pewną rzeczą pozostaje ciągła zmiana.

W ostatnich latach obserwujemy, jak rzesze teologów, księży, biskupów, kardynałów, a nawet całe episkopaty podważają odwieczne nauczanie Kościoła w wielu kwestiach. Publicznie kwestionowane jest m.in. dotychczasowe rozumienie sakramentów, nierozzerwalność małżeństwa, zakaz kapłaństwa kobiet, podstawy etyki seksualnej, np. stosunek do par jedнопłciowych oraz wiele innych elementów Magisterium. Niedługo tego typu wypowiedzi wywołały ostrą reakcję Watykanu. W 1995 r. Jan Paweł II zdymisjonował np. francuskiego biskupa Jacques'a Gaillota,

gdy ten opowiedział się za błogosławieniem przez Kościół par homoseksualnych. Dziś takie postulaty głosi otwarcie wielu hierarchów, a jednak nie spotykają się one z żadnym, nawet najmniejszym upomnieniem ze strony Stolicy Apostolskiej. Franciszek, wielokrotnie proszony przez zdezorientowanych wiernych o przerwanie zamętu i rozstrzygnięcie spornych kwestii, nie korzysta z przysługującego mu prawa, by wystąpić jako ostateczna instancja i zakończyć dyskusję.

Wydaje się to całkowicie zgodne z jego zamysłem, który wyraził w programowym dokumencie swego pontyfikatu – adhortacji „*Evangelii gaudium*” – gdy pisał: „Nie uważam także, że należy oczekiwać od papieskiego nauczania definitywnego lub wyczerpującego słowa na temat wszystkich spraw dotyczących Kościoła i świata. Nie jest rzeczą stosowną, żeby Papież zastępował lokalne Episkopaty w rozeznaniu wszystkich problemów wyłaniających się na ich terytoriach. W tym sensie dostrzegam potrzebę przyjęcia zbawiennej „decentralizacji”.

Słowem kluczem do zrozumienia obecnego pontyfikatu jest właśnie decentralizacja. Istniała ona od wieków w Kościele, ale dotyczyła zawsze spraw obrzędowych, dyscyplinarnych czy administracyjnych. Nigdy nie dotyczyła kwestii wiary ani moralności, a więc prawd zbawczych. W tym wymiarze zawsze obowiązywała powszechność i uniwersalność nauczania katolickiego. Czuwał nad tym papież, który był ziemskim gwarantem owej jedności. Tym właśnie różnił się Kościół katolicki od innych wyznań.

Teraz okazuje się, że decentralizacja może rozciągnąć się także na sprawy doktrynalne. Píše o tym wprost Franciszek w adhortacji „*Amoris laetitia*”: „Pragnę podkreślić, iż nie wszystkie dyskusje doktrynalne, moralne czy duszpasterskie powinny być rozstrzygnięte interwencjami Magisterium”. Problem polega na tym, że do tej pory to właśnie papież zawsze rozstrzygał wszystkie dyskusje doktrynalne. To w Kościele katolickim jego wyłączna prerogatywa.

Zaraz po cytowanym wyżej zdaniu Franciszek dodawał: „Oczywiście,

w Kościele konieczna jest jedność doktryny i działania, ale to nie przeszkadza, by istniały różne sposoby interpretowania pewnych aspektów nauczania lub niektórych wynikających z niego konsekwencji”. I znów problem polega na tym, że obowiązująca wykładnia doktryny także należała zawsze do papieża.

Reforma zainicjowana w Watykanie zmierza dziś w kierunku decentralizacji rozumianej szerzej niż do tej pory. Jej kształt wykuwa się podczas spotkań tzw. Grupy G8, czyli grona ośmiu kardynałów będących najbliższymi współpracownikami Franciszka. Pod koniec lutego odbyła się w Rzymie 28. sesja tego gremium. Po jej zakończeniu ogłoszono komunikat, że w ramach decentralizacji rozważane jest przyznanie Konferencjom Episkopatów „pewnego autentycznego autorytetu doktrynalnego”.

Tego rodzaju decentralizacja *de facto* już zresztą istnieje, choć nie ma żadnego umocowania w prawie kościelnym. Już teraz obserwujemy przecież, jak niektóre episkopaty, np. Niemiec, Belgii, Argentyny czy Malty, wydają oficjalne dokumenty, w których odchodzą od odwiecznego nauczania Kościoła, dopuszczając do Eucharystii osoby rozwiedzione i utrzymujące relacje seksualne w ponownych związkach. Biskupi w innych krajach mówią z kolei, że nic się nie zmieniło i tego rodzaju komunია oznacza świętokradztwo. Ten sam czyn po wschodniej stronie Odry jest więc grzechem ciężkim, a po zachodniej – przebywaniem w łasce uświęcającej.

Decentralizacja na poziomie doktryny sprawia więc, że w kontekście nauczania chrześcijańskiego traci jakikolwiek sens mówienie o prawdzie. Prawda nie może być bowiem zależna od szerokości geograficznej. W przeciwnym razie mamy do czynienia jedynie z opiniami, a tych może być nieskończenie wiele.

ROZEJM ROKU 1968

Decentralizacja doktrynalna nie jest nowym pomysłem. Zaczęła się ona w Kościele już dawno, ale rozwijała nieoficjalnie. Za jej początek można uznać rok 1968 i ogłoszenie przez Pawła VI ency-

kliki „*Humanae vitae*”, która w krajach zachodnich wywołała protesty wielu biskupów. Odrzucili oni zwłaszcza zawarty w dokumencie zakaz stosowania antykoncepcji, który papież uznał za niezgodny z moralnością chrześcijańską. 30 sierpnia 1968 r. Episkopat Niemiec przyjął tzw. Deklarację z Königstein, która twierdziła, że „*Humanae vitae*” nie spełnia wymogów papieskiej nieomyślności, w związku z czym biskupi pozostawiają swym wiernym swobodę postępowania w sprawie antykoncepcji. Podobnie postąpił Episkopat Austrii, przyjmując 22 września 1968 r. tzw. Deklarację z Maria Trost, która wyjmowała sprawę antykoncepcji spod osądu Kościoła i pozostawiała ją indywidualnej ocenie sumienia wiernych. Analogiczną decyzję podjęli biskupi szwajcarscy na synodzie w 1972 r. Najostrzej przeciw „*Humanae vitae*” występowali hierarchowie w Beneluksie. Prymas Holandii kard. Bernard J. Alfrink oświadczył, że „encykliki nigdy nie są nieomyślne”, a „najważniejszą normą pozostaje indywidualne sumienie”. W styczniu 1969 r. stanął na czele buntu przeciw papieżowi i wspólnie z ośmioma biskupami oraz setką księży ogłosił tzw. Deklarację Niepodległości, wzywającą holenderskich katolików do odrzucenia „*Humanae vitae*”. Część sygnatariuszy owego dokumentu postulowała też konieczność zmiany nauczania Kościoła w innych kwestiach, m.in. aborcji, eutanazji czy homoseksualizmu.

Paweł VI był przerażony reakcją na jego encyklikę. 7 grudnia 1968 r. powiedział: „W Kościele wybiła niespokojna godzina samokrytyki, a raczej należałoby powiedzieć – samodestrukcji. To karkołomny zwrot, którego po Soborze nikt by się nie spodziewał. Wygląda na to, jak gdyby Kościół sam sobie zadawał rany”. Jeszcze mocniej powrócił do tego wątku w trakcie audiencji generalnej 29 czerwca 1972 r., gdy stwierdził, że „do świątyni Boga przedostał się dym szatana. Wątpliwości, niepewność, dyskusje, niepokój, niezadowolenie, spory. Brak zaufania do Kościoła. W nasze sumienia wdarło się zwątpienie, i to wdarło się przez okna, które uchyliliśmy po to, aby nimi mogło przedostać się światło... Spodziewaliśmy się po Soborze słonecznego dnia dla dziejów

Kościoła. A tymczasem nadciągnęły chmury, burze, mrok, poruszanie się po omacku i niepewność. Jesteśmy przekonani, że to coś nieziemskie – diabeł – pojawiło się na świecie, by popsuć i zdusić owoce Soboru Powszechnego i by Kościół nie mógł świętować radości z osiągnięcia pełnej świadomości samego siebie. Z tego właśnie powodu pragniemy, dziś bardziej niż kiedykolwiek, wywiązać się z obowiązku powierzonego przez Boga Piotrowi umacniania braci w wierze”.

Paweł VI dawał wyraz swemu rozgoryczeniu w mowach, ale zrezygnował z konsekwentnego egzekwowania posłuszeństwa. Bał się, że zdecydowane środki dyscyplinujące mogłyby doprowadzić do schizmy i nowego rozłamu w Kościele. W efekcie utrwalił się stan, który ks. Henry John Neuhaus nazwał „rozejmem roku 1968”. Była to de facto decentralizacja doktrynalna, która sprawiła, że drogi różnych lokalnych Kościołów zaczęły się stopniowo rozchodzić, np. w Niemczech czy Beneluksie – inaczej niż w Polsce czy na Słowacji – niemal w ogóle zanikła praktyka spowiedzi, natomiast do komunii przystępują tam prawie wszyscy.

NOWY PARADYGMAT

Wiele wpływowych osobistości w Watykanie dąży obecnie do tego, by ów stan oficjalnie sformalizować. Największymi zwolennikami decentralizacji doktrynalnej są zwłaszcza hierarchowie niemieccy, którzy nieustannie powołują się na papieską adhortację „Amoris laetitia”. Najbardziej zaufany teolog Franciszka kard. Walter Kasper stwierdził wprost, że jest to „dokument tysiąclecia”. Z kolei sekretarz stanu Stolicy Apostolskiej kard. Pietro Parolin powiedział, iż wspomniana adhortacja zapoczątkowuje zupełnie „nowy paradygmat” w dziejach Kościoła. Na czym polega więc wyjątkowość owego aktu?

Jej istotą jest kierowanie się w duszpasterstwie nie ogólnymi normami moralnymi, lecz głosem sumienia i rozeznawaniem duchowym. Ocena moralna czynów zostaje uzależniona

od ich kontekstu oraz subiektywnej oceny. Etyka absolutna ustępuje zatem miejsca etyce sytuacyjnej. Skutkiem tego staje się dopuszczenie różnych interpretacji ogólnych prawd moralnych i doktrynalnych. W przypadku „Amoris laetitia” konkretnym efektem jest dopuszczenie do komunii osób rozwiedzionych i utrzymujących stosunki seksualne w ponownych związkach. Do takiej interpretacji przychylił się zresztą sam Franciszek, odpowiadając na list z zapytaniem w tej sprawie od biskupów z Buenos Aires.

Decentralizacja na poziomie doktryny sprawia, że w kontekście nauczania chrześcijańskiego traci jakikolwiek sens mówienie o prawdzie. Prawda nie może być bowiem zależna od szerokości geograficznej

W lutym z kolei Episkopat Niemiec – wbrew jednoznacznym zapisom obowiązującego Kodeksu prawa kanonicznego – postanowił dopuścić do komunii protestantów. Nie wywołało to żadnej reakcji Watykanu. Dlaczego? Jest bowiem całkowicie zgodne z koncepcją doktrynalnej decentralizacji oraz „nowym paradygmatem”, by nie kierować się prawami ogólnymi, lecz rozeznawaniem poszczególnych sytuacji w ich złożonym kontekście. Te zaś mogą się zmieniać w czasie. Sam Franciszek zresztą, wypowiadając się w takich kwestiach, jak np. wojna sprawiedliwa czy kara śmierci, stwierdził, że są one nie do pogodzenia z nauką Kościoła, a więc jego poprzednicy mylili się w tych sprawach.

POGOŃ ZA NOWOCZESNOŚCIĄ

Na naszych oczach realizuje się wielkie marzenie zmarłego w 2012 r. kard. Carlo

Marii Martiniego z Mediolanu, który powtarzał, iż najważniejszym zadaniem katolików jest nadrobienie 200 lat zapóźnienia, jakie Kościół ma wobec współczesnego świata. Jego zdaniem, Kościół popełnił błąd, nie przyswajając sobie zdobyczy oświecenia i od tamtej pory stracił kontakt z nowoczesnością. Martini był bardzo wpływowym dostojnikiem, inicjatorem i mentorem tzw. Grupy z Sankt Gallen, która już od 2002 r. upatrywała w kard. Bergoglio przyszłego papieża.

Dziś Kościół w ekspresowym tempie nadrabia więc stracony czas i coraz bardziej upodabnia się do współczesnego świata. Priorytetowymi kwestiami stają się zmiany klimatyczne, ochrona środowiska naturalnego i polityka migracyjna. W Watykanie honorowane są osoby zaangażowane w budowanie przemysłu aborcyjnego. Episkopat Niemiec rozpoczął już debatę nad błogosławieniem par homoseksualnych. Stolica Apostolska powołała specjalną komisję, która ma na nowo zinterpretować „Humanae vitae” w świetle „Amoris laetitia”. Tego typu przykłady można mnożyć.

Pozostaje pytanie o efekt tego pościgu za nowoczesnością. W tym przypadku mamy pewność, do czego on prowadzi. W krajach, gdzie Kościół wybrał taką drogę, katolicyzm zniknął jako realna formacja kulturowo-społeczna. Świątynie świecą pustkami. Lawinowo rośnie liczba zdeklarowanych ateistów. Niemieccy biskupi twierdzą, że przecierają innym drogę jako pionierzy nowego modelu duszpasterstwa, ale efekt ich działalności jest taki, że tylko 16,2 proc. tamtejszych katolików wierzy w Boga jako osobę wchodzącą w relacje z ludźmi, natomiast 83,8 proc. utożsamia Go z Opatrznością bez twarzy, anonimowym losem, jakąś pierwotną siłą albo wręcz zaprzecza Jego istnieniu.

Kościół nie po raz pierwszy w swej historii stoi więc dziś na rozdrożu. Katolicy w takiej sytuacji zawsze sięgali po swą największą duchową broń, czyli modlitwę. Powinni zatem więcej się modlić. Zławsza za kapłanów. Jak św. Faustyna Kowalska.

Reparacje zza oceanu

Tak, wiem, że w interesie Polski jest strategiczny sojusz z USA, a pogorszenie wzajemnych relacji byłoby mile widziane w Moskwie. Owszem, zdaję sobie sprawę z tego, że plotka o zatrzaśniętych przed naszymi przywódcami drzwiami Białego Domu to kolejna prowokacja, która ma przynieść spadek notowań rządu. Mimo to irytują mnie płynące z ust niepodległościowych polityków i dziennikarzy TVP peany na cześć przyjaźni polsko-amerykańskiej. Jeszcze dwa lata temu z tych samych ust można było usłyszeć, że jeśli sami się nie obronimy, to nikt nas nie obroni. Dziś stosunek do prezydenta USA przypomina kult Matki Boskiej Częstochowskiej, a stacjonujący nad Wisłą amerykańscy żołnierze jawią się niemal jako aniołowie. Pod twoją obronę uciekamy się, Donaldzie Trumpie, naszymi prośbami racz nie gardzić w potrzebach naszych, ale od wszelakich złych przygód racz nas zawsze wybawiać...

Jest faktem, że kilka miesięcy przed warszawskim szczytem NATO Amerykanie dostrzegli wreszcie kluczowe znaczenie Polski dla układu sił w Europie Środkowej i zaczęli uwzględniać nasz kraj w swojej polityce wobec Rosji i Unii Europejskiej. Wciąż jest to jednak „strategiczny sojusz” w powijakach. Trudno nazwać wypróbowanym sojusznikiem państwo, które utrzymuje wizję dla Polaków, krytycznie komentuje nasze ustawy i protekcjonalnie grozi nam paluszkami. Oczywiście TVP codziennie przypomina porywające przemówienie Trumpa na pl. Krasińskich w Warszawie, ale przecież było już kilku prezydentów USA, którzy potrafili pięknie mówić o Polsce. Jeden, zanim zaprzyjaźnił się ze Stalinem, nazwał nas nawet „natchnieniem narodów”. Redaktor emigracyjnych „Wiadomości” Mieczysław Grydzewski napisał w 1951 r., że „społeczeństwo polskie ma skłonność do brania na serio i do upajania się nic nie znaczącymi frazesami, wypowiedzianymi na temat Polski przez cudzoziemców”. Obyśmy znów się nie rozczarowali.

*Jeśli Niemcy są nam
winni kilkaset miliardów
dolarów za II wojnę
światową, Amerykanie
powinni zapłacić drugie
tyle za sprzedanie Polski
Sowietom*

Czynienie sobie bożków z możliwych tego świata nie prowadzi do zmartwychwstania. Boleśnie przekonali się o tym nasi przodkowie, którzy na początku XIX w. układali świeckie litanie do Napoleona. Tę chorobliwą zależność najlepiej opisał Elias Regnault w książce „L'Odyssée Polonaise” (Paryż, 1862): „Nigdy jeszcze w historii szlachetna żarliwość nie spotkała się z tak okrutną odpłatą. Przez cały czas swego panowania Napoleon łudził Polaków mirażem ojczyzny i raz po raz go rozwiewał. Odwoływał się do ich uczucia, by we właści-

wej chwili skorzystać z niego dla ubicia własnego interesu”. Jeszcze gorzej było w czasie II wojny światowej, gdy Churchill i Roosevelt, a później Truman, godzili się na oddanie Polski Stalinowi. To oni – przywódcy Wielkiej Brytanii i USA – skazali żołnierzy podziemia niepodległościowego na śmierć i tortury, większość z nas na życie w niewoli, mniejszość na los tułaczy. W jaki sposób władze odrodzonej Rzeczypospolitej powinny się odnieść do tej kwestii w relacjach polsko-amerykańskich?

Trzeba dokładnie wszystkich policzyć. Zamordowanych żołnierzy wyklętych, więzionych uczniów i harcerzy, księży męczenników, szykanowane rodziny bohaterów, ofiary Października '56, Grudnia '70, stanu wojennego, wreszcie dzieci, które z uchodźczych obozów w Indiach czy Afryce nie chciały wracać do kraju. Należy wycenić skutki sowietyzacji gospodarki i wywołane cenzurą straty kulturalne. A następnie sporządzić rachunek z określonym terminem płatności i wysłać go za ocean, do prezydenta Donalda Trumpa albo do Kongresu Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Jeśli Niemcy są nam winni kilkaset miliardów dolarów za II wojnę światową, Amerykanie powinni zapłacić drugie tyle za sprzedanie Polski Sowietom. Dopiero kiedy przyjmą odpowiedzialność za swoją zdradę, będą mogli z nami porozmawiać o praworządności.

A poza tym uważam, że Pałac Kultury i Nauki im. Józefa Stalina musi zostać zburzony.

Wojciech Wencel





Te dwa filmy dokumentalne pokazują, w jaką stronę poszła rewolucja seksualna, która miała „wyzwolić” współczesnego człowieka. Ostatecznie go zniewoliła. Odczłowieczyła i sprowadziła do poziomu wiecznie niezaspokojonego zwierzęcia

Przerażająca pustka rewolucji seksualnej



ŁUKASZ ADAMSKI

Jestem osobą, której płacono za to, by była tym, kim chce. Zapłaciłem za to własnym istnieniem. Jako dziecko sniłem o diable. Mówiłem mu: uczyni mnie sławnym, a kiedyś ci za to zapłacę. Moim diabłem jest moja seksualność. Były momenty, gdy myślałem o ciemności, o prawdziwej autodestrukcji. Gdy pociąga cię pustka, seksualność, która nie istnieje, obrazy, które u innych wywołują mdłości, wiesz, że coś jest nie tak. Gdy tracisz kontrolę, prowadzi to do chaosu” – mówi Rocco Siffredi, ikona kina porno. Słowa padają w mocnym dokumencie „Rocco”

dostępnym na Netflixie. Siffredi po 20 latach postanowił skończyć karierę gwiazdy porno. Próbuje też wrócić do religijnych korzeni. Siffredi to typowy Włoch. Ukształtowany przez silny katolicyzm, rozpustnik, dla którego świętością jest „mamma” i familia. Jednocześnie nie widział długo problemu w uzależnianiu swoich fanów od pornografii. W życiu osobistym wybrał rodzinę. Wstyd mu było przed dwoma dorastającymi synami. Czy kiedyś poczuje wstyd z powodu udziału w budowaniu spornografizowanej kultury?

Kultury pustego hedonizmu, wyjałowionej nie tylko z norm etycznych, moralnych, lecz nawet ludzkich uczuć. To kultura pozbawiona miłości, odwrócona od piękna cielesności, sprowadzająca człowieka do roli mechanicznie kopulującego zwierzęcia. Upojonego alkoholem, naszpikowanego dragami i celebrującego własną pustkę. Warto obejrzeć „Rocco” w zestawieniu z in-

nym porażającym dokumentem dostępnym na Netflixie.

SEKS JAK FAST FOOD

„Liberated: The New Sexual Revolution” to obraz studentów z amerykańskich uczelni, którzy podczas wiosennej przerwy (spring break) masowo przyjeżdżają na plaże Florydy i Meksyku, gdzie przez cały tydzień trwa jedna wielka orgia. Orgia konsumpcji, chłania, ćpania i seksualnego upojenia. Orgia wyzwolona nie tylko od norm moralnych, lecz również fundamentów ludzkich relacji. Filmowcy udali się z kamerami na plażę, do dyskoteki i weszli do pokojów studentów. Wypowiedzi „gadających głów” – ekspertów mieszają się z zupełnie naturalnym zachowaniem zatopionych w hedonistycznych przyjemnościach młodych ludzi.

Traktujących seks jak zjedzenie fast fooda. Otwarcie opowiadających o wy-

korzystywaniu nieznajomych do cielesnych przyjemności. Dlaczego tak robią? Bo przecież pornografia jest wszędzie. Weszła do mainstreamu. Erotyką ociekają reklamy samochodów, produktów spożywczych i RTV. Dlaczego więc oni nie mają przedmiotowo traktować innych, skoro popkultura promuje taki model społeczny? Czy tak się usprawiedliwiają? Nie. Oni po prostu traktują pornograficzną seksualność jako absolutną normę. Bezdyskusyjną i niewywołującą najmniejszych etycznych rozterek. Oglądając dokument Netflix, doceniłem fabularny film „Spring Breakers” (2012) Harmony’ego Korine’a, który obrazowo pokazał, jak kończy się zderzenie „wyzwolonych seksualnie”, rozpuszczonych i roszczeniowych śnieżynek z prawdziwym życiem. U Korine’a było to zderzenie z gangsterami z Florydy. Ich kule to jednak nic w porównaniu z szeroko zapraszającym intruzem typu C, trzyliterowym zabójcą HIV i w końcu z licznymi wenerami. Czy oni się tym przejmują? Możliwe. Ale zagłuszają myśl rechem. Pustym, dudniącym rechem, wypełniającym wypindrzoną najlepszymi kosmetykami gębę.

Oto, jak wygląda ostatni etap seksualnej rewolucji. Opartej na zwierzęcych instynktach. To ekshibicjonizm dla samego ekshibicjonizmu. Goła dupa na Instagramie lajkowana przez bandę kretyków zapatrzonych w soft pornografię, wprowadzoną do kultury popularnej. Gdzie im do nienawidzonego Boga i chrześcijańskiej cywilizacji Markiza de Sade’a i libertynów wpisujących seksualną perwersyjność w swój arystokratyzm? Gdzie im do walczących z patriarchatem hipisów, którzy tradycyjną rodzinę chcieli zastąpić miłością doskonałą, uniwersalną i obejmującą każdego człowieka na ziemi? To infantylne, ale oparte na pojęciu jakiegoś dobra. Gdzie im do rockowych bóstw w typie Jima Morrisona, który ogłosił powrót do dionizyjskiej erotyki? Rewolta skończyła się bełkotem zapijaczanego poety, który zarzygał „drzwi percepcji”. Jednak i on zrywał kajdany moralności w wyższym celu. Złym. Nietzscheańskim. Ale jednak celu wyższym. A oni?

Oni się „parzą jak króliki”, to sprawia im wyłącznie fizyczną przyjemność.



Kadr z filmu „Rocco”

Fot. Mat. prasowa

Krótką. Ulotną. Zamkniętą w kolejnych orgazmach zapewnianych przez kolejnych partnerów bez nazwiska i twarzy. Są tego świadomi. Pokazani na filmie studenci z całego świata są świadomi takiej seksualności. Akceptują ją. Chwalą się nią. Również kobiety. Wyzwolone przez feministki, które przez lata, ku radości napalonych i nienawidzących odpowiedzialności samców, krzyczały o „wolności cipki”. Te dziewczyny chcą być jak faceci. To paradoks, bo przecież w świecie spornografizowanej kultury konsumpcjonizmu są towarem. Wyrwają więc dla siebie poczucie egalitaryzmu przez uprawianie seksu, z kim popadnie. Tym samym jeszcze mocniej się uprzedmiotawiają. Skąd niby to całe #metoo, jeżeli nie z poczucia mężczyźni, że każda kobieta jest „łatwa”? A przecież mężczyzna dziś już nie chroni kobiet. Wmówiono mu, że męskość polega na czymś zupełnie innym.

WYZWOLENIE OD MIŁOŚCI

Czym jest dla nich męskość? Odpowiedzialnością? Siłą? Umiejętnością ochrony rodziny i kobiety? Męskość to dla nich prymitywny macyzm wzięty z teledysku obwieszzonego złotem rapera ze złotymi zębami. Jeden ze studentów mówi do kamery, że męskość to umiejętność wyboru między „towarem”. Nie ma różnicy, czy klikają myszką w kolejne kategorie na stronie porno. Duże cycki, małe cycki. Duże tyłki, małe tyłki. Azjatki, czarne, rude, seks grupowy, anal i oral – dokładnie tak samo

poruszają się on-line, jak i „na żywo”. Bo kobiety są łatwe. Są dla nich proste. Wyzwolone seksualnie. Upodobnione do samców.

Czy potępiam studentów z Netflixowego dokumentu? Żal mi ich. To ofiary tej podłej cywilizacji. Rewolucja seksualna ’68, hasła sowieckich bolszewików mówiących, że „kto dwa razy śpi z tą samą kobietą, jest kontrrewolucjonistą”, zamieniły się w to coś. We wciśkaną przez globalizm kulturę seksu oderwanego od miłości. To ona buduje presję na młodych ludziach. Ona powoduje, że czystość, dziewictwo jest powodem do wstydu. Bohaterowie „Liberated: The New Sexual Revolution” w bardziej intymnych momentach filmu to przyznają. Co jednak z tego, skoro chwilę potem biorą butelkę, skręta i pędzą na plażę z jednym celem: „zaliczyć” jak najwięcej dziewczyn i facetów.

Może rzeczywiście już nic nie zostało? Może doszliśmy do ściany i trzeba już tylko czekać na Apokalipsę? Może pornograficzny nihilizm Larsa Von Triera z „Nimfomanki” to nie obrazoburstwo, ale przestroga dla zdychającej na Snapchacie, Instagramie i Facebooku cywilizacji? W „Liberated: The New Sexual Revolution” widzimy dobitnie, czym skończyło się seksualne wyzwolenie de Sade’a, hipisów i feministek. To wyzwolenie od miłości. Szacunku wobec drugiej osoby. To wyzwolenie od człowieczeństwa. To diabeł wypaczony, pokracznej seksualności z monologu Rocco. Pożera nas wszystkich.

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Wolna przestrzeń historyczna

Do Olsztyna sprowadziły mnie Dni Seweryna Pieniężnego jr., patrona dziennikarzy Warmii i Mazur, zamordowanego przez Niemców w KL Hohenbruch 25 lutego 1940 r. Odbyło się wiele patriotycznych uroczystości, dziennikarze otrzymali nagrody za najlepsze konkursowe prace, a w wolnych chwilach można było pogadać ze starymi znajomymi. Odżywa wtedy historia, także ta wojenna, której nie znałimy z autopsji, ale mamy o niej coraz więcej wiedzy, a wraz z nią wychodzą sprawy związane z naszą pamięcią historyczną, która wymaga godnego, uczciwego utrwalenia.

W olsztyńskiej katedrze św. Jakuba już od 15 lat marmurowa tablica wieńczy pamięć proboszcza parafii, księdza kanonika Jana Hanowskiego, za ocalenie olsztyńskich kościołów przed spalaniem przez Armię Czerwoną. Tekst w wersji niemieckiej pomija Armię Czerwoną – czyżby zatem zdarzył się cud? W rzeczywistości kanonik Jan Hanowski uzyskał od sowieckiego komendanta Olsztyna glejt zakazujący palenia kościołów za – o czym oczywiście nie mówią dokumenty – wskazanie miejsca ukrycia cysterny czystego spirytusu. Ocalały olsztyńskie kościoły, ale nie miasto spalone więcej niż w połowie, w lutym i marcu 1945 r. A warto wiedzieć, że tzw. wyzwolenie miasta, całkowicie opuszczonego przez mieszkańców, odbyło się w styczniu. Miejscowi historycy pamiętają o Aleksandrze Solżenicynie aresztowanym wtedy w Elblągu, późniejszym autorze „Archipelagu Gułag” i laureacie Nagrody Nobla, za list do przyjaciela, w którym opisał okrucieństwo sowieckich żołnierzy wobec miejscowej ludności.

Olsztyn pozbył się ostatnio sześciu patronów ulic. Zamiast ulicy Mariana Gotowca jest ks. Tadeusza Borkowskiego, za Piotra Diernowa jest św. Franciszek z Asyżu. Szeregowy Piotr Diernow zasłonił ponoć własną piersią gniazdo niemieckich karabinów maszynowych. Tak nam mówiono, uczniom podstawówki, gdy zśliśmy w to miejsce co roku z kwiatami. Swoją ulicę stracił Juliusz Malewski, pezetpeerowiec, ale jednak oddany regionowi. Nowa ulica będzie nosić imię Zbigniewa Herberta. Za Stefana Poznańskiego, działacza partyjnego i posła w latach 1976–1982, jest ulica Antoniego Jutrzenki-Trzebiatowskiego, zasłużonego biologa i senatora RP pierw-



*Pomnik „wdzięczności” w Olsztynie
musi zniknąć z centrum miasta.
To, że jest zabytkiem, o niczym
nie świadczy*

szej kadencji. I wreszcie nazwisko pisarza oraz poety niezwykle zasłużonego dla polskości na Warmii, cenionego przez dziennikarzy (honorowy członek SDP) Erwina Kruka, zmarłego niedawno w Olsztynie. Jego ulica zastąpiła ulicę Dąbrowszczaków, międzynarodowej brygady walczącej w Hiszpanii na rozkaz Sowietów.

Cieszą te zmiany, które – jak się okazuje – wcale nie są aż tak kłopotliwe dla mieszkańców. Pozostaje jednak problem „szubienic”. Odkąd pamiętam,

tak nazywano stojący w centrum miasta pomnik Xawerego Dunikowskiego, sławiący bohaterską Armię Czerwoną oraz wyzwolenie Warmii i Mazur. 22 stycznia, w rocznicę wejścia Sowietów do Olsztyna, między dwiema kolumnami pomnika pojawił się duży baner sowieckiego żołnierza, z twarzą przypominającą Putina, napastującego przerażoną kobietę, i napis, żeby nie było żadnych wątpliwości: „Pomnik wdzięczności, za zniewolenie”. Inicjatorzy akcji Wojciech Koziol i Władysław Kałudziński walczą w ten sposób o prawdę historyczną, a ta musi uwzględniać potworne bestialstwo, nawet ludobójstwo, popełnione na miejscowej ludności cywilnej i zniewolenie Polski przez nowego najeźdźcę.

Zachowały się relacje czerwonoarmistów, np. Lwa Kapieliowa, utrwalone w książce Catherine Merridale „Wojna Iwana. Armia Czerwona 1939–1945”. Obok pocztę w Olsztynie spotkał kobietę z obandażowaną głową, trzymającą dziewczynkę z blond warkoczami. Obie płakały, a nogi dziecka pokrywała krew. „Pobili nas, zgwałcili. Moja córka ma dopiero 13 lat. Dwóch jej to zrobiło, a wielu zgwałciło mnie”. Inny oficer, czerwonoarmista Leonid Riabiczew, zapisał, co widział niedaleko Gołdapi. „Kobiety, matki i ich córki leżą z lewej i prawej strony drogi, a przed każdą z nich hałaśliwa gromada mężczyzn ze spuszczoneymi spodniami”.

Pomnik „wdzięczności” w Olsztynie musi zniknąć z centrum miasta. To, że jest zabytkiem, o niczym nie świadczy. Jest dla niego miejsce gdzie indziej, np. na wielkim cmentarzu żołnierzy radzieckich w Olsztynie.

Przestrzeń historyczna naszych miast musi pozostać zgodna z duchem wolnego narodu. Sławimy bohaterów, ludzi zasłużonych, tylko godnych naśladowania. Odrzucamy fałsz, zakłamanie i wszelką obcą, narzuconą nam siłą w latach komunizmu, symbolikę.

Chiny – nowy rozdział



Wszystko to, co może mieć istotny wpływ na państwo, w którym mieszka jedna piąta ludzkości, będące największą po USA potęgą gospodarczą i wydające na armię mniej tylko od Ameryki, dotyczy całego globu. To oczywistość. Kiedy zmieniają się Chiny, zmienia się świat. A w Chinach zachodzą właśnie bardzo poważne zmiany. Po zatwierdzeniu przez Narodowy Kongres Ludowy zaproponowanych przez Komunistyczną Partię Chin poprawek do konstytucji (co stanie się jeszcze w marcu) Chiny przestaną być krajem autorytarnym, a zaczną być...? No właśnie, czym? Dyktaturą? A może lepiej powiedzieć cesarstwem?

Od końca lat 70., kiedy rozpoczęły się zainicjowane przez Deng Xiaopinga reformy, każda kolejna dekada potwierdza tezę, że „Chińczycy trzymają się mocno”. Fenomen niezwyklego wzrostu gospodarczego ostatnich dziesięcioleci zdumiewa i niepokoi. Zdumiewa, bo skok, który uczynił Chiny największym eksporterem świata, ukazał Zachodowi rywala, którego nie spodziewał się zobaczyć w Azji (zwłaszcza w zrujnowanym przez szaleństwa komunistycznej rewolucji chińskim kolosie). Niepokoi, bo zawrotny wzrost gospodarczy zakwestionował przekonanie o koniecznym związku dobrobytu, rozwoju i wolności – postawił pod znakiem zapytania wiarę w nierozdzielną wolność rynkowych i politycznych. Wiare, dodajmy, bardzo nam drogą, której prawdziwość zdawał się potwierdzać upadek niewydolnego gospodarczo sowieckiego imperium.

Tymczasem – jak dobrze wiadomo – pod rządami Komunistycznej Partii Chin powstał model, który dzięki wolnorynkowemu kapitalizmowi skutecznie pogodził z władzą partyjnej oligarchii. Startując z dużo niższego pułapu, Chiny prezentują dziś wszystko to, czego nie udało się osiągnąć pogrążonej w stagnacji i uzależnionej od eksportu surowców Rosji. Chiny nie muszą przeżyć muskułów, bo w przeciwieństwie do Putinowskiej Rosji mają nie tylko armię, lecz również przemysł, technolo-

gie, nowoczesną infrastrukturę, innowację, doskonałą kadrę i skarb w postaci ambitnego, spragnionego rozwoju społeczeństwa. Można dyskutować o podkolorowywaniu danych, ale trudno zakwestionować oczywiste fakty. Kraj, który eksperymenty komunistycznych doktrynerów doprowadziły do upadku (w czasie wielkiego głodu w początku lat 60. wg rozmaitych obliczeń zmarło od 10 do 43 mln ludzi), jest gospodarczą potęgą i światowym mocarstwem.

Po krwawych paroksyzmach maoizmu (szacuje się, że reżim Mao Zedonga odpowiada za 65 mln ofiar) stopniowe zmiany, jakie od końca lat 70. wprowadzał Deng Xiaoping, zdawały się potwierdzać, że liberalizacja musi być zjawiskiem integralnym – a wolność zasadniczym warunkiem rozwoju. Przejście od systemu Mao do – jak określają to życzliwi – socjalistycznej gospodarki rynkowej i łagodnego autorytaryzmu (z elementami rządów prawa) dawało nadzieje na przyszłą demokratyzację Państwa Środka. Nadzieje te w połączeniu z równoległymi do sukcesów gospodarczych zmianami cywilizacyjnymi kazały przynikać oczy na brak wolności politycznych, brutalne prześladowania opozycji, cenzurę czy deptanie wolności religijnych. Pikiety pod chińskimi ambasadami nie gromadziły tłumów. W oczach optymistów nawet ewidentne znamiona krzepnięcia modelu autorytarnego kapitalizmu, takie jak stłumienie studenckich zamieszek w 1986 r. czy brutalna rozprawa z protestami społecznymi w 1989 r., miały być tylko etapami na drodze do nieuchronnej liberalizacji.

Za jedną z najważniejszych zmian wprowadzonych przez Xiaopinga uchodzi kadencyjność stanowisk w partii i w administracji państwowej. Kraj pozostawał pod rządami partyjnego aparatu, ale władza została poddana jasnym ograniczeniom. Choć z perspektywy demokratycznych standardów oligarchiczny system rotacji władzy niewiele różni się od dyktatury, to przecież mamy tu do czynienia z zasadniczą zmianą. To różnica między oligarchią a absolutyzmem;

między ograniczonym autorytaryzmem a nieskrępowaną żądnymi regułami tyranią. Władza zostaje rozproszona i poddana czynnikowi wyższego rzędu – prawu. To niemało.

I ten właśnie element zostanie wyeliminowany. Wpisana w 1980 r. do konstytucji zasada dwu pięcioletnich kadencji prezydenta zostanie zniesiona. Kiedy propozycje Komitetu Centralnego wejdą w życie, 65-letni Xi Jinping, który został prezydentem w 2013 r., nie złoży urzędu ani za pięć, ani za 10 lat. Prezydent, szef partii i przywódca chińskich sił zbrojnych uzyska władzę dożywotnią.

Jak na łamach dziennika „Guardian” zauważa Will Hutton, zmiana ma konsekwencje, na które nie trzeba będzie długo czekać. I nie chodzi tylko o rozwianie marzeń o demokratycznych Chinach. Władza dożywotnia oznacza kres w postaci śmierci lub przewrotu, wcześniej zaś nieuchronne bunty i następujące po nich fale represji, to kurs w stronę dalszego ograniczania wolności i praw człowieka oraz wielce prawdopodobny dryf w stronę kultu jednostki. Informacja, że – zgodnie z inną zgłoszoną przez partię poprawką – idee Xi staną się wartością konstytucyjną, można uznać za pierwszy objaw nowego klimatu.

Zmiana oznacza też konieczność dostarczania paliwa, które pomoże legitymizować despotyczne rządy. Tymczasem może nim być wzrost gospodarczy, walka ze skorumpowaną biurokracją i nacjonalizm. Ale przecież wzrost nie jest wieczny. Co się stanie, kiedy zwolni lub zastopuje? Gdyby problem ograniczał się tylko do Chin, to i tak dotyczyłby co piątego człowieka. Ponieważ dotyczy światowego mocarstwa, dotyczy nas wszystkich.

Dariusz Karłowicz

*Wśród uczestników studenckiej rewolty
znaleźli się ludzie, którzy dokonywali
potem różnych wyborów ideowych
– wystarczy wspomnieć choćby Adama
Michnika i Antoniego Macierewicza.
Jednak środowiska liberalne próbują,
w dużej mierze skutecznie, zmonopolizować
pamięć o Marcu '68 i wykorzystać
ją do bieżącej gry politycznej*



Adam Michnik

Fot. Robert Ostrowski/East News

Jedynie słuszny Marzec

Rzeczywisty, znacznie szerszy wymiar Marca przesłania antysemityczne tło wydarzeń. Zorganizowana przez komunistyczne władze nagonka, antyżydowskie czystki i wreszcie pomarcowa emigracja z Polski sprawiły, że to właśnie ten aspekt kształtuje powszechny odbiór tamtej rewolty. I choć rzeczywistość ma on istotny charakter, nie jest jedynym kluczem do zrozumienia tego, co wydarzyło się w 1968 r. Bo fundamentalne podziały nie przebiegały wzdłuż linii Polacy kontra Żydzi, jak twierdziła ówczesna propaganda. Prawdziwy front oddzielał wówczas komunistyczną władzę od jej przeciwników, aparat represji od domagających się wolności, cenzurę od wolnego słowa. Antysemityczny charakter buntowi nadali komuniści, zinstrumentalizowali go ze względu na prowadzoną we własnym gronie frakcyjną bijatykę.

Jednak przypomnienie tych faktów oznaczałoby wywrócenie do góry nogami całej pomarcowej narracji, która – idąc śladem peerelowskiej propagandy – każe nam widzieć w wydarzeniach marcowych jedynie starcie Polaków z Żydami. Przyjęcie takiego założenia każe nam uwierzyć, że podczas frakcyjnych bijatek wewnątrz PZPR w 1968 r. społeczeństwo dało się uwieść nacjonalistycznej retoryce Moczara, który cynicznie pobudzał najdziksze instynkty większości Polaków, aby zbudować sobie polityczne zaplecze. Z tej absurdałnej tezy wynika zaś, że w 1968 r. istniał w Polsce system demokratyczny i Polacy „wspierając Moczara”, dokonali – kierując się swoim antysemityzmem – świadomego i autonomicznego wyboru między różnymi równoprawnymi opcjami.

To oczywiście bzdura, ale wiele „pomarcowych” – jak się same określają – środowisk w Polsce woli jej nie dostrzegać. Dlaczego? Wyjaśnił to przekonująco Piotr Skwieciński w swoim komentarzu na portalu wPolityce.pl. Zdaniem Skwiecińskiego problem leży w odrzuceniu przez te środowiska tezy o nieprawomocności komunistycznej władzy w Polsce. „To założenie bardzo niektórych ludzi uwiera. Jednych,

starszych, ze względu na rodzinne biografie. Nawet jeśli samemu zerwało się z komunizmem i walczyło przeciw niemu, to przykry jest świadomość, iż własni rodzice czy dziadkowie instalowali tu system nie tylko nieefektywny, dyktatorski i sprzeczny z prawami człowieka, lecz jeszcze w dodatku czynili to jako mniejszość, której władza narzucona była większości przez obcą przemoc. Innych, młodszych, ze względu na »dziedzictwo lewicy«. Ostatecznie PRL to jedyny okres, w którym radykalna lewica rządziła i próbowała realizować swoje ideały; ich dzisiejsi wyznawcy niestety nie bardzo mają się do czego innego odwołać”.

Nic dziwnego zatem, że jakakolwiek próba spojrzenia na Marzec jako na coś więcej niż erupcję antysemityzmu w Polsce, jest przyjmowana przez liberalne „środowiska pomarcowe” z niechęcią albo nawet z agresją, a próby uczciwej debaty na ten temat są blokowane. Dowodzić tego mogą choćby żenujące przepychanki wokół udziału Ireny Lasoty w uroczystościach rocznicowych na Uniwersytecie Warszawskim w zeszłym tygodniu. Irena Lasota, w marcu 1968 r. studentka filozofii na UW, przygotowała i odczytała rezolucję do władz PRL, której sygnatariusze domagali się przywrócenia na studia relegowanych Adama Michnika i Henryka Szlajfera. Została za to potem usunięta z uczelni i represjonowana.

Dziś okazało się, że Lasota nie nadaje się do debaty z Michnikiem ze względu na jej obecne poglądy, dalekie od tych, które głosi Michnik i jego wyznawcy. O takiej decyzji miał poinformować Lasotę organizator panelu Błażej Brzostek z Instytutu Historycznego UW. I choć Lasota została ostatecznie dopuszczona do innych uroczystości na UW, to w tej kluczowej, w której miała okazję zderzyć się z Michnikiem, nie mogła wziąć udziału.

Incydent ten symbolicznie pokazuje drogę, jaką przeszła część uczestników Marca. Niektórzy z nich najwyraźniej zapomnieli, o co walczyli w 1968 r. I nie myślę tu o Lasocie. 

Konrad Kołodziejski



FOT. EMBINOWA

Studenci, robotnicy, naród

**ANTONI MACIEREWICZ**

W marcu 1968 r. demonstracje studenckie, a właściwie demonstracje obywatelskie, zainicjowane przez studentów, w istocie objęły wszystkie ośrodki uniwersyteckie i całą polską społeczność akademicką

Ale byłoby fałszem, gdyby ograniczyć ówczesny masowy polski ruch sprzeciwu wobec komunizmu wyłącznie – czy nawet głównie – do uczelni. I nie tylko dlatego, że w ten sposób wyłączylibyśmy spośród uczestników bardzo licznych uczniów szkół średnich, robotników, młodzież prowincjonalną, której udział był masowy i często kluczowy. Przede wszystkim jednak dlatego, że wpadlibyśmy wówczas w pułapkę powtarzania fałszywej diagnozy, czym naprawdę był bunt marcowy w historii polskiej drogi do niepodległości.

STUDENCI, ROBOTNICY, DEMONSTRACJE

W milicyjnym opisie demonstracji w Warszawie z 11 marca 1968 r. podkreślono, że głównymi aktorami walki ulicznej była młodzież z podwarszawskich miejscowości: Zielonki, Marek,

Legionowa, Ursusa i Piastowa, która tłumnie przyjechała wesprzeć studentów. Jak relacjonowali świadkowie, tego dnia po południu przez kilka godzin młodzież skutecznie odpierała ataki MO oraz specjalnej brygady ZOMO, tzw. gołędzinowców, i opanowała całą przestrzeń Krakowskiego Przedmieścia od kościoła św. Krzyża aż po ul. Karową. Statystyki milicyjne potwierdzały, że większość zatrzymanych wówczas demonstrantów to młodzież z okolic Warszawy. Pamiętam młodego chłopaka, którego spotkałem w maju w więzieniu przy Rakowieckiej. Miał wówczas 16–17 lat i wymalował na murze czy też płocie ulicznym w Legionowie hasło „Katyń po”, „mścimy” już nie zdążył dopisać, bo został zatrzymany, a później sąd skazał go za ten czyn na trzy lata pozbawienia wolności. Co oznacza, że dostał wyrok nieporównanie wyższy niż większość studentów – organizatorów demonstracji marcowych.

Wciąż niewiele wiemy o rzeczywistej skali ówczesnych wydarzeń, a uwaga publicystów koncentruje się na spekulacjach kryminologicznych. Tymczasem informacja o warszawskim wiecu z 8 marca i studenckim apelu domagającym się demokracji i niepodległości Polski rozeszła się błyskawicznie po całym kraju. Przez następny miesiąc we wszystkich miastach, w których funkcjonowały uczelnie, odbyły się wiece i masowe demonstracje. Objęły one nie tylko 15 największych miast uniwersyteckich, lecz także mniejsze ośrodki, gdzie inicjatywę przejęły szkoły średnie lub ośrodki kształcenia zawodowego i podyplomowego.

W demonstracjach wszędzie uczestniczyła młodzież robotnicza, a szerokie grupy społeczne spontanicznie okazywały wsparcie i sympatię. Kosze żywności i owoców stawiane przez warszawiaków przy bramie uniwersyteckiej i w auli Politechniki Warszawskiej nie

były wyjątkiem, tak jak i słowa solidarności kierowane do młodych ludzi w studenckich czapkach przez współpasażerów w tramwajach i autobusach. Demonstracje i wiece w Warszawie skupiły kilkadziesiąt tysięcy uczestników, nie mniej liczna była demonstracja 15 marca na ulicach Gdańska, w której uczestniczyło ponad 20 tys. ludzi protestujących przeciwko reżimowi komunistycznemu. Wielotysięczne demonstracje przelały się przez ulice Krakowa i Wrocławia. Bunt marcowy skął przypominał tylko to, co stało się w wielkim Sierpniu 12 lat później.

Inicjatorami demonstracji byli studenci, ale wśród ich uczestników dominowała młodzież szkolna i robotnicy. I może byli to ci sami robotnicy, których w dzienniku telewizyjnym pokazywano, jak ponuro stoją na partyjnych wiecach w swoich zakładach pracy pod transparentami z hasłem „Syjoniści do Syjonu”, albo nawet „Syjoniści do Syjamu”...

Na masówkach organizowanych przez partię i związki zawodowe obowiązywała komunistyczna nowomowa, więc było o „syjonistach”, „towarzysz Wiesławie” i o „PZPR – przewodniczącym narodu”. Na wiecach i manifestacjach domagano się raczej uwolnienia uwięzionych kolegów, demokracji i wolności słowa a wreszcie – tego, co najważniejsze – niepodległości. Ponieważ wielu członków spontanicznie utworzonych wówczas komitetów studenckich wywodziło się ze środowisk dopiero poznających polską tradycję narodową – śpiewane pieśni, „Gaudeamus igitur” i „Mazurek Dąbrowskiego” mieszały się czasem z „Międzynarodówką”.

Tak więc choć protest marcowy zainicjowany został przez środowiska studenckie, bardzo szybko stał się ruchem masowym obejmującym setki tysięcy młodych ludzi w całej Polsce. Jeżeli istniał wówczas jakiś socjologiczny wyznacznik uczestnictwa w demonstracjach, to nie była to przynależność klasowa ani zawodowa, lecz raczej pokoleniowa.

Zresztą prawidłowość tę oddają także suche liczby: według informacji Generalnej Prokuratury z 6 czerwca 1968 r. w związku z wydarzeniami marcowymi podczas wieców i demonstracji oraz walk ulicznych zatrzymano po-

nad 2,7 tys. osób, w tym 359 studentów. Przed kolegami postawiono prawie 700 osób, w tym 143 studentów. Śledztwa wszczęto wobec 540 osób, w tym 207 studentów. Do sądu skierowano akty oskarżenia przeciwko 262 osobom, w tym przeciwko 98 studentom i pracownikom naukowym.

MITOLOGIA KLASOWA

Kim byli pozostali? Wiemy z pewnością, że nie byli studentami ani pracownikami uczelni. Nie wiemy jednak, ani z jakich środowisk pochodzili, ani co skłoniło ich do udziału w walkach i demonstracjach. Statystyki warszawskie przywołane powyżej pozwalają na przypuszczenie, że byli to młodzi robotnicy, rolnicy (lub raczej podmiejscy sadownicy), a może nawet uczniowie prowincjonalnych szkół średnich. Dane te pokazują zasadniczo inny obraz marcowej socjologii niż tzw. narracja, czyli publicystyka medialna, która koncentruje się na prezentacji izolowanego, studencko-inteligenckiego Marca '68 – zgodnie ze świadomością ówczesnych elit nowej, powojennej inteligencji. I takie było też źródło tez politycznych, które przez lata uporczywie wpajano opinii publicznej, także za pomocą twórczości literackiej i filmowej: robotnicy nie poparli studentów w marcu, a studenci nie poparli robotników w grudniu, dopiero rok 1976 przyniósł połączenie obu nurtów masowego protestu przeciwko panowaniu komunistów w Polsce i zainicjował skuteczne działanie owocuujące KOR, „Solidarnością” i ostatecznie odzyskaniem niepodległości.

Takie spojrzenie na przebieg wydarzeń było wynikiem wstrząsu wywołanego masowym charakterem represji wobec studentów oraz pewnej izolacji tego środowiska. Tysiące studentów zostało relegowanych z uczelni lub też musiało się starać o ponowne przyjęcie. Wielu spośród relegowanych otrzymało karty powołania do służby wojskowej. Rozwiązano najaktywniejsze wydziały uczelni, a następnie skrócono studia do czterech lat. Otwarto też drogę do nadzwyczajnego awansu kilkuset aktywistom PZPR zwanym odąd „docentami marcowymi”. Te represje oszołomiły

studentów i jeszcze bardziej zamknęły we własnym środowisku.

Studenci wprawdzie apelowali do robotników o wsparcie, ale bunt marcowy nie został poprzedzony żadną poważniejszą pracą informacyjno-polityczną w innych środowiskach. O ile w kręgach inteligenckich (w tym studenckich) od dłuższego czasu przed Marcem '68 działały różnorodne grupy dyskusyjne i formacyjne komentujące ówczesne wydarzenia polityczne, o tyle takiej pracy wśród robotników ani rolników nawet nie zainicjowano. A i działania studenckie miały raczej charakter dyskusyjny niż organizacyjny. Najbardziej widoczni tzw. komandosi, czyli młodzież rewizjonistyczna skupiona wokół Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego, nie wykraczali wyobraźnią poza dyskusje wewnątrz ruchu komunistycznego (socjalizm z „ludzką twarzą”, czyli Praska Wiosna, bunt studentów paryskich czy losy Rudiego Deutschke i losy Frakcji Czerwonej Armii). Koncepcje organizacyjne ograniczały się do przygotowania wiecu na Uniwersytecie Warszawskim, a akcja polityczna nie sięgała poza rozmowy z partyjnymi rewizjonistami, opozycyjnymi pisarzami i z Kołem Poselskim „Znak”. Krótko mówiąc, byli oni przedłużeniem resztek październikowego pluralizmu w aparacie komunistycznym i nie wyobrażali sobie możliwości samodzielnego działania.

Dlatego zapewne nie pomyśleli o koordynacji wydarzeń w skali całego kraju, stworzeniu trwałej organizacji i reprezentacji politycznej, a wreszcie o długofalowym działaniu wykraczającym poza doraźne manifestacje. Z kolei środowiska narodowe i niepodległościowe (np. Liga Narodowa, Ruch, Liga Niepodległościowa) nie dysponowały żadnymi narzędziami społeczno-politycznego działania i skupiały się na pracy formacyjnej, zdając się na przywództwo Kościoła i rzeczywistego Interrexu duchowego, jakim bezapelacyjnie od czasu Millennium Chrztu Polski był ksiądz prymas Stefan Wyszyński.

POLACY I ŻYDZI

Trzeba się też przyjrzeć często lansowanej tezie – jakoby bunt marcowy ujawnił antysemicki charakter Polaków.

Nic bardziej absurdałnego i bardziej niesprawiedliwego. Na skutek represji pomarcowych w latach 1968–1969 z Polski wyemigrowało prawie 15 tys. Żydów lub osób pochodzenia żydowskiego. Wśród nich było m.in. ok. 500 pracowników naukowych, ok. 1 tys. studentów, a także dziennikarze, filmowcy, pisarze i aktorzy. Byli wśród nich również dawni funkcjonariusze bezpieki i informacji wojskowej, także odpowiedzialni za zbrodnie stalinowskie (co najmniej 200 osób). Ale to nie społeczeństwo, nie studenci na wiecach ani uczestnicy demonstracji ludowych wyrzucali ich z Polski i domagali się usuwania z pracy, nawet wówczas gdy byli funkcjonariuszami komunistycznymi w przeszłości gorliwie zwalczającymi wszelkie objawy polskości. Czynili to ich dawni komunistyczni towarzysze, koledzy, sąsiedzi z miejsca zamieszkania i miejsca pracy. Konflikty w aparacie komunistycznym często sięgały po argumenty rasistowskie. Tak było w historii ruchu komunistycznego zawsze, wystarczy przypomnieć ostatnie lata przed śmiercią Stalina.

Nie miało to jednak nic wspólnego z zachowaniami społecznymi, które tak jak nie były tylko studencko-inteligenckie, tak samo nie akceptowały komunistycznych prób rozpętania antysemityzmu. Moje doświadczenia, ale też powszechnie dostępne fakty w postaci relacji uczestników strajków, demonstracji, czytelników ulotek są jednoznaczne – komunistyczny antysemityzm walnie przyczynił się do wzrostu sympatii i solidarności z atakowanymi Żydami i Polakami pochodzenia żydowskiego, którzy poczuli się zmuszeni do wyjazdu z Polski. „Nasi leją Arabów” tak komentowała wówczas polska ulica wyniki wojny arabsko-izraelskiej tzw. Sześćdziuowej. I nigdy wcześniej po 1945 r. nie można było namacalnie obserwować tak silnej solidarności polsko-żydowskiej.

Zawsze będę pamiętać dyskusje i wspólne działania z Julkiem B., który po pięciu latach od wyjazdu z Polski przysłał mi kartkę z Tel Awiwu z pozdrowieniami: „Leżę na plaży nad Morzem Śródziemnym, patrzę w błękitne niebo nad Izraelem i czuję, że jestem w domu”.

MIEJCIE ODWAGĘ BRONIĆ PRAWDY

Kościół katolicki jednoznacznie wsparł ruch marcowy, unikając równocześnie mieszania się do gier frakcyjnych. Jednak w sprawach narodowych i moralnych głos Prymasa był jednoznaczny, gdy mówił w „Słowie Biskupów” opublikowanym 21 marca 1968 r.: „Stosowanie środków przemocy fizycznej nie prowadzi do prawdziwego rozwiązania napięć pomiędzy ludźmi ani pomiędzy grupami społecznymi. Brutalne użycie siły uwłacza godności ludzkiej – i zamiast służyć utrzymaniu pokoju, rozjätza tylko bolesne rany”. Jeszcze dobitniej prymas Stefan Wyszyński dał wyraz swojemu stanowisku 11 kwietnia 1968 r. w homilii wygłoszonej w Archikatedrze Warszawskiej: „[...] wciąż jesteśmy świadkami na ziemi polskiej przeżyć i widowisk takich jak na Krakowskim Przedmieściu, tak bolesnych, że się wprost kurczy z bólu, gdy się na to wszystko patrzy. [...] Dzieją się wśród nas fakty, które nie chcą się nawet w głowie pomieścić! [...] Ja, biskup stolicy, boleśnie przeżywałam wszelkie »widowiska nienawiści« – bo inaczej nazwać tego nie mogę. Cóż mi pozostaje? Chyba wam przypomnieć, najmilsze dzieci, abyście wybroniли własne serca, myśli i uczucia przeciwko nienawiści i kłamstwu, mając odwagę bronić swego prawa do prawdy, miłości, szacunku wzajemnego i sprawiedliwości, do jedności Chrystusowej i pokoju Bożego – we własnej rodzinie, w narodzie i w państwie. Tylko to nas uratuje”.

DROGA DO NIEPODLEGŁOŚCI

Dopiero tak zarysowana perspektywa pozwala na zrozumienie rzeczywistego przebiegu procesu niepodległościowego w Polsce w 2. poł. XX w. Marzec '68 był istotnym momentem tego procesu, ale rzeczywistą siłę czerpał nie z walk frakcyjnych wewnątrz aparatu komunistycznego, nie z grupki rewizjonistów komunistycznych i ich manifestów o władzy nad robotniczych, lecz z wielkiej przeszłości historycznej i duchowej narodu, z doświadczeń walki Armii Krajowej i Żołnierzy Niezłomnych oraz z długofalowej strategii Prymasa Polski.

Najbardziej charakterystyczną cechą Marca '68 nie był program polityczny ani plan organizacyjny, nie były nim też czystki w aparacie PZPR, gry frakcyjne i po raz kolejny ujawniający się w ruchu komunistycznym antysemityzm.

Najbardziej istotną cechą była niezwykła masowość i jawny, publiczny charakter protestu oraz pokoleniowy kształt ówczesnego buntu. Setki tysięcy młodych ludzi skutecznie walczących na ulicach polskich miast z sowiecką milicją, dziesiątki tysięcy studentów tygodniami wiecujących na uczelniach razem z profesorami i asystentami i domagających się wolności słowa, demokracji i niepodległości to zjawisko niebywałe w państwie komunistycznym. I przez całe lata w Polsce niewyobrażalne. Ta nowa sytuacja była wynikiem długotrwałej i przemyślanej pracy Kościoła katolickiego pod przewodnictwem prymasa Wyszyńskiego opartej na koncepcji Kościoła ludowego i masowego zakorzenionego w duchowości i tradycji narodowej, patriotycznej. Taka była geneza Wielkiej Nowenny Tysiąclecia, która zaowocowała niezwykłym zwycięstwem duchowym, organizacyjnym i politycznym, jakim były obchody Tysiąclecia Chrztu Polski. Dwa lata przed marcowymi demonstracjami i wiecami przez Polskę przeszły miliony pielgrzymów zmierzających pod chorągwiami katolickimi i narodowymi do Częstochowy, Poznania, Gniezna, Krakowa, Wrocławia, Warszawy, przywołując w pieśniach i w modlitwach pamięć wielkich wydarzeń z dziejów polskiego narodu.

To wówczas Polacy po raz pierwszy od początków okupacji sowieckiej docenili swoją wartość, tożsamość i siłę, policzyli się i poznali, poczuli, że są gospodarzami we własnym kraju. Komuniści, oglądając te wydarzenia, drżeli z przerażenia i doznali poczucia cywilizacyjnej obcości. To doświadczenia obchodów 1966 r. uczyniły możliwymi demonstracje, wiece i zwycięstwa marcowe. Podczas milenijnych pielgrzymek, kazań i śpiewów „Boże, coś Polskę” wykułwał się program odbudowy narodu i państwa widoczny w marcu 1968 r., a zrealizowany przez organizatorów pomocy robotnikom w 1976 r. i twórców „Solidarności” w 1980 r. 

Artykuł ukazał się również w „wSieci Historii” nr 3/2018



JAROSLAV DANIŠKA

Ján Kuciak, 27-letni dziennikarz śledczy i wykładowca uniwersytecki, został zamordowany razem ze swą narzeczoną Martiną Kušnírovą w środę 21 lutego 2018 r. Ich ciała znaleziono dopiero w poniedziałek 26 lutego. Po tygodniu śledztwa nie ma podejrzanego numer 1, policja bada kilka różnych motywów zbrodni, szef policji Gašpar łączy zabójstwo reportera z jego pracą dziennikarską, premier Robert Fico nazywa morderstwo zamachem na demokrację.

SKORUMPOWANA WŁADZA

Problem Roberta Fico polega na tym, że wszystkie ważne ustalenia poczynione przez Kuciaka dotyczyły właśnie jego gabinetu. Ostatni tekst dziennikarza ukazywał związki między ludźmi z otoczenia premiera a osobami zbliżonymi do kalabryjskiej mafii 'Ndrangheta, w tym jego rzekomej kochanki Márii Troškovej, którą zatrudnił jako doradcę w Urzędzie Rady Ministrów, a która niegdyś była partnerką Antonina Vadali, człowieka powiązanego bezpośrednio, zdaniem włoskiej policji, właśnie z 'Ndranghetą. Kuciak opisał, w jaki sposób mafijne firmy obrabowywały państwo, a jednocześnie bratały się z rządzącą partią SMER. Vadala miał wielu przyjaciół w obozie władzy i otwarcie wspierał ich przed wyborami, np. burmistrza Koszyc Richarda Rašiego.

Reporter pisał również o Marianie Kočnerze, ekscentrycznym przedsiębiorcy, który zawsze korzystał z niestandardowych kontaktów z politykami SMER i był związany z oligarchiczną grupą Penta. Kuciak i jego koledzy twierdzili, że zarabiał na oszustwach. Dziennikarz wiele uwagi poświęcił też interesom słowackiego dorobkiewicza Norberta Bódora, spokrewnionego z rodziną szefa policji Gašpara, którego biznes jest ściśle złączony z małżonką



Śmierć reportera,

innego wysokiego funkcjonariusza policji. Trudno wyobrazić sobie, by Bódor osiągnął swoją dzisiejszą pozycję bez politycznej zgody kierownictwa partii.

Krótko mówiąc, jakkolwiek śliski temat Kuciak poruszał, natychmiast natykał się na kogoś ze SMER albo z otoczenia premiera, albo polityków lub nominatów rządzącej partii. Dlatego zabójstwo dziennikarza nie ma związku ze stanem demokracji na Słowacji, lecz ze stanem państwa, a dokładniej jego funkcjonowaniem pod rządami Fico. To premier ponosi polityczną odpowiedzialność.

Sam Fico zdecydowanie temu zaprzecza, podkreślając kryminalne motywy zbrodni i obiecując sprawne przeprowadzenie śledztwa w sprawie podwójnego morderstwa. Na każde wytknięcie słabych punktów jego podwładnych (kłamstwa policji, oszustwa ministra spraw wewnętrznych czy inne niepra-

widowości) reaguje atakami na swych politycznych oponentów, zwłaszcza na prezydenta Andreja Kisku.

SŁABY PREZYDENT

Polskiemu czytelnikowi należy się wyjaśnienie: Kiska mimo dobrego wizerunku, jaki ma w liberalnych mediach, jest prezydentem słabym. Nie potrafi reagować zdecydowanie ani adekwatnie do sytuacji. Nie może się oprzeć na żadnej partii politycznej, ponieważ nie jest członkiem żadnej z nich. Nie może też liczyć na podzieloną i skłóconą opozycję. W końcu jego pojmowanie polityki jest dość rozrywkowe. Przez pierwszy tydzień po morderstwie Kuciaka jeździł np. na nartach w Innsbrücku. W chwili gdy trzeba było mocnej przeciwwagi dla Fico, Kiski realnie zabrakło. Kiedyś sam miał problemy ze zwrotem podatku przed wyborami prezydenckimi; nie za-



*Słowacja ma rząd, który powinien upaść,
ale także opozycję, która nie jest gotowa rządzić.
Kraj czekają trudne czasy. Z premierem Robertem
Fico lub bez niego, bo wszystkie ważne ustalenia
poczynione przez zabitego dziennikarza dotyczyły
właśnie jego gabinetu*

kryzys państwa

reagował odpowiednio na informacje, które wyciekły w tej sprawie. Potrafi kilka razy w ciągu roku jeździć na wakacje, chętnie pokazuje się z ludźmi sukcesu, co miesiąc daruje komuś swoje wynagrodzenie, a z pałacu prezydenckiego od dawna dochodzą pogłoski, że nie chce więcej kandydować. Powód: nie lubi polityki.

Liberałowie uwielbiają go, ponieważ nikt poza nim w dzisiejszej polityce nie reprezentuje lewicowego liberalizmu, to jednak trochę za mało. Przed rokiem 1989 Kiska chciał być członkiem partii komunistycznej, ale nie był. Kiedy próbował robić interesy w Ameryce, kokietał przejściem na judaizm. Gdy kandydował na prezydenta, prezentował się jako katolik. Dziś jest zdeorientowanym zwolennikiem opcji atlantyckiej, który nagle stracił wzorzec w Ameryce Trumpa. Jest proeuropejskim liberałem, który nie ma jednak dość odwagi,

by otwarcie poprzeć Willkommenspolitik Angeli Merkel. A zwłaszcza jest zaś politykiem, który co prawda chce lepszej Słowacji, ale nie założył własnej partii i wysyła sygnały, iż odejdzie z polityki.

Po zabójstwie Kuciaka i jego narzeczonej być może się to zmieni. Prawdopodobnie Kiska zostałaby ponownie wybrany na prezydenta, ale kraj potrzebuje kogoś o wiele bardziej odpowiedzialnego niż on.

PRZEBIEGŁY PREMIER

Robert Fico jest w czymś do niego podobny, ale w prawdziwej polityce pozostaje jego przeciwieństwem. Fico (urodzony 1964) był komunistą przed rokiem 1989, ale nie dlatego, że wierzył w komunizm – on wierzył w siebie i swoją karierę. Później występował jako przedstawiciel „trzeciej drogi”, niekiedy jako

słowacki nacjonalista, a jego najlepszym posunięciem było stworzenie koalicji, w której połączyli byłych komunistów i praktykujących chrześcijan. Fico chętnie pokazywał się z nieżyjącym już kardynałem Korcem, legendą Kościoła katakumbowego, legitymizując się w ten sposób w środowisku katolickim. W jego partii pojawili się zdeklarowani chrześcijanie, a on sam wziął nawet udział w pielgrzymce do Nitry. Gdy chciał zostać prezydentem, doprowadził do znowelizowania konstytucji, wpisując do niej definicję małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny. Ostatnio odmówił ratyfikowania konwencji stambulskiej, która miała wprowadzić do prawodawstwa ideologię gender.

Robi to, choć wcale w to nie wierzy. Fico nie jest Orbánem – liberałem, który stał się narodowym konserwatystą. Jest gotów pójść na niewyobrażalne ustępstwa, byle tylko utrzymać się przy władzy. Nie ustępuje niepotrzebnie, gdy wyczuwa słabość przeciwnika, potrafi celnie zaatakować. W jego partii nie ma następcy, nikt nie może mu zagrozić. Fico zawsze słynął z tego, że umiał równoważyć i jednoczyć w swym ugrupowaniu różne środowiska i nurty światopoglądowe. Jego odejście oznaczałoby rozpad SMER jako szerokiej koalicji politycznej w ramach jednej partii.

Podstawowym oskarżeniem pod adresem premiera jest to, że uczynił z partii coś w rodzaju spółki akcyjnej, do której weszło kilku silnych udziałowców, zwłaszcza beneficjentów wielkich prywatyzacji z czasów Vladimira Mečiara. Fico nie był bierny, z biegiem czasu wymieniał skład oligarchów. Doszli nowi, ściśle z nim powiązani. Tak więc teksty Kuciaka ukazujące styk biznesu z polityką SMER uderzały w czule miejsce. Trzeba jednak przyznać, że Robert Fico pozostaje klonem Viktora Orbána, jeśli chodzi o umiejętność korzystania z zasobów państwa, funduszy unijnych oraz różnych dotacji dla podmiotów związanych z jego partią.

POLITYCY BIZNESMENI

Jeśli istnieje jakaś sfera, w której słowacka polityka różni się od polskiej (ale także od czeskiej i węgierskiej), to jest

nią poziom korupcji oraz wielki wpływ biznesmenów. Słowackim przedsiębiorcom wiedzie się za granicą. Słowak Andrej Babiš zajmuje drugie miejsce na liście najbogatszych ludzi w Republice Czeskiej, a także pozostaje tam najbardziej popularnym politykiem. Oligarchiczne grupy biznesowe, takie jak Penta, J&T czy Istrokapitál, odnoszą sukcesy zarówno w kraju, jak i w Czechach, próbując szczęścia także w Polsce.

Jest to szczególnym przekleństwem słowackiej polityki. Dwa ostatnie rządy prawicowe rozpadły się z winy ówczesnych premierów – Mikuláša Dzurindy w 2006 r. i Ivety Radičovej w 2011 r. Po tzw. aferze Gorila obóz prawicy został niemal całkowicie wymieniony i zaczął być kontrolowany przez biznesmenów. Każdy przewodniczący partii był przedsiębiorcą. Praktycznie wszyscy liczący się ludzie prawicy, którzy wchodzili do polityki po epoce Dzurindy, byli biznesmenami. Dotyczy to nie tylko liderów rozdrobnionych dziś partii opozycyjnych: Richarda Sulíka, Igora Matoviča, Borisa Kollára, Alojza Hliny czy Andreja Danku, lecz także prezydenta Andreja Kiskiego. Ci zaś, którzy zaczęli jako politycy, zamienili się w biznesmenów, np. przewodniczący partii węgierskiej Béla Bugár.

PRZEBUDZONE SPOŁECZEŃSTWO

Najważniejsze, co nastąpiło na Słowacji po zabójstwie Kuciaka, to otrzeźwienie. Wszystkie grzechy polityczne Roberta Fico stały się dla wszystkich oczywiste, podobnie jak niedostatki prezydenta Kiskiego i słabość opozycji. Dziennikarze w mediach kontrolowanych przez rząd, np. w telewizji publicznej, ale także w mediach należących np. do oligarchicznej grupy Penta, zachowują się dziś bardziej swobodnie, otwarcie zadają trudne pytania i formułują odważne opinie. Kościół, który od dawna utrzymuje neutralne stosunki z premierem i toleruje niektóre akcje lobbujące, znów mówi językiem moralności i krytykuje cynizm Fico. Aktorzy w teatrach czytają wspólne oświadcze-

nia, studenci angażują się w demonstracje, wiece odbywają się w dziesiątkach miast na Słowacji, a także za granicą, co do tej pory nie miało precedensu.

To otrzeźwienie idzie niekiedy wbrew racji państwa, np. gdy ambasador na Węgrzech Rastislav Káčer w ostrych słowach skrytykował konferencję prasową Roberta Fico. Była to reakcja na zarzut premiera, który oskarżył prezydenta Kiskiego, że jego pierwsze wystąpienie na temat zabójstwa Kuciaka (prawie tydzień po odnalezieniu ciała) zostało napisane za granicą. Jednocześnie Fico wyraził przypuszczenie, że w sprawę może być zamieszany słynny finansista George Soros, z którym Kiska spotkał we wrześniu ub.r. w Nowym Jorku.

Ján Kuciak opisał schemat, w jaki sposób mafijne firmy obrabowywały państwo, a jednocześnie bratały się z rządzącą partią SMER

Słowacja to jednak nie Węgry, gdzie nazwisko Sorosa jest szeroko znane i odgrywa znaczącą rolę. Na Słowacji jego organizacja pozostaje marginalna, a społeczne postulaty uważane są za ekstremistyczne. Wystąpienie Fico ma zatem inny cel: ponowną mobilizację partii przed krytykami i przygotowanie się do ewentualnych przedterminowych wyborów. Warto wspomnieć, że Fico sprawuje rządy razem z dwoma ugrupowaniami: Słowacką Partią Narodową, która nie jest już ani nacjonalistyczna, ani suwerenistyczna, oraz ze słowacko-węgierską partią Most (po węgiersku: Hid), czyli koalicją miejscowych proatlantyckich i proeuropejskich liberalów z umiarkowanymi, nienacjonalistycznymi Węgry. Przewodniczącym Mostu Bela Bugár jest największym krytykiem Orbána w Dolinie Karpackiej, a bratysławscy liberalowie z jego partii (np. minister sprawiedliwości Žitňanská czy przewodniczący parlamentarnej komi-

sji spraw zagranicznych Šebej) spośród wszystkich polityków na Słowacji w największym stopniu podzielają poglądy George'a Sorosa. Teraz nagle okazuje się, że zasiadają w rządzie, który atakuje Sorosa, co musi być dla nich upokorzeniem i zniewagą. Jeśli Robert Fico przemyślał swą strategię polityczną, to najprawdopodobniej przygotowuje się do wcześniejszych wyborów. W końcu zawsze był politykiem, który nie pozwalał, by inni podejmowali decyzje dotyczące jego samego.

BEZPŁODNA OPOZYCJA

Największy problem Słowacji leży jednak gdzie indziej. To bezradna i rozdrobniona opozycja. Jeden z jej liderów, Boris Kollár, był w latach 90. blisko słowackiej mafii. Igor Matovič to zręczny trybun i mistrz facebookowej polityki, ale jako polityk zupełnie niekompetentny, Richard Sulík, szef prawicowo-liberalnej i antyimigracyjnej partii SAS, robi seryjne błędy, a w swym ugrupowaniu trzyma byłego ministra obrony, który dopuszczał się w resorcie nadużyć. Na czele pozaparlamentarnej chadeckiej KDH, która w sondażach uzyskuje poparcie powyżej 5 proc., stoi Alojz Hlina, przedsiębiorca, który wcześniej wspierał Vladimira Mečiarę i jako 22-latek zaczął dzięki wsparciu władzy eksportować do Chin volkswageny. Scena opozycyjna znajduje się więc w fatalnym stanie, jest podzielona niezliczonymi konfliktami, a każdy z jej polityków może liczyć jedynie na poparcie swoich stronników w granicach ok. 10 proc., nie więcej.

Problem polega na tym, że Słowacja ma rząd, który powinien upaść, ale także opozycję, która nie jest gotowa rządzić. W tak krytycznym momencie nigdy jeszcze nie byliśmy. W roku 1918 i 1939, w 1948 i 1989, w okresie mečiarizmu w latach 90. – zawsze w trudnych czasach istniała w kraju solidna opozycja. Często nie posiadała większości, ale miała kompetentnych polityków. Teraz jest na odwrót. Słowację czekają zatem trudne czasy. Z Fico lub bez niego. To, co dzieje się pod Tatrami, to głęboki kryzys państwa.

Fot. Shutterstock



Putinizm schyłkowy?

Wybory w obecnej Rosji to plebiscyt. To pokaz, że władza budzi entuzjazm narodu, że naród i Kreml to jedno. Jeśli tak, to nadchodzące wybory nie będą dla rządzących sukcesem



PIOTR SKWIECIŃSKI

Wśród obserwatorów rosyjskiej rzeczywistości nie ma takiego, który uważałby, że w nadchodzących wyborach prezydenckich Władimir Putin nie zwycięży przysięgając. Nie ma w zasadzie nikogo, kto utrzymywałby, że nie ma on poparcia zdecydowanej większości Rosjan. A mimo to władze najpierw uniemożliwiły start w wyborach liderowi prawdziwej opozycji Aleksiejowi Nawalnemu. Potem zaś zaangażowały się w rozmaite działania mające na celu mobilizację elektoratu, nabicie frekwencji.

Po co ten wysiłek, skoro wszystko jest i tak przesądzone?

GEJ NA PIEREDIERZKIE

Mobilizacyjne działania zaś są do prawdy imponujące. I momentami wręcz – kreatywne...

Mam tu na myśli przede wszystkim wypuszczane do sieci anonimowe filmy typu słynnego „Geja na pieredierżkie”, czyli na czasowym przechowaniu.

Dzień przed wyborami 52-letni Rosjanin kładzie się spać i zapowiada, że – wbrew namowom żony – jutro nie pójdzie głosować, bo po co, wszystko i tak jest przesądzone i wybory nic nie zmienią. Ale budzi go dzwonek do drzwi. Za nimi – wojskowy patrol, w którego skład wchodzi Murzyn. Okazuje się, że przynieśli mu... powołanie do wojska. Bo nowy prezydent (jasne, że to już nie Putin) właśnie podniósł granicę wieku poborowego do 60 lat...

Bohater zamyka patrolowi drzwi przed nosem. I w tym momencie podchodzi do niego synek. „Tato, daj cztery miliony, potrzebne mi na ochronę w szkole”. Bohater wchodzi do kuchni, gdzie siedzi młody... ewidentny homoseksualista. Tzw. gej przegięty, czyli maksymalnie podkreślający cechy pewnego (tego zniewieściałego)

rodzaju preferencji seksualnej. Zjada banana w sposób, jego zdaniem, pełen erotyzmu. „A to kto?”. „A to gej na pieredierżkie [na czasowym przechowaniu]”. Nowe prawo każe heteroseksualnym rodzinom przyjąć pod swój dach geja, który stracił partnera i jest bezdomny. A jeśli w ciągu tygodnia nowego partnera nie znajdzie, to pan domu musi go gejowi zastąpić...”

Bohater budzi się z tego koszmarnego snu. W każdym razie tak mu się wydaje. Obok żony – w każdym razie tak mu się wydaje. Odwija koldrę, a zamiast żony – śpi z nim gej. Budzi się po raz drugi. Niepewnie i ze strachem odwija koldrę. Na szczęście tym razem wybudził się naprawdę. Obok naprawdę leży żona...

Oczywiście idzie na wybory. „Gej na pieredierżkie” adresowany jest do obywateli właśnie takich jak bohater filmiku. Z pokolenia starszego lub starszośrodkowego. Zawsze był wyborcą Putina, ale teraz oklapł w swoim entuzjazmie, nie chce mu się, nie ma motywacji. Więc trzeba mu tę motywację przywrócić.

Najlepiej strachem – przed rewolucją obyczajową (Rosjanie są kulturowo konserwatywni, wprawdzie niekonsekwentnie, bo to niemal światowa stolica aborcji, ale za to w tych sferach, gdzie są – gwałtownie; męski homoseksualizm jest tam, podobnie zresztą jak w całej strefie wschodniego prawosławia, pogardzany i nieledwie zniechęcony, a liberalna, prozachodnia opozycja zrobiła wiele, żeby skojarzyć się z postulatami gejowskich radykałów). I przed powrotem koszmarnego lat 90., okresu kiedy różne mafie wymuszały haracz pod pozorem „ochrony”, czasu dna kryzysu i gospodarczego, i państwowego, pamiętanego przez te generacje.

WSZYSTKO DLA WSZYSTKICH

Również wiele innych działań podjętych w ostatnich tygodniach przez Władimira Władimirowicza wydaje się obliczone na mobilizację tego elektoratu. Trzeba tu zwrócić uwagę na orędzie o stanie państwa, w którym prezydent w zasadzie obiecał wszystko, co mógł, wszystkim, którym mógł. Szybkie i radykalne zmniejszenie

biedy, wzrost emerytur, inwestycji, poprawę stanu dróg, gospodarka Rosji przestanie się opierać na eksporcie surowców i stanie potęgą w nowych technologiach...

Ale przede wszystkim było to przemówienie wojenne. Putin straszył świat (czyli Amerykę) nowym rodzajem broni. Będącym tak naprawdę wciąż w stadium różnie zaawansowanych prototypów, ale tego w telewizorze nie widać. A kilka dni później opinia publiczna poznała film o bezpieczeństwie, na którym prezydent, opowiadając o tym, jak to zaatakowana rakietami Rosja odpowie całą mocą swojego jądrowego arsenału, co oczywiście będzie oznaczało zagładę świata, konkluduje: „Ale po co nam taki świat, na którym nie będzie Rosji?”

Rosyjskiemu elektoratowi aplikowano zresztą więcej elementów wojennej czy parawojennej narracji. Można do niej zaliczyć również krótką gazową wojenkę z Ukrainą. Po niekorzystnym dla Gazpromu orzeczeniu sztokholmskiego sądu arbitrażowego rosyjski gigant – przecież nie bez aprobaty Kremla – ogłosił, że wyroku respektować nie będzie, i wbrew zawartym uprzednio umowom drastycznie zredukował ilość gazu przesyłanego przez Ukrainę. Zakładając, że albo Ukraina się załamie (odbywało się to akurat w czasie silnych mrozów) i Rosja odniesie nad nią zwycięstwo, co w momencie przedwyborczym byłoby ważne dla elektoratu, albo będzie się ratować, podkradając na własne potrzeby gaz tranzytowy przeznaczony dla odbiorców zachodnich – co dałoby się wykorzystać do skompromitowania Kijowa w oczach krajów Unii. Ukraina nie udało się jednak przetrwać i bez jednego, i bez drugiego, dzięki kilkudniowej redukcji własnych potrzeb i zakupowi gazu ze źródeł zagranicznych (m.in. od PGNiG). Moskwa poniosła dość spektakularną porażkę.

Można do tego dodać inne, niekonwencjonalne przedsięwzięcia, mające ewidentnie wymiar – niekoniecznie wyłączone, ale na pewno również – przedwyborczy. Na przykład bezprecedensową czystkę w Dagestanie, gdzie przysłana z Moskwy ekipa radykalnie wyczyściła miejscowe, skorumpowane

elity. Polityka i władza w muzułmańskich republikach Kaukazu ma wymiar w zasadzie bez reszty rodzinno-rodowy, dlatego korupcja, królująca w całej Rosji, jest tam fenomenem nawet na tym tle szczególnie intensywnym, integralnym – jest fundamentem systemu społecznego. Moskwa wie o tym od zawsze. Ale w okresie przedwyborczym uderzenie w korupcję, a zwłaszcza praktykowaną przez generalnie nie lubianych przez Rosjan wyznawców islamu, może być źródłem popularności.

BY NIE BYŁO ALTERNATYWY

Po co jednak w ogóle te wszystkie starania, skoro jest oczywiste, że Putin zwycięży, i to na skalę będącą dla zachodniego polityka tylko sennym marzeniem? I w dodatku bez dużych fałszerstw – Andriej Buzin, wiceszef Głosu, niezależnego rosyjskiego ruchu starającego się nadzorować wybory, stwierdził ostatnio, że na zdecydowanej większości terytorium Federacji Rosyjskiej nie obserwuje się przygotowań do masowego fałszowania wyborów.

Przed wszystkim dlatego, że idzie o efekt plebiscytu. O bardzo wyraźny komunikat, że Rosjanie nie tylko w większości są za Putinem, lecz że jest to ich decyzja strategiczna i niepodważalna. Żeby nikt ani w Rosji, ani na Zachodzie nie mógł mieć co do tego żadnych wątpliwości. Bo zwycięstwo na skalę mocno niższą niż we wszystkich poprzednich wyborach (a teraz wytyczono niezwykle ambitne cele – co najmniej 75 proc. głosów na Władimira Władimirowicza przy co najmniej 75-procentowej frekwencji) oznaczałoby, że przeciwnicy Kremla, ci wewnętrzni i ci zewnętrzni, poczuliby, że otwiera się przed nimi okienko możliwości.

A także o to (to są zresztą powiązane kwestie), aby w oczach Rosjan nie pojawiła się jakakolwiek pozasystemowa alternatywa. Dlatego przecież, z myślą o przyszłości – a nie dlatego, aby teraz obawiano się jego zwycięstwa; przecież w wyborach na mera najbardziej opozycyjnej Moskwy uzyskał tylko 28 proc. – uniemożliwiono start w wyborach je-

dynemu względnie popularnemu opozycjoniście, Aleksiejowi Nawalnemu. Aby nie zaczął być, dzięki kampanii wyborczej, postacią rozpoznawalną naprawdę szeroko. Aby, nawet obecnie skazany na wyborczą porażkę, nie zyskał płaszczyzny ani narzędzi do głoszenia swoich poglądów. Dlatego też listę kontrkandydatów Putina ukształtowano precyzyjnie tak, aby wszyscy pretendenci byli z różnych powodów nie do zaakceptowania przez masowego wyborcę, a niektórzy z nich (liberalna celebrytka Ksenia Sobczak) – budzili wręcz u tegoż wyborcy żywiołowy niepokój i niechęć.

FORMUŁA SIĘ ZUŻYŁA

Tylko że – i to jest fenomen ostatnich tygodni – wszystkie niestandardowe działania zdają się nie przynosić oczekiwanego skutku. Z badań rządowej(!)

Nawet ci młodzi Rosjanie, którzy są za władzą, czują, że putinowska formacja się zużyła i że przyszłość wymaga czegoś innego. Czego? Tego najczęściej nie wiedzą

sondażowni WCIOM wynika, że w największych miastach popularność obecnego prezydenta spadła aż o 12 proc., być może do poziomu 57 proc. Raz jeszcze – to w skali zachodniej bardzo dużo, ale w rosyjskiej, putinowskiej – to przede wszystkim bardzo daleko do założonych 75 proc. To nie powiew śmierci, ale przedsmak poprzedzającego śmierć letargu – już tak.

Nakłada się to na problem młodego pokolenia. I nie chodzi o dwie fale młodzieżowych antyreżimowych demonstracji, które przetoczyły się przez Rosję wiosną zeszłego roku. Raczej o inne zjawisko, długofalowo z punktu widzenia władz może nawet bardziej niepokojące.

Dobrze ilustruje je pewna publikacja „Los Angeles Timesa”. Ten amerykański dziennik przeprowadził duży projekt – jego dziennikarze odbyli rozmowy z wieloma przedstawicielami najmłodszego dorosłego (przedział wiekowy od lat 19 do 29) pokolenia Rosjan z całego kraju. Są to bardzo różni ludzie, mający różne polityczne poglądy. W tym i tacy, którzy deklarują, że ich zdaniem Putin jest najlepszym obecnie dla Rosji przywódcą.

Ale nawet wśród tych ostatnich nie widać przejawów entuzjazmu wobec prezydenta i tego, co sobą uosabia. Natomiast i wśród nich, i wśród wszystkich zastanawiająco powszechnie pojawia się nuta, którą można oddać mniej więcej tak: niezależnie od tego, czy Putin był dla Rosji dobrym, czy złym rozwiązaniem, wręcz nawet, jeśli i teraz jest on wyjściem najlepszym, to przyszłość wymaga rozwiązania innego. Jakiego?

Młodzi Rosjanie nie precyzują, pewnie w większości sami nie wiedzą. Ale czują, że potrzebują czegoś (i kogoś) nowego.

Innymi słowy – czują, że formuła putinowska zużyła się technicznie i moralnie.

A to odczucie młodych, najbardziej dotkniętych trwającym od 2008 r. kryzysem, nakłada się na szersze poczucie zastoju i braku perspektyw. I czasem – narastających zagrożeń różnego rodzaju. Poczucie dotyczące już nie tylko młodych i wcale nie tylko mieszkańców obu stolic. Poczucie, dodajmy, wyraźnie nieobce również rosyjskim rządzącym elitom. Rzeź, jaką w Syrii Amerykanie sprawili rosyjskim najemnikom z kompanii Wagnera (do dziś nie wiadomo, ilu ich wytłukły latające kanonierki i czy wśród poległych nie było również pewnej liczby żołnierzy regularnych sił zbrojnych Federacji Rosyjskiej), przemawia również, i może przede wszystkim, do nich.

Choć więc nadchodzące wybory zakończą się z pewnością bardzo oczywistym zwycięstwem Władimira Putina, zapoczątkują prawdopodobnie okres, który w przyszłości historycy określą mianem putinizmu schyłkowego. Przy czym, rzecz jasna, schyłek może trwać długo...



Matteo Salvini



Włoski rebus

„Jeden fotel dla dwóch” – tak zatytułował swój powyborczy komentarz wydawany w Bolonii tabloid „Il Resto del Carlino”. Włoskie wybory wyłoniły bowiem dwóch zwycięzców zamiast jednego



JAN ROKITA

Zaden ze zwycięzców w wyborach parlamentarnych we Włoszech nie uzyskał większości pozwalającej na utworzenie nowego rządu. To właśnie sprawia, że kryzys rządowy w Rzymie będzie zapewne przewlekły i zawily, a tamtejsze par-

tyjne spory dla wielu Europejczyków pozostaną trudne do pojęcia.

To bynajmniej nie przypadek, że po ogłoszeniu wyników dwa polskie portale informacyjne podały radykalnie sprzeczne informacje na ten temat. Portal Onet obwieścił „protesty i rozgoryczenie” w Italii z powodu wygranej lewicowego Ruchu Pięciu Gwiazd (M5S), podczas gdy w tym samym czasie portal Gazeta.pl informował o „wyraźnym zwycięstwie włoskiej centroprawicy”. Co prawda protestów i rozgoryczenia we Włoszech nie było widać, ale nie zmienia to faktu, że ocena wyniku wyborów zależy od punktu widzenia oce-

niającego. M5S – ruch stworzony dziewięć lat temu przez krzykliwego komika Beppe Grillo – faktycznie odniósł bowiem triumf wyborczy, zdobywając aż 1/3 wszystkich głosów (cztery lata temu tylko 1/4). Trudno się więc dziwić entuzjazmowi, jaki zapanował w szeregach Ruchu, który niestrudzenie prowadzi kampanię przeciw całemu „staremu establishmentowi politycznemu” i chce rozpędzić go na cztery wiatry, walcząc o zakaz piastowania mandatów przez kilka kadencji oraz radykalne cięcia pensji polityków i dochodów partii.

Aby dać wzór, parlamentarzyści M5S każdego miesiąca oddają 12 tys. euro ze



Silvio Berlusconi



Luigi Di Maio

swej 14-tysięcznej pensji, zachowując dla siebie tylko 2 tys., co symbolicznie ma wspierać sztabowy projekt „pensji obywatelskiej” dla każdego Włocha, właśnie w wysokości 2 tys. euro. W tym przyplwywie entuzjazmu 31-letni neapolitańczyk Luigi Di Maio, wybrany w internetowym głosowaniu zwolenników M5S na kandydata na premiera, ogłosił już nawet koniec dotychczasowej włoskiej państwowości i początek nowej ery – Trzeciej Republiki.

Ale młodzieńczy entuzjazm Di Maio mocno studzi drugi (czy też pierwszy – to kwestia punktu widzenia) zwycięzca wyborów – Matteo Salvini. 45-letni mediolańczyk jest liderem Ligi Północnej – partii, która powstała w 1989 r. jako ruch autonomiczny północnych bogatych regionów Włoch, przekonanych, że są okradane przez rzymską biurokrację oraz utracyszowską i niezaradną Sycylię, Kalabrię czy Kampanię. Ale odkąd Salvini pięć lat temu wygrał batalię o przywództwo Ligi, mimo oporów wewnętrznych i wielu przeciwników dokonał w niej w prawdziwego przewrotu ideologicznego. Całkowicie porzucił separatystyczną ideologię, usuwając także

z nazwy partii słówko „Północna”, i przekształcił Ligę w mocno prawicowe, solidarystyczne, ogólnonarodowe włoskie stronnictwo, walczące przede wszystkim o dwie sprawy: deportację 600 tys. murzyńskich i arabskich imigrantów oraz niski podatek liniowy, który ma dać oddech gnębionemu dotąd włoskiemu biznesowi.

Te dwie idee sprawiły, że Liga Salviniego, która przed wyborami weszła jako „młodszy brat” w sojusz ze starymi konserwatystami Silvia Berlusconi, rozbiła w rezultacie wyborów obóz dawnego premiera, zyskując nad nim teraz wyraźną przewagę. A dzięki temu połączona koalicyjna centroprawica Salviniego i Berlusconiego uzyskała aż 37 proc. głosów, czyli cztery punkty więcej niż M5S, co dało niemal 40-osobową różnicę mandatów w izbie poselskiej. Zatem również Salvini, będący sprawcą największej wyborczej niespodzianki, ogłosił swoje wyborcze zwycięstwo, oczekując, że to jemu głowa państwa powierzy misję tworzenia nowego rządu. Jakkolwiek było, Salvini ma po temu podwójny tytuł: współtworzona przezeń centroprawicowa koalicja ma

dziś najwięcej miejsc w parlamencie, a Liga jest najsilniejszą częścią tej koalicji. Obserwacja włoskich debat politycznych w pierwszym powyborczym tygodniu jasno pokazuje, że ani Di Maio, ani Salvini nie mają zamiaru zrezygnować z walki o (niestety tylko jeden) fotel szefa rządu.

W tej powyborczej rozgrywce, która (jak niemal zawsze we Włoszech) jest co najmniej tak samo ważna albo nawet ważniejsza od samych wyborów, jest jeszcze trzeci partner, tyle że całkowicie przegrany. Jest nim włoska lewica, skupiona głównie w Partii Demokratycznej (PD) byłego premiera Matteo Renzi. PD rządziła krajem od roku 2013, nie umiając rozwiązać dwóch głównych włoskich problemów: napływu imigrantów oraz kompromitującego niskiego wzrostu gospodarczego, pociągającego bezrobocie, dotkliwe zwłaszcza wśród młodych. Co prawda umowy z Libią ograniczyły na razie strumień imigrantów płynących przez Morze Śródziemne, a świetna koniunktura gospodarcza w całej Unii w końcu wyciągnęła kraj z wieloletniej recesji. Niemniej niechęć Włochów do wszechobecnych murzyńskich imigrantów

nieustannie rośnie, a nieudolnie rządzonej kraj ma szansę osiągnąć swój własny poziom PKB z roku 2007 (czyli sprzed kryzysu) w okolicach 2030 r. (wg prognozy szefa Banca d'Italia Ignazia Visco).

Sytuację lewicy pogarsza jeszcze słynna pyszałkowatość jej lidera Renzi'ego, który nawet po przegranych wyborach oznajmił, że jest dumny ze swoich osiągnięć, a zwycięskie M5S i Ligę wyzywał od „sił ciemności”, „kultury nienawiści i strachu” oraz „ekstremistycznego wiatru”. W Italii słówko „il renzianismo” oznacza narcyzm i bufonadę, połączoną na dodatek z brakiem rezultatów. Ale lider, który po klęsce zapowiedział co prawda swoją rezygnację, jednak obwarowaną tyłoma warunkami, że nikt we Włoszech nie wierzy, iż złoży ją naprawdę, ma w partii twardych przeciwników. Zaraz po Renzim, który ze wstrętem odrzucił myśl o jakiegokolwiek współpracy ze zwycięzcami, odezwał się jego konkurent – prezydent południowego regionu Apulii Michele Emiliano – który, ni mniej ni więcej, zażądał stworzenia lewicowej, „antyfaszystowskiej” koalicji z M5S. W przegranej PD zawrzało od intryg wewnętrznych, których przebieg namiętnie śledzą teraz włoskie media.

Bo też stawka tych intryg nie jest byle jaka. W PD panuje bowiem strach przed rządami Salvini'ego, który konsekwentnie łamie wszystkie tabu europejskiej lewicy. Podczas wielkiego wiecu wyborczego na mediolańskim Piazza Duomo swoje zobowiązania wobec wyborców wspierał przysięgą na konstytucję (którą trzymał w jednej ręce) i Ewangelię, którą trzymał w drugiej. Salvini pokazywał się także publicznie z różańcem w ręku, co nawiasem mówiąc, poirytowało obecnego arcybiskupa Mediolanu (tak, tak, to nie pomyłka w druku!). Liga jest nie tylko katolicka, lecz również sceptyczna wobec waluty euro, którą uważa za źródło włoskich kłopotów gospodarczych. I choć Salvini porzucił ideę referendum w tej materii, to jednak otwarcie mówi, iż rozsądny polityk musi się liczyć z możliwością porażki idei wspólnej waluty

europejskiej. Jeśli do tego dodać antyimigrancką retorykę, sprzeciw wobec małżeństw gejowskich, aborcji oraz in vitro, to nic dziwnego, że na lewicy Salvini nazywany jest po prostu... faszystą bądź w najlepszym razie, dla złagodzenia wydźwięku tego terminu, „postfaszystą”. I to mimo faktu, iż Liga (w przeciwieństwie do M5S) jest formacją o dużym doświadczeniu u władzy; od lat z niezłym skutkiem rządzi przecież w trzech najbogatszych i najbardziej rozwiniętych ekonomicznie regionach kraju: Lombardii, Veneto i Ligurii. Jednak perspektywa premierostwa Salvini'ego wywołuje strach wśród europejskich biurokratów, którym rysuje się czarna wizja zablokowania francuskiego planu reform strefy euro przez Rzym, czyli z najbardziej nieoczekiwanej dotąd strony.

W powyborczej rozgrywce, która jest tak samo ważna albo nawet ważniejsza od samych wyborów, jest jeszcze trzeci partner, tyle że przegrany. Jest nim włoska lewica

Zwłaszcza w Brukseli i Paryżu liczone dotąd, że „na plecach” Salvini'ego uda się odzyskać wpływy Berlusconiemu, a ten po wyborach pozbędzie się kłopotliwego partnera i utworzy rząd z Renzim i lewicą. Skala klęski Renzi'ego oraz nieoczekiwana kłapa Berlusconi'emu sprawiły, że ów plan (o którym otwarcie pisał np. poważny dziennik „Il Foglio”) spalił na panewce.

Teraz rezonerstwo Renzi'ego staje się przeszkodą w przeprowadzeniu awaryjnego planu B. Skoro do wyboru jest lewicowy i kontestacyjny M5S (akceptujący małżeństwa gejów i aborcję) oraz katolicko-patriotyczna Liga, to w większości europejskich stolic lepszym wyjściem wydaje się jednak ugrupowanie komika Grillo. Ona sama mówi o sobie, iż jest „postideologiczna”, tzn. w więk-

szości spraw państwa nie ma twardych poglądów, a ustawy chce uchylać po każdorazowym uzyskaniu stanowiska swoich zwolenników w internetowym referendum, czyli w takim samym trybie, w jakim wybrała własnego kandydata na premiera. Swoją drogą, taki system internetowej demokracji bezpośredniej byłby prawdziwie wielkim ustrojowym eksperymentem, gdyby partia będąc u władzy, naprawdę postanowiła go wcielić w życie.

Bunt lewicowego skrzydła PD przeciw Renziemu, jeśli okaże się skuteczny, może więc doprowadzić do powstania tej nieco egzotycznej koalicji, złożonej z antysystemowców z M5S i całości lub części starej włoskiej lewicy. Taka koalicja tłumaczyłaby się swoistym stanem wyższej konieczności, jakim miałyby być obrona Włoch i Europy przed „postfaszysmem” Salvini'ego. W jakiejś mierze tłumaczyłby ją także dotychczasowe przepływy elektoratu, zwłaszcza na południu Włoch, gdzie niegdysiejsi lewicowi wyborcy PD masowo głosowali tym razem na M5S. W efekcie powyborcza mapa kraju nasuwa porównania ze swoistym odrodzeniem dawnego Królestwa Obojga Sycylii, gdyż obszary obecnej dominacji M5S zdumiewająco pokrywają się z terytorium XIX-wiecznej neapolitańskiej monarchii Burbonów. Jednak dla zbudowania tej koalicji starej i nowej

lewicy trzeba by było nie tylko odsunąć od wpływów w PD szefa partii Renzi'ego (wraz z grupą jego zaufanych współpracowników, zwanych we Włoszech „i renziani”, którzy zarówno Ligę, jak i M5S uważają na równi za „siły ciemności”), lecz jeszcze zaakceptować młodego Luigi'ego Di Maio jako szefa rządu i zapewne pogodzić się z licznymi jego żądaniami, zwłaszcza gdy chodzi o cięcia przywilejów i dochodów polityków oraz ograniczenie liczby ich kadencji na urządach. Coś takiego byłoby dopiero prawdziwą rewolucją włoskiej polityki, na którą jednak tamtejsza zasiedziała, wygodna i zasobna klasa polityczna chyba nie jest gotowa. Dlatego, prawdę mówiąc, nikt dzisiaj nie wie, kto, kiedy ani jak potrafiłby rozwikłać powyborczy włoski rebus.

Cyfrowy buntownik rośnie szybciej niż rynek

W 2017 r. indeks WIG Banki, grupujący instytucje finansowe notowane na warszawskiej giełdzie, wzrósł o 35 proc. Alior Bank okazał się lepszy, cena jego akcji zwiększyła się o 47 proc. Kapitalizacja banku po raz pierwszy w historii przekroczyła 10 mld zł. Powodem szybkich wzrostów są dobre wyniki Alior Banku oraz aktywne wdrażanie strategii „Cyfrowego buntownika”

Otym, jak szybko rozwijał się w 2017 r. Alior Bank, świadczy fakt, że awansował na ósme miejsce (z dziewiątego) pod względem wielkości aktywów na rynku bankowym w Polsce. To spore osiągnięcie dla banku, który jest jednym z najmłodszych na polskim rynku.

– Rok 2017 pokazał, że Alior Bank jest w stanie utrzymywać bardzo wysokie tempo wzrostu organicznego, a jednocześnie pozostać w czołówce rynku bankowego w Polsce pod względem rentowności i efektywności kosztowej – powiedział Michał Chyczewski, wiceprezes Alior Banku pełniący funkcję prezesa.

Alior świetnie sobie radził na rynku kredytów i depozytów. Wolumen udzielonych przez Alior Bank kredytów na koniec 2017 r. wyniósł 51,3 mld zł, zwiększając się o prawie 11 proc. w stosunku do poprzedniego roku. Przyrost wolumenu kredytów brutto osiągnął poziom 6,9 mld zł. To znacznie więcej niż bank założył w swojej strategii. Z kolei saldo środków pozyskanych z depozytów klientów wyniosło 57,6 mld zł (to o ponad 12 proc. więcej niż rok wcześniej). Tak dobry wynik został osiągnięty m.in. dzięki wprowadzeniu z sukcesem na rynek nowego Konta Lokacyjnego.

To niejeden nowy produkt, jaki w ub.r. pojawił się w ofercie Alior Banku. Innym przykładem może być rachunek oszczędnościowo-rozliczeniowy „Konto Jakże Osobiste”, który cieszy się sporą popularnością. Dużym sukcesem jest też zwiększenie sprzedaży w segmencie detalicznym poprzez kanały cyfrowe.

W segmencie klienta biznesowego bank skupiał się na mikro, małych

i średnich przedsiębiorstwach. Zbudowanie przewagi w tym obszarze rynku było możliwe dzięki oparciu na wysokim poziomie automatyzacji procesów oraz wykorzystaniu kanałów cyfrowych. Jednocześnie segment ten oferuje atrakcyjny poziom rentowności przy relatywnie niewielkim obciążeniu kapitałowym. W 2017 r. mikro i małe firmy odpowiadały za 26 proc. przychodów banku.

Alior Bank chce jeszcze zwiększyć ten udział, czemu ma służyć m.in. przyspieszenie sprzedaży pożyczek dla małych i najmniejszych podmiotów gospodarczych. To, co było już widoczne w roku 2017 – kiedy udział leasingu wzrósł do 3 proc. z 1 proc. w całości finansowania udzielanego przez bank, a kredyty dla mikrofirm wzrosły do 9 proc. z 8 proc. – ma być kontynuowane również w kolejnych latach. W 2020 r. leasing ma stanowić 8 proc. finansowania udzielanego przez bank, pożyczki dla mikrofirm zaś mają wynieść 13 proc.

Ten wzrost przekłada się na bardzo dobre wyniki finansowe. Marża odsetkowa netto wyniosła 4,6 proc. i pozostaje najwyższa na rynku bankowym w Polsce. Istotnemu polepszeniu uległa też pozycja płynnościowa – wskaźnik LCR wzrósł do poziomu 124 proc.

Całkowite przychody z działalności operacyjnej wyniosły na koniec 2017 r. ponad 3,7 mld zł, co oznacza 38-procentowy wzrost. W związku ze stale rosnącym wolumenem udzielanych kredytów i pożyczek wynik odsetkowy urósł do poziomu ponad 2,8 mld zł, tym samym zwiększając się o prawie 46 proc. w stosunku do poprzedniego roku. Również wynik z tytułu opłat i prowizji



zji uległ znacznemu wzrostowi, wynosząc 453 mln zł, prawie 37 proc. więcej niż w roku 2016. Wynik z działalności handlowej i pozostałej osiągnął z kolei poziom 418 mln zł.

Duże wrażenie robi także zysk netto, jaki osiągnął Alior w ub.r. To kwota 515 mln zł, z czego większość, bo aż 333 mln zł, bank zarobił w drugiej połowie roku.

Kolejne lata powinny być jeszcze lepsze. Bank realizuje swoją strategię – o nazwie „Cyfrowy buntownik” – która zakłada duże inwestycje w innowacje technologiczne. Alior Bank do 2020 r. zamierza corocznie inwestować w rozwój IT i innowacje ok. 100 mln zł, w tym 10 mln zł rocznie w przedsięwzięcia z sektora fintech. Bank wdraża nowy model zarządzania innowacjami, oparty na współistnieniu i wzajemnym wsparciu wewnętrznego oraz zewnętrznego ekosystemu.

– Będziemy jednym z najbardziej zaawansowanych technologicznie banków w Europie i zdecydowanie najnowocześniejszym w Polsce – powiedział Michał Chyczewski.

UE rozpadnie się jak Imperium Rzymskie

We Włoszech odbyły się kolejne wybory, ludzie poszli do urn po raz 64., jako że Matteo Renzi był 64. premierem Italii od zakończenia II wojny światowej. Po dwóch latach zastąpił go Paolo Geniloni, jego partyjny towarzysz z lewicowej Partii Demokratycznej, która okazała się niezdolna do wyprowadzenia kraju z głębokiego kryzysu finansowego i imigracyjnego, w jaki lewica wtrąciła Italię w ostatnich latach. Do głosu znów doszła centroprawica z 81-letnim przywódcą partii Forza Italia, postacią barwną i mocno niepoprawną politycznie, Silvio Berlusconi. To polityk wytrawny i doświadczony, trzykrotnie pełnił funkcję premiera i choć nie zamierza się ubiegać o to stanowisko po raz czwarty – z powodu podszerego wieku – skutecznie zaważyło zwycięstwo bloku eurosceptycznego, na którego czele stanął w zamiarze utworzenia rządu centroprawicy. Wygrał wybory, ale musi szukać koalicjanta. Na horyzoncie jest Ruch Pięciu Gwiazd, który uzyskał aż 35 proc. głosów. Partia Demokratyczna sromotnie przegrała i z 20 proc. głosów nie ma najmniejszych szans na kontynuowanie rządów

Największe zamieszanie i popłoch w Brukseli wywołał znakomity wynik eurosceptycznego i antyimigracyjnego Ruchu Pięciu Gwiazd, założonego w 2009 r. przez popularnego komika Beppe Grillo i z tego powodu wyśmiewanego we Włoszech i w całej Europie. Od chwili powstania tej partii do kolejnego kryzysu politycznego w słonecznej Italii minęło osiem lat i do głosu doszło pokolenie, które na europejskiej walucie i europejskiej wspólnej polityce finansowej wyszło jak Zabłocki na mydle. Podczas gdy ubolewaliśmy nad falą emigracji zarobkowej z naszego kraju na Zachód, nie zauważyliśmy, że na zmywak wyjechały miliony Włochów, głównie do bogatych Niemiec i krajów Beneluksu, ale też do Skandynawii, w poszukiwaniu zatrudnienia, którego nie było i nadal nie ma we Włoszech. W roku 2017 bez pracy pozostawało tam 35–40 proc. ludzi młodych, utrzymywanych przez rodziców i dziadków, wyśmiewanych przez „gospodarnych” Niemców za lenistwo i życie na koszt mamy, bo mama we Włoszech jest najważniejsza i rządzi rodziną. Proszę bardzo, można i tak. Można też pogardzać obywatelami tego kraju za ich rozrzutność, lenistwo i życie ponad stan. Można, tylko trzeba by się zastanowić, od kiedy to we Włoszech zaczęły się kłopoty z budżetem i kolosalnym zadłużeniem banków. A to się uruchomiło od wprowadzenia wspólnej unijnej waluty euro w roku 2002. Konkretnie od uzależnienia finansów i budżetu



Największe zamieszanie i popłoch w Brukseli wywołał znakomity wynik eurosceptycznego i antyimigracyjnego Ruchu Pięciu Gwiazd

państw od brukselskiej centrali, to znaczy od najbogatszych państw UE. Czyli od Niemiec, bo tylko RFN może się pochwalić nadwyżką budżetową w wysokości 15 mld euro, co wystarczy na utrzymanie ponad miliona imigrantów bez sięgania do rezerw.

Takie są pożytki z wprowadzenia wspólnej waluty europejskiej, tak forsowanej przez kanclerza Kohla. Teraz, po 15 latach od jej wprowadzenia, Niemcy trzymają w kieszeni całe popołudnie UE, z Grecją i Włochami na czele.

Rząd w Rzymie musi ratować banki, które są w stanie upadku z powodu niespłaconych kredytów na sumę blisko 400 mld euro. A jak wiadomo, banki żyją z kredytów.

Partie eurosceptyczne, takie jak Forza Italia czy Ruch Pięciu Gwiazd, chciałyby przywrócić lira, co najprawdopodobniej nastąpi wcześniej czy później. Domagają się wydalenia 600 tys. nielegalnych emigrantów. Unia Europejska straciła na swojej atrakcyjności do tego stopnia, że coraz głośniejsze jest żądanie obywateli wspólnoty, która narzuca krajom członkowskim właściwie wszystko z polityką wewnętrzną włącznie, by przestała się mieszać w ich sprawy. Ten dyktat zmierza nie tylko do ograniczenia suwerenności krajów członkowskich, lecz nawet do odebrania parlamentom narodowym prawa do decydowania o reformach, czego przykładem jest awantura o reformę systemu praworządności w Polsce.

Prasa włoska zauważa, że powyborcze Włochy zbliżyły się do Polski i Węgier. I jest w tym twierdzeniu dużo prawdy, ale nie tylko w tych krajach wzrasta eurosceptycyzm. Premier Holandii Mark Rutte

przed dwoma laty ostrzegł Brukselę: „Z powodu kryzysu imigracyjnego UE może się rozpaść jak Imperium Rzymskie, bo nie potrafiono monitorować granic”.

W tym roku odbędą się wybory parlamentarne w Szwecji, przeżywającej największy w tej części Europy kryzys imigracyjny. Rośnie w siłę opozycyjna, antyimigracyjna i eurosceptyczna partia Szwedzcy Demokraci, która zagraża rządzącej od 2014 r. skrajnie lewicowej Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej. To jej polityce naród szwedzki zawdzięcza rosnącą przemoc muzułmanów przy skrajnej tolerancji ze strony władz. Wszystko wskazuje na rychły koniec UE, której centrala odnosi się z pogardą do oczekiwań zwykłych obywateli, zaczynających mieć tego dość. Chyba że dokona koniecznych, prospołecznych reform, ale na to się jakoś nie zanosi.

Warto być Polakiem

Niełatwo być Polakiem, co pokazała historia naszego narodu i co pokazuje współczesność. Byliśmy przez wieki nieznośnym sąsiadem dwóch imperiów zła, niemieckiego i rosyjskiego. Oba te imperia robiły wszystko, żeby nas zetrzeć z mapy i z powierzchni ziemi. A jednocześnie byliśmy przeszkodą w zawładnięciu przez te państwa całą Europą, pozbawieniu jej swoich korzeni i przede wszystkim chrześcijaństwa, które choć istniało w obu tych krajach, było na usługach carów i cesarzy, a gdy Kościoły te stawały w obronie ludu, były spychane do podziemia lub przekształcane w przychylną władzy politycznej wspólnoty. A nawet poprawne politycznie, co obserwujemy w Niemczech.

A Polska, rozszarpana przez sąsiadów, upokarzana i wyzyskiwana niewolniczą pracą, pogardzana i ograbiana, była przez 200 lat wyrzutem sumienia Europy, strażniczką wartości chrześcijańskich, nieugiętą ostoją człowieczeństwa. Podczas gdy rósł dobrobyt europejskiego Zachodu, pławiącego się w oświeceniowym samozadowoleniu, polska nacja walczyła o zachowanie swojej tożsamości, czemu sprzyjały wiara i Kościół katolicki.

Usytuowany w środku Europy naród zachował, mimo pogardy i sponiewierania ze strony najeźdźców, swoją niezależność. Od czerwonego Wschodu i teutońskiego Zachodu. Ta niezależność i walka o suwerenność wykształciły w nas dumę i poczucie odrębności, tak znienawidzonej przez unijny establishment.

I oto nadszedł, z woli suwerena, czas niekwestionowanych przez świat sukcesów, czas rozwoju gospodarczego i społecznego, czas dobrej zmiany, wzrostu szacunku dla Polski za granicą, liczenia się ze zdaniem Warszawy, co pokazuje zmiana stosunku Brukseli do polityki polskiego rządu. I nie zakłóci tego ani nagonka mediów lewackich na nas za rzekomy antysemityzm, ani antypolska awantura wywołana przez zwaśnionych polityków w Izraelu, ani tym bardziej żalosne, sprzedajne zachowania totalnej opozycji.

Polacy to widzą, stoją po stronie władzy sprawowanej przez Prawo i Sprawiedliwość i nie dają się zwariować, bo czują się bezpieczni i zadbani przez państwo. Coraz bardziej przekonani, że warto być Polakiem.

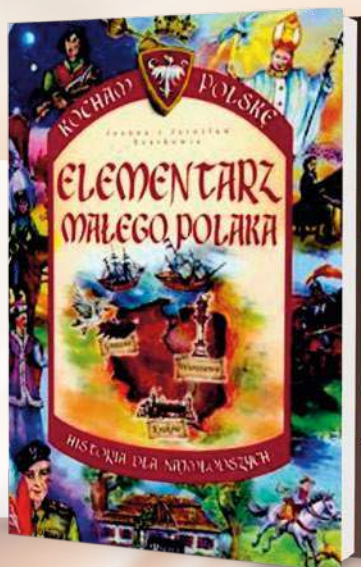
Krystyna Grzybowska

polecamy
WSKLEPIKU.PL

ELEMENTARZ MAŁEGO POLAKA. KOCHAM POLSKĘ

Joanna Szarek, Jarosław Szarek

„Kto ty jesteś? Polak mały...”. Ten wiersz Władysława Bełzy zna już od stu lat każde polskie dziecko. Książki serii „Kocham Polskę” to propozycja dla rodziców, którzy swoim pociechom chcą przekazać wiedzę o Polsce, jej historii, tradycji, bohaterach, ważnych wydarzeniach i miejscach, by zaszczerpić w nich załóżki patriotyzmu i miłości do swojego kraju.



DIETA PRZECIWZAPALNA/ KASZOTERAPIA

Cherie Calbom, Anna Kowalczyk,
Tomasz Antoniszyn

Od dawna wiadomo, że życie w nieustannym pośpiechu sprawia, że nie zwracamy uwagi na to, co jemy, czego efektem są dodatkowe kilogramy na naszej wadze. Jednak mało kto wie, że tak naprawdę cichym zabójcą naszego zdrowia są przewlekłe stany zapalne organizmu, wywołujące objawy, takie jak: ospałość, migreny, bóle mięśni, ciągłe zmęczenie czy depresję. Autorka – doświadczona dietetyczka – radzi, jak ustrzec się przed nimi przez zdrowy tryb życia oraz specjalną dietę antyzapalną. W bogato ilustrowanym poradniku znajdziesz wskazówki, jakie produkty spożywać, a jakich unikać.



Zamówienia można również
składać telefonicznie pod numerem:
22 836 54 45

Czy świat zwariował?

Żyjemy w coraz bardziej absurdalnym otoczeniu gospodarczym i finansowym, załamały się, a nawet zbankrutowały dotychczasowe liczne teorie ekonomiczne i reguły finansowe. Zarówno współczesny kapitalizm, jak i jego elity potrzebują radykalnego remontu, zasadniczej zmiany



JANUSZ SZEWCZAK

Hasło „chciwość jest dobra” powinno odejść w niebyt, bo właśnie ta chciwość ponad wszelką miarę zabija dziś gospodarkę i finanse. Społeczeństwa i całe narody, coraz bardziej ubankowane, scyfryzowane, zdigitalizowane, stają się jednocześnie coraz bardziej zdeorientowane, zadłużone ponad miarę i możliwości spłaty, zniewolone przez współczesnych „właścicieli świata”. Zamiast coraz mądrzej i sprawliwiej dzielić owoce wzrostu gospodarczego, doprowadzono do tego, że długi i różnicowanie majątkowe są dziś znacznie większe niż w dawnych wiekach. Różnego rodzaju patologie finansowe, pogoń za zyskiem za wszelką cenę przynoszą coraz bardziej opłakane skutki, co w konsekwencji grozi wybuchem społecznym i kompromitacją demokracji, zwłaszcza liberalnej.

Dziś to my, klienci, musimy dopłacić bankowi za własne pieniądze trzymane na kontach, a nie odwrotnie; 70 proc.

transakcji na rynkach giełdowych wykonują komputery i algorytmy, często za pomocą mobilnych aplikacji czy działań tzw. chmury; prawdziwe kokosy zbija się nie na dobrym inwestowaniu czy oszczędzaniu, ale na fingowanych bankructwach, świadomie wywoływanych kryzysach czy podejrzanych fuzjach.

Coraz bardziej rozpycha się sztuczna inteligencja i tzw. fintechy, czyli supernowoczesne technologie mające uszczknąć tortu bankowym gigantom. Skala „uberyzacji” światowej gospodarki i finansów, czyli odhumanizowania procesów gospodarczych i finansowych, staje się wręcz niebezpieczna. Robotyka, techniki 3D, technologia 5G itp. mają wkrótce całkowicie zastąpić bankierów, maklerów, doradców finansowych i podatkowych czy też traderów na rynkach surowcowych. W Chinach można już w tamtejszych odmianach Ubera czy KFC płacić skanem twarzy. ONZ skanuje źrenice oka uchodźców na Bliskim Wschodzie, by ci mogli zrobić zakupy żywności w pobliskim sklepie. Coraz powszechniej czipujemy ludzi, w tym zwłaszcza pracowników niektórych znanych korporacji, powracając do historii wypalania niewolniczego piętna.

Szwecja wkrótce ma się stać pierwszym na świecie państwem, w którym w ogóle nie będzie gotówki, no chyba że coraz liczniejsi i bardziej agresywni mu-

zułmańscy emigranci zaprowadzą tam wcześniej swoje porządki. Wirtualna waluta 1 bitcoin jednego tygodnia kosztuje 20 tys. dol., by drugiego już tylko 8 tys. dol., lepiej więc wybić sobie z głowy, że skutecznie zastąpi ona złoto. Dziś na świecie 1 proc. populacji posiada ponad 50 proc. całego światowego majątku. Mamy już całkiem spore i stale rosnące grono multimiliarderów. Zachowania konsumpcyjne i gusty klientów traktowane są jako aspiracje życiowe i kształtowane głównie poprzez zmasowane ataki medialne i działania podprogowe skoncentrowane na kolejnych wyprzedażach w ramach „black Friday”, „free Tuesday” czy jakiejś innej nocy zakupów. Zasada „kupujesz, więc jesteś” zmieniła już homo sapiens w homo economicus, a zapowiada się, że wkrótce będzie tylko gorzej i ludzkość zostanie sprowadzona do kategorii targetu.

Światowe finanse trawi potężny nowotwór, rośnie fala bankructw i zadłużenia wszystkich i wszystkiego. Dzisiejsze długi na świecie to już około 217 bln dol., sam Amerykański Bank Centralny (FED) ma sumę bilansową większą o 500 proc. niż w 2008 r., czyli na początku kryzysu. W ramach podatkowych spokojnie sobie leży nieopodatkowane ponad 30 bln dol., kwitną spekulacyjne bańki na obligacjach rządowych, wielkich korporacji i banków inwestycyj-

nych, a banki centralne świata drukują pieniądze na trzy zmiany, pożyczając je Volkswagenowi, Fiatowi czy Deutsche Bankowi w oparciu o ujemne stopy procentowe, czyli w rzeczywistości oddłużając je i dokonując darowizny. Oczywiście nie dotyczy to tzw. maluczkich. Dziś bańka spekulacyjna na obligacjach o ujemnej stopie procentowej sięga 8–10 bln dolarów. Światowe aktywa bankowe już dawno przekroczyły 200 proc. tego, co wytwarza świat w ramach PKB, zaledwie 800 firm na świecie tworzy dziś 50 proc. całego światowego PKB i stanowi to blisko 60 proc. kapitalizacji światowych giełd.

Półowa uprawianych zbóż na świecie, mimo setek milionów głodujących ludzi, przeznaczana jest dziś na pasze i paliwa, a i tak ta żywność jest genetycznie modyfikowana (GMO). Niemieckie firmy już produkują i sprzedają makaron z owadów i należy się spodziewać kolejnych ekscesów biotechnologicznych.

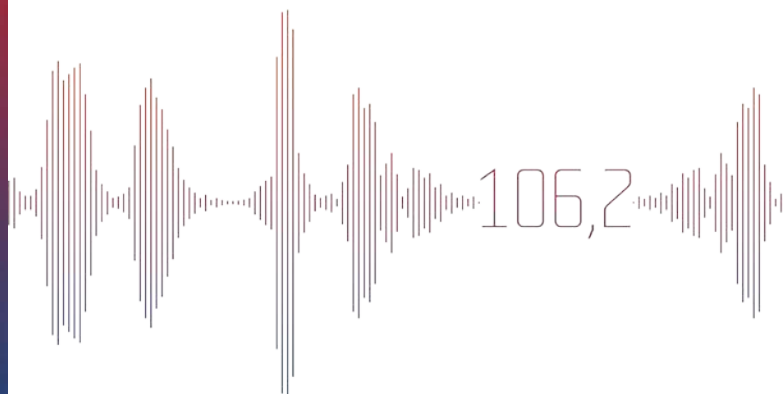
Na świecie nie tylko dziś nie ubyło tradycyjnych wojen ani zagrożeń mili-

tarnych, lecz doszły nowe wojny handlowe, walutowe czy cyberwojny. Nowa arystokracja finansowa, czyli elity władzy i pieniądza, dążą do ustanowienia nowego porządku światowego (NOW), a zarazem opierania się na starym ładzie gospodarczym, oczywiście kosztem klasy średniej, prekariatu i młodych pokoleń. Dwa krwiożercze bliźniaki – spekulacja i zadłużenie – trzymają świat w żelaznym uścisku, a poker oszustów trwa w najlepsze. Nic więc dziwnego, że kryzys elit przywódczych przeradza się w kryzys moralny i oba potęgują kolejne kryzysy gospodarcze i finansowe, których tragicznym ujęciem może być kryzys militarny, a nawet wielka wojna. I choć nikt ciągle nie widział na własne oczy owej sprawczej, niewidzialnej ręki rynku, to wielu na co dzień widzi jej całkiem namacalne, ludzkie ofiary. Ubóstwo, bezrobocie, wykluczenie społeczne i finansowe, a nawet głód i niewolnictwo setek milionów ludzi na świecie nadal pozostają kluczowym problemem do rozwiązania

przez obecne elity władzy i pieniądza, i jak na razie niewiele pozytywnego w tej mierze się dzieje.

Niestety bożek własności, utopia liberalnej demokracji, rozpasany konsumpcjonizm oraz wszelkie swobody obyczajowe całkowicie zastąpiły tradycyjne wartości, zdrowy rozsadek, umiar, przyzwoitość, roztropność czy oszczędność. Mają nam wystarczyć zaklęcia o prywatyzacji, cyfryzacji czy globalizacji i wiara w to, że będzie już tylko dobrze i na bogato, że idziemy prostą drogą do celu, a postęp i tolerancja będą chlebem powszednim. A przecież z dziejów licznych upadłych cywilizacji płyną następujące wnioski: nie ma nieodwracalnych procesów, wyłącznej wędrówki ludów ku postępowi i dobrobytowi bez zakrętów czy powrotów. Nie tylko rzeki zmieniają koryta, lecz i ludzkie losy, i wymiar cywilizacyjny, w tym również ten gospodarczy oraz finansowy, mogą ulegać nagłym zwrotom i wpadać w poważne turbulencje.

REKLAMA



Bancovo – pierwsza taka platforma w Polsce

Wystartowała internetowa platforma Bancovo, na której można porównać oferty pożyczek oraz od razu podpisać umowę kredytową. A wszystko przez internet

Bancovo to platforma internetowa, na której można wyszukać i porównać oferty pożyczek płynące od banków i firm pożyczkowych. A następnie można wybrać najlepszą dla siebie ofertę i zawrzeć umowę pożyczki, a wszystko przez internet. Takiego rozwiązania w Polsce jeszcze nie było.

– Klienci obecnie kupują produkty online. A ponieważ w sieci jest bardzo dużo informacji, fenomenem są agregatory, które umożliwiają zarówno wyszukiwanie, jak i porównanie ofert oraz zakup. Tak na przykład kupuje się wycieczki, wynajmuje miejsca w hotelach. Pomyśleliśmy, że w Polsce nie ma takiego agregatora i że należy go stworzyć – powiedziała Monika Charamsa, szefowa Bancovo.

Obecnie na platformie można znaleźć ofertę 4 instytucji – Alior Banku, Inbanku, TakTo Finanse oraz SuperGrosz. Bancovo liczy, że wkrótce liczba instytucji oferujących swoje produkty za pośrednictwem platformy mocno wzrośnie. Na przełomie I i II kwartału mają się pojawić oferty jeszcze 3 partnerów, a do końca bieżącego roku – wg planów – Bancovo ma obsługiwać oferty 5–6 banków oraz 7–8 firm pożyczkowych.

To, co podkreślają twórcy Bancovo, to fakt, że klient dokonuje wyboru spośród rzeczywistych ofert, co oznacza, że zaciągana pożyczka ma te same warunki jak prezentowane w trakcie wyszukiwania. No i cała operacja dokonywana jest przez internet. Na dodatek wszystko ma się odbywać błyskawicznie, bo cały proces wzięcia pożyczki – od początku do chwili przelania środków na konto



Zdjęcie: Alior Bank | 2/2177F

– ma trwać zaledwie 15 minut. Te właśnie czynniki mają zdecydować o sukcesie nowej platformy.

– Bancovo ma potencjał, aby stać się najważniejszą platformą e-commerce branży finansowej w Polsce. Nasze plany zakładają, że w 2020 r. będziemy przez nią sprzedawać 2–3 mld zł kredytów – powiedziała Monika Charamsa.

O Bancovo można powiedzieć jeszcze jedno – że ta platforma nie tylko należy do spółki zależnej Alior Banku, lecz została także w tej instytucji wymyślona.

– Bancovo to rewolucja, to najważniejszy gracz finansowego e-commerce. Bancovo jest częścią naszej strategii, uruchomienie tej platformy zapowiadaliśmy już jesienią ubiegłego roku – powiedział Michał Chyczewski, p.o. prezes Alior Banku. – Ale to dopiero początek – dodał.

Jak powiedział, Alior Bank chce wykorzystać bardzo silne kompetencje informatyczne, jakie posiada – w banku pracuje aż 700 informatyków – aby zmienić sposób funkcjonowania banku.

– Alior Bank stanie się platformą, która z jednej strony będzie implementować własne pomysły, takie jak Bancovo, ale także będzie rozwijać projekty pozyskane z rynku – wyjaśnił Chyczewski.

Temu celowi ma być podporządkowane wszystko w banku. Już obecnie trwa wdrażanie nowego systemu zarządzania bankiem i innowacjami, choćby ścieżka kariery powiązana z implementowaniem nowoczesnych rozwiązań technologicznych. Alior Bank zamierza także uruchomić fundusz inwestycyjny, którego celem będzie inwestowanie w fintechy – czyli oparte na

innowacyjnej technologii firmy oferujące produkty i rozwiązania finansowe – na wczesnym etapie. Do tego – już w czerwcu – Alior Bank chce uruchomić kolejną inicjatywę, której zadaniem będzie wspieranie fintechów.

– Chcemy powołać iLab, który będzie zapewne najnowocześniejszy i najbardziej otwarty na fintechy w całej Europie – powiedział p.o. prezes Alior Banku.

Alior Bank nie kryje, że na całym projekcie zamierza zarobić.

– Bancovo to taki finansowy Android – powiedział Bruno Ferreira, dyrektor zarządzający Alior Banku. – Wiele instytucji oferuje pożyczki, ale my oferujemy sposób, w jaki te pieniądze będą pożyczane. Dzięki temu chcemy uzyskać dobre wyniki prowizyjne – dodał.

Dodatkową zaletą Bancovo może być przyciągnięcie nowych klientów do oferty bankowej. Nowych, czyli przede wszystkim młodych klientów. Okazuje się bowiem, że oni unikają banków.

– Młodzi ludzie idą do firm pożyczkowych, nie sprawdzając w ogóle oferty banków. Okazuje się, że w 60 proc. przypadków kierują zapytanie do firm pożyczkowych bez zainteresowania się, co mogą uzyskać w bankach – powiedział Mariusz Cholewa, prezes Biura Informacji Kredytowej.

Głównym powodem jest brak historii kredytowej, co powoduje, że młodzi ludzie często mają kłopot z uzyskaniem kredytu. Dodatkowym problemem jest konieczność podania wielu informacji, wreszcie trzeba jeszcze wspomnieć o tym, że młodzi dość często nie są zatrudnieni na stałe, więc trudno im przekonać banki, że spłacą kredyt. Firmy pożyczkowe zaś używają innych metod badania wiarygodności kredytowej klientów, duża część całego procesu udzielania pożyczki jest zautomatyzowana. Bancovo chce korzystać z tych wzorów.

– Oczywiście, wnioski kredytowe, które będą przez nas przechodzić, będą poddawane pewnej selekcji. Będziemy dokonywać prescoringu, będziemy także korzystać z innych form oceny wiarygodności kredytowej. Chcemy także jak najbardziej ułatwić klientom składanie wniosku, toteż wiele pól formularza, które są wymagane przez prawo bankowe, będziemy wypełniać



automatycznie. Przykładem może być NIP pracodawcy, który będziemy w stanie pobrać z innego źródła – mówiła Monika Charamsa.

Jest jeszcze jeden element, który czyni Bancovo bardzo ważnym projektem dla Alior Banku – chodzi o PSD2. Za tym niepozornym skrótem kryją się unijne przepisy o usługach płatniczych, które całkowicie odmieniają korzystanie z banków.

Unijne przepisy wymuszają na bankach, aby zezwoliły one innym firmom – właśnie fintechom – na dostęp do danych o rachunkach klienta. To oznacza, że wkrótce z usług bankowych możemy korzystać w sposób prawie niezauważalny. Przykładowo – przy zakupie czegoś w internecie pojawi się możliwość sprawdzenia oferty pożyczek ratalnych i po kilku kliknięciach zostaniemy właścicielami towaru kupionego na kredyt ratalny z banku, tyle że oferowany poprzez pośrednika. Takiego właśnie jak Bancovo.

PSD2 oznacza, że tacy pośrednicy pojawiliby się za jakiś czas na polskim rynku bez względu na to, czy zaangażowałby się w to jakiś bank, czy nie. Fakt, że Alior Bank decyduje się na taki krok, jest próbą wyprzedzenia konkurencji. Jako że PSD2 zacznie funkcjonować za mniej więcej dwa lata, to uruchomione obecnie Bancovo ma szansę na zajęcie dobrej pozycji na rynku. Zwłaszcza z pomocą 30 mln zł, jakie bank wyłożył na tego pośrednika, co na pewno pomoże w promocji.

Alior Bank jednak nie tylko chce wyprzedzić fintechową konkurencję, lecz zamierza – co już zostało wspomniane wyżej – z nią współpracować. Jednym z elementów strategii Cyfrowego Buntownika, którą realizuje obecnie ta instytucja, jest plan, aby wykorzystać PSD2 do rozwoju. To wymaga przebudowy banku – co już robi – oraz współpracy z fintechami – co także już trwa – ale dzięki temu Alior może znacznie zwiększyć sprzedaż swoich produktów dzięki nowym elektronicznym kanałom dotarcia dla klientów.

PSD2 stanowi ogromną szansę dla polskich banków, które są znacznie nowocześniejsze i bardziej rozwinięte technologicznie niż instytucje z innych krajów UE. To oznacza, że odpowiednie wykorzystanie dyrektywy pozwoli nie tylko na zwiększenie sprzedaży na rynku polskim, lecz także na podbój rynków unijnych. I to bez konieczności tworzenia sieci oddziałów – wystarczy np. pośrednik do sprzedaży pożyczek, uruchomiony w internecie.



Kapitał dla firmy

*Firmy potrzebują pieniędzy,
żeby się rozwijać. Najczęściej
wybierają kredyt w banku, ale gdy mają
w planie innowacyjne i ambitne pomysły,
mogą poszukać funduszy na rynku kapitałowym*

Firma szuka inwestowania zewnętrznego przede wszystkim w banku. To on jest pierwszym miejscem, do którego trafia przedsiębiorca, ubiegając się o pieniądze na rozwój i inwestycje.

Kredyt dla firm jest obecnie nisko oprocentowany. Według danych NBP kredyt odnawialny i w rachunku bieżącym dla przedsiębiorstw był oprocentowany na koniec zeszłego roku na 3,3 proc. To dużo mniej niż w grudniu 2013 r., kiedy odsetki sięgały 4,7 proc. Dla wszystkich kredytów (od poniżej roku do ponad pięciu lat) wraz z bieżącymi średnie oprocentowanie wynosiło 3,7 proc., a cztery lata wcześniej aż 4,7 proc. Oprocentowanie spada, a kredyty są łatwiej dostępne niż jeszcze kilka lat temu.

KREDYT W PIERWSZEJ KOLEJNOŚCI

Pod tym względem sytuacja staje się coraz lepsza, co dobrze widać w danych statystycznych: według tzw. szybkiego monitoringu NBP w IV kwartale 2017 r. wzrósł odsetek przedsiębiorstw ubiegających się o kredyt i równocześnie – co bardzo istotne – na wysokim poziomie utrzymuje się obsługa zadłużenia przez przedsiębiorstwa. Jednym słowem, banki udzielają kredytów z umiarem.

Żeby otrzymać kredyt, trzeba przejść przez określone procedury. Banki nie dają pieniędzy lekką ręką. Instytucje finansowe muszą dbać o bezpieczeństwo powierzonych im środków, więc nie każdy przedsiębiorca i nie na każdy, nawet teoretycznie najlepszy pomysł, otrzyma od nich finansowanie.

Jeszcze przed złożeniem wniosku kredytowego warto sprawdzić, czy jest się o co starać. W wielu bankach działają departamenty wspierające biznes, których specjaliści wyjaśnią, jakie firma musi spełnić warunki, by otrzymać pieniądze. Banki mają do zaoferowania kredyty różnego typu, o różnym przeznaczeniu i różnym okresie kredytowania, są więc w stanie dostosować je do potrzeb przedsiębiorcy.

Przed udzieleniem kredytu banki oceniają wiarygodność firmy: prześwietlają dane finansowe (m.in. poziom zadłużenia, płynność finansową, rentowność), zbadają historię współpracy z bankiem, a także przeanalizują ryzyko związane z sektorem, w którym przedsiębiorca działa. Na kolejnym etapie firma zostanie poproszona o przedstawienie biznesplanu, czasami w formie osobnego dokumentu, czasami na formularzu banku. Ocena ryzyka to następny krok do otrzymania kredytu – bank sprawdza, jakie jest jego zabezpieczenie i jaka możliwość spłaty zobowiązań, a także jaki będzie udział własny przedsiębiorcy.

Proces analizy wniosku kredytowego wspiera coraz mocniej nowoczesna technologia, dzięki której ocena ryzyka – w przypadku małych firm żmudna i kosztowna – jest szybsza i prostsza. Ostatni etap to negocjacje kosztów kredytu i formy jego spłaty.

Autorzy publikacji PARP „Finansowanie przedsięwzięć innowacyjnych w MSP” zwracają uwagę na kilka elementów, od których może zależeć sukces wniosku kredytowego. Poważnym niedociągnięciem jest np. utożsamianie biznesplanu jedynie z analizą finansową projektu, podczas gdy należy zwrócić uwagę na rynkowy kontekst, na wdrożenie i na uwiarygodnienie opłacalności przedsięwzięcia w stosunkowo krótkim czasie. Najważniejszym elementem oceny zdolności kredytowej przez banki jest analiza danych historycznych; wskaźniki finansowe powinny spełniać wysokie standardy długo przed aplikowaniem o kredyt.

GWARANCJE MOGĄ POMÓC

Jeżeli przedsiębiorstwo potrzebuje zewnętrznych funduszy, ale nie posiada odpowiednio długiej historii kredytowej, może skorzystać ze wsparcia funduszy pożyczkowych. Nie finansują one z reguły przedsięwzięć o dużej skali i trudno porównać je z kredytami bankowymi, ale dla firmy startującej na rynku albo próbującej zrealizować jakiś innowacyjny pomysł takie finansowanie może się okazać wystarczające.

Inny charakter mają fundusze poręczeń kredytowych, które wspierają firmy mające problem z zabezpieczeniem kredytu. Nie udzielają finansowania, ale ułatwiają do niego dostęp. Przedsiębiorstwa, które ubiegają się o poręczenie, dysponują odpowiednią zdolnością kredytową (nie są to firmy w złej kondycji finansowej), brakuje im natomiast zabezpieczeń pozyskanych środków. Fundusze biorą po prostu część odpowiedzialności za spłatę zobowiązań na swoje barki.

Dla banków jest to rozwiązanie bardzo korzystne, ponieważ dzięki niemu ograniczają ryzyko do minimum. Według raportu „Niebezpieczny Status Quo. Dlaczego małe firmy nie rosną?”, przygotowanego przez Warsaw Enterprise Institute, pod patronatem PARP i ARP, banki najchętniej kredytują te projekty, w których stopień niepewności jest bliski zeru. WEI zwraca uwagę na to, że banki bardzo sobie chwalą gwarancje de minimis (gwarantem jest Bank Gospodarstwa Krajowego), które obejmują zarówno transakcje krajowe, jak i zagraniczne. – Pomoc de minimis zdecydowanie zwiększyła zakres udzielania kredytów dla małych i średnich firm – twierdzi WEI.

Świadczą o tym badania, które ostatnio zaprezentował BGK: dzięki de minimis w gospodarce pojawiło się 20,2 mld zł dodatkowego kredytu, a także 130,5 tys. miejsc pracy (60,6 tys. nowych i 69,9 tys. utrzymanych). Co ciekawe, gwarancje de

minimis pozwoliły nie tylko na zwiększenie obrotów (53 proc. badanych firm), lecz także na dokonanie inwestycji, na które kredyt nie był skierowany (51 proc.), oraz na podjęcie działań o charakterze innowacyjnym (32 proc.).

RYZYKOWNA PASYWNOŚĆ

Chociaż kredyty są dość prostą i szybką formą pozyskania finansowania, nie każda firma chce o nie aplikować. Przyczyn takiego stanu rzeczy może być wiele, warto jednak zwrócić uwagę na jedną z nich. Ekonomiści nazywają to zjawisko (opisane w publikacji NBP „Dlaczego polskie przedsiębiorstwa nie korzystają z kredytu? Zjawisko zniechęconego kredyto(nie)biorky”) „pasywnością kredytową”. Polega ona na niepodjęciu prób ubiegania się o kredyt przez firmy, które posiadają korzystne perspektywy i są w dobrej

sytuacji ekonomicznej, a potrzebują kredytu, by dalej się rozwijać. Problem dotyczy częściej małych i średnich firm niż dużych.

Poza firmami kredytowo pasywnymi istnieje jeszcze grono przedsiębiorstw permanentnie funkcjonujących bez kredytów, nie tyle do nich zniechęconych, ile z zasady unikających finansowania zewnętrznego. Według NBP firm niekorzystających z kredytów jest w Polsce ok. 40 proc. „Prowadzi to do sytuacji, w której realizacja planów rozwojowych warunkowana jest dostępnością własnych zasobów kapitałowych, co może w istotny sposób ograniczać możliwości rozwojowe całej gospodarki” – twierdzą eksperci NBP.

Najważniejszym elementem oceny zdolności kredytowej przez banki jest analiza danych historycznych firmy – jej wskaźniki finansowe powinny spełniać wysokie standardy długo przed aplikowaniem o kredyt

NIE TYLKO BANKI

Ograniczanie finansowania kredytowego nie jest jednak wyłącznie polską specyfiką. Według badań prof. Wolfganga Besslera w ciągu ostatnich trzech dekad wzrósł udział przedsiębiorstw funkcjonujących bez wsparcia banków. Przyczyną tego zjawiska jest m.in. rozwój rynków kapitałowych i wzrost liczby spółek wprowadzanych na giełdy.

Trafia tam wiele firm innowacyjnych, wytwarzających produkty o wysokim stopniu zaawansowania technologicznego i o wyższym poziomie ryzyka. Są to naturalni klienci innych niż bankowe form finansowania: giełdy, funduszy private equity/venture capital, aniołów biznesu.

Według Michała Szudejki ze Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie firmy innowacyjne mogą w przyszłości osiągać bardzo wysokie wyniki finansowe, jednak zanim to nastąpi, rezultaty ich działalności mogą się cechować dużą zmiennością, co z perspektywy inwestorów stanowi czynnik ryzyka. Dla banków jest ono zbyt duże, natomiast dla rynków kapitałowych – do zaakceptowania.

GIEŁDA W DALSZEJ PERSPEKTYWIE

Firma może się wybrać po kapitał na giełdę, ale nie jest to rynek dla każdego. Najlepiej trafić na giełdową koniunkturę, dzięki której można liczyć na to, że uda się pozyskać takie środki, jakie się zaplanowało. Do giełdy będzie pasowała firma, która zajmuje stabilną pozycję na rynku, zarabia, posiada strategię rozwoju gwarantującą wzrost zysków, a także odpowiednią strukturę organizacyjną, pozwalającą ją zrealizować. Ważne są także historia i doświadczenie, i to nabyte w różnych okresach – zarówno koniunktury, jak i dekonunktury – dzięki którym można ocenić, jak firma poradzi sobie w każdych okolicznościach. Po spełnieniu tych warunków firma będzie mogła liczyć na to, że zrealizuje oczekiwania inwestorów, czyli osób kupujących jej akcje. Oczywiście nigdy nie ma całkowitej pewności, że tak się rzeczywiście stanie, ale szanse na sukces zdecydowanie wzrosną.

Droga na giełdę jest dość trudna i skomplikowana, ma jednak swoje zalety. Warto również pamiętać, że warszawski parkiet oferuje dwa rynki akcyjne: alternatywny New-Connect i rynek główny. Wejście na pierwszy (przeznaczony dla mniejszych firm) jest łatwiejsze, na drugi – dłuższe, bardziej kosztowne, obarczone większymi obowiązkami informacyjnymi niż w pierwszym przypadku.

RYZYKOWNIE, ALE NIE DLA WSZYSTKICH

Coraz bardziej liczącym się segmentem rynku kapitałowego stają się fundusze wysokiego ryzyka venture capital. Są one częścią rynku private equity, a różnica między nimi polega z grubsza na tym, że o ile pierwsze inwestują w spółki we wczesnej fazie rozwoju, na początku kariery, innowacyjne, a nawet pracujące nad produktami znajdującymi się w fazie badań, o tyle drugie, PE – finansują firmy już rozwinięte. Fundusze PE/VC ponoszą wysokie ryzyko, ale w zamian spodziewają się bardzo dużych zysków w przyszłości.

Fundusze PE/VC odgrywają coraz większą rolę w finansowaniu firm, chociaż w Polsce jeszcze nie tak dużą jak w Wielkiej Brytanii czy w Niemczech. Według „Central and Eastern Europe Private Equity Statistics 2016” wartość ich inwestycji w Polsce wyniosła w 2015 r. 430 mln euro, w 2014 – 258 mln euro, w 2015 – 818 mln euro, a w 2016 – 725 mln euro. Polskie Stowarzyszenie Inwestorów Kapitałowych wyliczyło, że inwestycje PE/VC w naszym kraju w 2017 r. przekroczyły 2,2 mld euro.

W naszym regionie Europy jesteśmy liderem (udział inwestycji PE/VC w polskim PKB wynosił w 2016 r. 0,172 proc., podczas gdy w centralnej i środkowej Europie – 0,120 proc.), jednak do reszty kontynentu mamy jeszcze spory dystans: średnia europejska to 0,329 proc., brytyjska – 0,354 proc., a niemiecka – 0,211 proc.

Firma doradcza KPMG w raporcie „Rynek private equity w Polsce 2016. Trendy i szanse rozwoju” szacuje, że spółki portfelowe wchodzące w skład PE zatrudniają ponad 100 tys. osób i osiągają roczne przychody na poziomie 45 mld zł. Ich preferowane obszary inwestycyjne to telekomunikacja, informatyka, biotechnologia, internet. Fundusze PE wybierają również produkcję przemysłową i sektor medyczny, które rzadziej można spotkać w portfelu venture capital.

Jakie są zalety korzystania z tych funduszy? Dają możliwość rozwoju innowacyjnych projektów, prowadzenia badań, zwiększają przedsiębiorczość i przyspieszają postęp technologiczny. Warunkiem skorzystania z nich jest bardzo dobry pomysł, dający szanse na wysokie zyski w przyszłości.

LICZY SIĘ ZESPÓŁ

Wiele wspólnego z PE/VC mają aniołowie biznesu, jednak są pomiędzy nimi również różnice: pierwsi działają publicznie, drudzy – raczej ukrywają swoją tożsamość. To osoby indywidualne, inwestujące własny kapitał w przedsięwzięcie, z którym często czują się osobiście związane. Środki desygnowane przez aniołów biznesu są zwykle mniejsze niż w przypadku PE/VC. Obie formy inwestowania łączy jedna zasadnicza cecha: wybierają z reguły te przedsięwzięcia, które są nowe, dobrze rokują na przyszłość i raczej nie mogą liczyć na pieniądze z banku, gdyż ryzyko porażki jest zbyt duże.

Według „Diagnozy rynku kapitału wysokiego ryzyka w Polsce do 2016 r.” aniołowie biznesu stanowią najmniej „widoczny” segment rynku prywatnego. Autorzy raportu twierdzą, że w Polsce w 2015 r. w ramach pięciu istnie-

jących sieci aniołów biznesu zarejestrowanych było ok. 411 inwestorów, z tym że ich liczba prawdopodobnie jest większa i sięga ok. 800. Skala inwestycji podejmowana przez tę grupę nie jest wysoka, stąd wniosek, że dotyczą one przede wszystkim finansowania wczesnych faz rozwoju przedsiębiorstw.

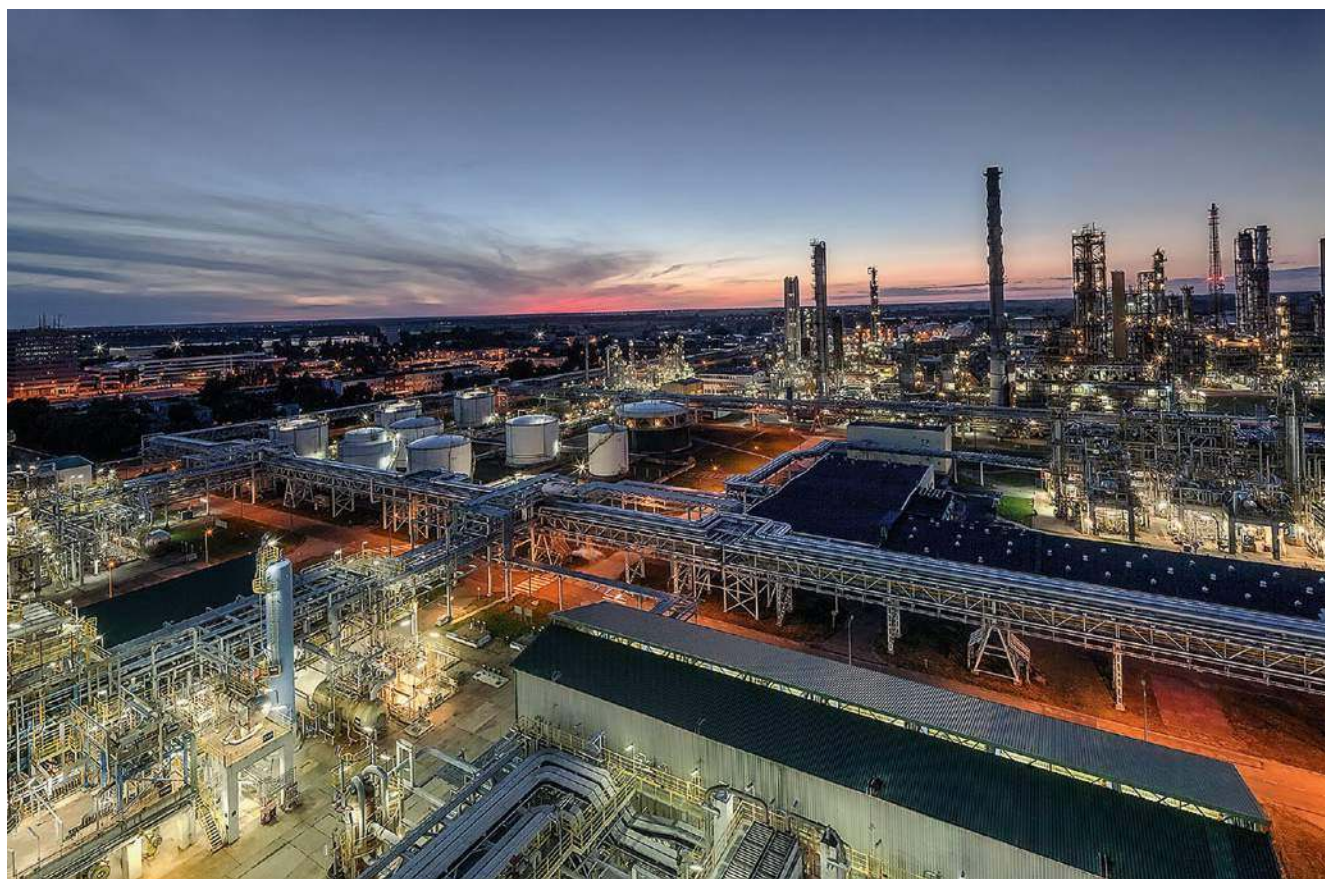
Na jakie cechy firmy i na jaką specyfikę pomysłu zwracają uwagę inwestorzy wspierający przedsiębiorstwa znajdujące się na początkowym etapie, niezależnie od tego, czy są to fundusze PE/VC, czy aniołowie biznesu?

Eksperti, którzy od wielu lat działają na rynku inwestycyjnym, twierdzą, że pomysł musi być rzeczywiście nowy, i raczej nie powinien polegać na ulepszeniu tego, co już działa, bo najczęściej koszty poprawienia dobrze funkcjonujących rozwiązań są dla firm zbyt wysokie. Zwracają uwagę na jakość zespołu tworzącego firmę i realizującego jej cele. Tomasz Poniński, prezes Fundacji Innowacyjna Polska, mówił „Gazecie Bankowej”, że nawet jeżeli jeden projekt nie wyjdzie, to i tak z dobrym zespołem uda się zrobić coś innego.

Łukasz Chłociński

Fundusze wysokiego ryzyka i aniołów biznesu łączy to, że wspierają przedsięwzięcia, które są nowe, dobrze rokują na przyszłość i raczej nie mogą liczyć na pieniądze z banku, gdyż ryzyko porażki jest zbyt duże

Tak rodzi się paliwowy gigant



Fot. Orlen

Wieloletnie spekulacje, analizy i polityczne spory. Wreszcie zmiana prezesa i konkretna decyzja. Tak ukształtowała się koncepcja przejęcia gdańskiego Lotosu przez plocki Orlen. Powstanie paliwowego giganta, mającego możliwości gospodarczego podbicia Europy, budzi olbrzymie emocje. Sam proces to wyzwanie, ale przede wszystkim szansa dla krajowej gospodarki



PIOTR FILIPCZYK

List intencyjny dotyczący przejęcia Grupy Lotos przez PKN Orlen podpisali 27 lutego 2018 r. minister energii Krzysztof Tchórzewski oraz prezes Orlenu Daniel Obajtek. „Koncepcja połączenia potencjałów PKN Orlen i Grupy Lotos jest obecna w sferze gospodarczej od kilkunastu lat, zabrakło jednak determinacji, aby ten proces zrealizować. Może dlatego, że tak ważna decyzja biznesowa rozpatrywana była głównie w kategorii emocji, a nie twardych faktów i liczb” – mówił Daniel Obajtek. „Skonsolidowany koncern może lepiej konkurować na otwartym rynku europejskim”.

SAMORZĄDOWCY MÓWIĄ „NIE”

Decyzja o strategicznej z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa transakcji spotkała się natychmiast z krytyką ze strony gdańskiej lewicy, prezydenta miasta Pawła Adamowicza i marszałka województwa Mieczysława Struka z PO.

„Tylko w 2017 r. Gdańsk otrzymał z podatków CIT ok. 22 mln zł. Całe województwo pomorskie zyskało w 2017 r. na obecności Lotosu w naszym regionie 50 mln zł” – mówił Adamowicz. „Podkreślam, że nasze wystąpienie to nie żadna hucpa polityczna, to troska nie tylko o tysiąc miejsc pracy w Gdańsku, lecz także o liczne firmy kooperujące z Lotosem” – dodawał Mieczysław Struk.

Ale obecny prezydent miasta robi z potencjalnego przejęcia właśnie polityczną hucpę. „Kolejne działanie Prawo i Sprawiedliwość wymierzone w Gdańsk i Pomorze!” – pisze na swoim Twitterze Paweł Adamowicz. Wiarygodność górnolotnych haseł Adamowicza jest jednak niewielka, biorąc pod uwagę jego niedawną deklarację dotyczącą startu w kolejnych wyborach samorządowych. Możli-

wość oparcia swej kampanii wyborczej na obronie Lotosu to wyjątkowa szansa dla prezydenta Gdańska, który boryka się z postępowaniem prokuratorskim i antagonizmami wewnątrz lokalnych struktur PO. W podobnym tonie wypowiada się jego partyjny kolega, europoseł Janusz Lewandowski. Głos „Pomorze kontra PiS” będzie zatem narracją dominującą w czasie zbliżających się wyborów samorządowych.

STRATEGIE KORZYSTNE DLA LOTOSU

Kampania wyborcza nakazuje mówić jedno, a fakty są zupełnie inne. Zmiana będzie szansą na rozwój Lotosu i na poprawę warunków pracy. – Na obecnym etapie analizowany jest scenariusz, w którym Orlen przejmie Lotos zgodnie z ustawą o ofercie publicznej, poprzez wezwanie do nabywania określonego pakietu akcji, być może poprzedzone transakcją pakietową ze skarbem państwa – podkreśla Daniel Obajtek, prezes PKN Orlen.

Obajtek zaznacza, że w każdej z rozważanych opcji Lotos pozostanie samodzielną spółką i zyska na efekcie skali, a wpływy podatkowe pozostawi w Gdańsku, podobnie jak wpływy Płocka pozostaną tam, gdzie są obecnie. Co więcej, to właśnie Lotos ze względu na lokalizację i nowoczesną infrastrukturę może zyskać na włączeniu do Orlenu. Większe zamówienia to więcej miejsc pracy, a zarazem wynagrodzenia równające do tych wypłacanych przez większego partnera.

POMORZE NIE STRACI

Efekt skali, zdaniem ekspertów, ma olbrzymie znaczenie dla pracowników Lotosu i mieszkańców regionu. Infrastruktura Lotosu – sieć usług kolejowych oraz nowoczesna rafineria – to kluczowe atuty sprawiające, że Gdańsk nie będzie „filiją” Płocka, ale perłą w koronie polskiego przemysłu paliwowego. Pod warunkiem że w regionie znajdzie się ktoś, kto będzie gotów do współpracy, a nie – jak lokalni działacze PO – do burzenia pomysłów dla własnych korzyści politycznych.

– Pracownicy z Gdańska nie mają żadnych podstaw, aby czuć się zagrożeni włączeniem do Orlenu – mówi prezes płockiego koncernu. – Pomorze zdecydowanie skorzysta na tym procesie i zlokalizowaniu w Gdańsku kluczowych elementów infrastruktury przedsiębiorstwa o znaczeniu międzynarodowym. Na żadnym etapie naszych planów nie dopuszczamy możliwości, aby firmy lub ich pracownicy ponieśli stratę. To transakcja, w której obie strony są zwycięskie, a najwięcej zyskają gdańszczanie w postaci nowych inwestycji, których skala będzie nieporównywalnie większa od obecnej – podkreśla Daniel Obajtek.

Ten sam potencjał widzi zarząd Lotosu. – Tak naprawdę rozpoczynają się prace nad tym procesem, w których mamy nadzieję uczestniczyć, bo nikt, kto się interesuje rynkiem kapitałowym i sytuacją spółek naftowych, nie ma wątpliwości, że takie połączenie jest korzystne dla tych spółek, co zresztą widać po kursie akcji. Niezmiernie się więc cieszę, że po wielu latach medialnej dyskusji na ten temat proces się wreszcie rozpoczął – mówi prezes Marcin Jastrzębski.

PIŚ: NIE TWÓRZMY KONFLIKTU

O korzyściach z połączenia spółek mówią także wywodzący się z Pomorza politycy PiS, kontrując tym samym słowa Pawła Adamowicza. – Dla Prawa i Sprawiedliwości priorytetem były zawsze polityka społeczna oraz patriotyzm gospodarczy. Nie dajmy się zatem zwieść pustym frazesom i hasłom wyborczym pomorskich działaczy Platformy. Nie twórzmy konfliktu gdańsko-polskiego – mówi poseł Marcin Horała. – Na Pomorzu zlokalizowane będą kluczowe elementy nowego przedsiębiorstwa o znaczeniu międzynarodowym, zatem troska o nie, jak również troska o fachowców znających je od podszewki, będzie na pewno priorytetem nowego potentata paliwowego – dodaje Horała.

– Samorząd Gdańska naprawdę usilnie stara się zdyskredytować działania podejmowane przez rząd PiS. Robi to, nie zwracając w praktyce uwagi na potrzeby mieszkańców miasta. Krytyka dla krytyki jest jednak najgorszym,

co możemy jako gdańszczanie zrobić w sytuacji, kiedy stajemy przed wielkim wyzwaniem, jakim jest połączenie Lotosu z Orlenem. Zastanówmy się przez chwilę: większe możliwości zakupowe to większe zamówienia i zapotrzebowanie na pracowników. Spółka o międzynarodowym potencjale to atrakcyjny wabik dla dużych inwestorów – przekonuje Kacper Płażyński, działacz trójmiejskiego PiS. – Wbrew czarnym wizjom polityków PO Gdańsk nie jest spychany na margines. Gdańsk dostaje szansę, ale żeby ją wykorzystać, powinien współpracować, a nie dystansować się od projektów, którymi żyje dzisiaj cała Polska – dodaje Płażyński.

W zbliżonym tonie, choć ostrożniej, wypowiadają się związki zawodowe Lotosu. – Jeśli proces zostanie przeprowadzony poprawnie, a obietnice będą spełnione, rzeczywiście może się to okazać korzystne dla pracowników spółek wchodzących w skład Grupy Lotos. Dostrzegamy szansę na zwiększenie obrotów poszczególnych spółek, a tym samym na poprawę warunków zatrudnienia – zaznacza jeden z działaczy, zastrzegając anonimowość ze względu na trwające rozmowy między przedstawicielami kluczowych związków w gdańskiej grupie.

MIĘDZYNARODOWY GIGANT

Orlen i Lotos będą dysponowały łącznie ponad 2 tys. stacji paliw i sięgającym nawet 45 proc. udziałem w polskim rynku. Giełdowa wartość paliwowego giganta mogłaby przekroczyć nawet 50 mld zł. Rynkowa siła przebicia nowego podmiotu będzie znacząco większa i zapewni mocniejszą pozycję w negocjacjach cenowych z kontrahentami – zarówno z nowymi partnerami: USA czy krajami Biskiego Wschodu, jak i ze stroną rosyjską.

Przejęcie Lotosu przez Orlen wpisuje Polskę w międzynarodowy trend budowy dużej spółki paliwowej. Minister inwestycji i rozwoju Jerzy Kwieciński zaznacza, że wiele państw ma jedną firmę paliwową, która rywalizuje z zagranicznymi konkurentami. Podobnego zdania jest Krzysztof Tchó-

rzewski. – Zintegrowany koncern paliwowo-petrochemiczny ma znacznie większe możliwości zadbania o bezpieczeństwo naszego rynku i naszych klientów – przekonuje minister energii.

Giełdowa wartość paliwowego giganta mogłaby przekroczyć nawet 50 mld zł

MORAWIECKI: SKALA JEST WAŻNA

W lutym premier Mateusz Morawiecki pytany o to, czy planowana fuzja pomogłaby w ekspansji polskiego kapitału, stwierdził: „Mówiąc ogólnie – tak. A mówiąc szczegółowo – nie jestem od tego, żeby komukolwiek mówić, kto i z kim powinien się łączyć. To prerogatywa rad nadzorczych i zarządów. Ale skala jest ważna”.

Podobnego zdania są analitycy rynkowi. „Aktywizacja ma jak najbardziej biznesowy sens. Możliwe jest osiągnięcie korzyści zarówno po stronie kosztowej, np. tańsze zakupy surowców, jak i przychodowej – to potencjalne oszczędności na strukturze spółek; gdy z dwóch tworzymy jedną, zawsze jest potencjał do tzw. synergii kosztowych” – mówi agencji Newseria Łukasz Bugaj, analityk DM BOŚ. Zwraca też uwagę na kluczową w takich sytuacjach reakcję inwestorów. „Reakcja rynku była pozytywna. W przypadku Lotosu liczymy na to, że będzie wezwanie na akcje. Nie wiadomo, jaka dokładnie będzie tego struktura, ale logicznie nasuwa się ten pozytywny czynnik z punktu widzenia wzrostu kursu akcji” – dodaje Bugaj.

BEZPIECZEŃSTWO ENERGETYCZNE

Koncepcja połączenia sił Orlenu i Lotosu zrodziła się jeszcze w rządzie Jarosława Kaczyńskiego. „To jest zabieg z dziedziny bezpieczeństwa energetycznego, a nie czysto biznesowy” – mó-

wił ówczesny premier. W koncepcji z 2007 r. dominującą spółką miał być Lotos ze względu na większy udział skarbu państwa w gdańskiej firmie. Dziś w Orlenie skarb państwa ma 27,5 proc. udziałów w ogólnej liczbie głosów, a 4,9 proc. ma kontrolowany przez państwo PERN SA. Orlen chroniony jest też przed wrogim przejęciem przez statutowe ograniczenie wykonania prawa głosu przez akcjonariuszy innych niż skarb państwa. Dodatkowym zabezpieczeniem jest ustawa o kontroli niektórych inwestycji. W świetle tych przepisów przejęcie kontroli nad PKN Orlen może zostać wstrzymane decyzją ministra energii.

Rząd Kaczyńskiego nie miał wystarczająco dużo czasu, by wprowadzić w życie swój pomysł, a politykom koalicji PO-PSL najwyraźniej nie był on na rękę. Dwie odrębne spółki skarbu państwa dawały znacznie większe pole do prowadzenia roszad personalnych i nagradzania ludzi zaufanych lub zaśluzonych dla układu.

Do planów połączenia spółek paliwowych wrócił Mateusz Morawiecki. „Chcemy, żeby Polska była wielka. Polska jest częścią Zachodu, a jeśli tak, musi mieć globalne aspiracje i nie [może] bać się konkurencji, nie bać się współpracy” – podkreślał premier w swoim exposé, nawiązując do idei budowy światowych czempionów, deklarowanej w Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju.

Kluczowe dla utworzenia nowego podmiotu będzie teraz stanowisko Komisji Europejskiej. – Musimy wystąpić o zgodę na dokonanie koncentracji. Podejmując decyzję, Komisja Europejska weźmie pod uwagę wpływ koncentracji na konkurencję na rynku, zarówno w Polsce, jak i w krajach ościennych, gdzie Lotos i Orlen prowadzą swoją działalność – zaznacza Obajtek.

Pozytywne decyzje będą kolejnym kamieniem milowym na drodze do przejęcia Lotosu przez Orlen. A nowa firma paliwowa będzie polskim czempionem przynoszącym korzyści w skali lokalnej – Gdańska i Płocka, dokąd będą spływały podatki – jak również w skali kraju i rozwoju polskiej gospodarki oraz bezpieczeństwa energetycznego. 

Takie sensacje zdarzają się coraz rzadziej.

Polska sztafeta męska 4 × 400 m wyprzedziła niepokonanych od lat Amerykanów podczas halowych mistrzostw świata w Birmingham, zdobywając złoty medal i ustanawiając rekord świata.

Z Jakubem Krzewiną, który przeszedł już do historii, wyprzedzając na ostatniej zmianie rywala, rozmawia Cezary Kowalski (komentator Polsatu Sport)

To był szok

Kiedy wygrywa Kamil Stoch albo gola strzela Robert Lewandowski, wszyscy szalejemy ze szczęścia, ale w waszym przypadku doszło jeszcze kompletne zaskoczenie. Nikt, kto ma jakieś pojęcie o lekkoatletyce, nie mógł nawet w najbardziej fantastycznych snach marzyć o wyprzedzeniu amerykańskiej sztafety, i na dodatek pobiciu rekordu świata.

Jakub Krzewina: Biegaliśmy szybko podczas treningów i wierzyliśmy, że zdobędziemy srebrny medal. Mierzyliśmy też w ewentualny rekord

Europy. To był szczyt naszych możliwości i nie ma co tego ukrywać. Stany Zjednoczone były poza zasięgiem kogokolwiek i nawet po cichu o tym nie mówiliśmy. Jankesi są sami dla siebie konkurencją.

To jak w racjonalny sposób wytłumaczyć to, co udało wam się zrobić?

Na logikę to można by twierdzić, że rywale mieli słabszy dzień i dlatego nam się udało ich wyprzedzić. Ale przecież pobiliśmy rekord, więc ta teoria upada. Zresztą drudzy na mecie Amerykanie

też pobili stary rekord świata, więc bieg był na najwyższym poziomie.

Komentator Przemek Babiarczak: „Utrzymaj to drugie miejsce, odeprzaj atak, nie daj się”...

Pan Przemek mówił dokładnie to, co zamierzałem zrobić. Taki miałem plan przed ostatnią prostą. Skupić się na rywalach z tyłu, żeby nie oddać tego, co udało się osiągnąć kolegom. Zobaczyłem na telebimie, że mam odpowiednią przewagę nad nimi i jeszcze mnóstwo siły. Zerknąłem na Amery-

kanina Vernona Norwooda przede mną i podjąłem decyzję, że ruszam.

Pamiętasz szczegóły?

Tak. W sumie reagowałem na chłodno. Widziałem, że on słabnie.

Czym się to objawiało?

Jak byliśmy na łuku, to zauważyłem, że się usztywnił, nogi szły mu inaczej, ręce inaczej, jakiś taki nieskoordynowany się zrobił. Mowa jego ciała sugerowała, że brakuje mu sił, zaczyna się męczyć. Pomogła mi ta diagnoza. Zobaczyłem, w jakim stanie jest rywal, a wiedziałem, jak sam się czuję.

Dogoniłeś go i wyprzedziłeś o kilka metrów na ostatniej prostej. Takie spektakularne historie praktycznie już się nie zdarzają na takim poziomie...

Proszę uwierzyć, nie kokietuję, dla nas to też był szok. A później oczywiście euforia.

Co wam powiedzieli Amerykanie?

Myszę, że oni byli w jeszcze większym szoku niż my. Z całej czwórki tylko ten zawodnik, z którym wygrałem, podszedł, podał rękę i pogratulował. Pozostali byli obrażeni, strasznie niezadowoleni z tego powodu, że jacyś Polacy wyrwali im to, co im się należało. Myślałem, że jak ochłoną podczas dekoracji, to się będą potrafili zachować, ale gdzie tam. Szybko zbiegli z podium i się schowali.

Twój wyczyn wieńczy piękną sportową historię. Byłeś już na poważnym zakręcie, trapiły cię kontuzje, nie wykorzystywałeś swojego talentu, popadłeś w konflikt z trenerem. Wydawało się, że w wieku 29 lat w górę nie pójdziesz.

Niby wszystko miałem, aby osiągnąć sukces. Talent, jakiś tam charakter. Brakowało tylko zdrowia. Ciężko było, przeszedłem operację kręgosłupa, non stop miałem jakieś urazy. Niby byłem w czołówce, chociaż nie najlepszy, ale zawsze mi czegoś brakowało.

W pewnym momencie wylałaś się i zrezygnowałaś ze współpracy ze słynnym trenerem czterystu-

metrowców – Józefem Lisowskim. To pomogło?

Musiałem coś zmienić, bo współpraca się nie układała. Różnica charakterów. Nie rozdrapujemy tego. Przygotowuje mnie Marek Rożej. Były asystent Jana Widery, który jest teraz podsekretarzem stanu i wiceministrem sportu. Trenowałem z nimi, jak miałem 20 lat. Teraz współpraca układa się fenomenalnie, zdecydowanie odżyłem. Zyskałem motywację, chęci, wszystko co dobre.

Biegacie pojedynczo, ale sukces osiągnęliście jako zespół. Jak wygląda współpraca w takiej grupie?

U nas jest zupełnie inaczej niż u dziewczyn. One jeżdżą razem na zgrupowania, mają tego samego trenera, non stop przebywają razem. My spotykamy się dopiero podczas zawodów. Każdy trenuje gdzie indziej, w inny sposób. Ale jak już się na ten krótki czas spotykamy, to tworzy się wspólnota, jesteśmy bardzo dobrymi kolegami, mobilizujemy się wzajemnie. Rywalizujemy ze sobą na krajowym podwórku.

W Birmingham ta zespółowość zagrała. Ty grałeś pierwsze skrzypce, ale generalnie świetnie spisaliście się jako drużyna.

Splendor trochę za bardzo splaya na mnie, ale ten sukces to jest suma wysiłku całej naszej czwórki i proszę to wyraźnie podkreślić. Zaczęliśmy bardzo dobrze, później ten poziom utrzymaliśmy, a ja to tylko wykończyłem.

Przed wami było wiele polskich sztafet z dużo bardziej znanymi nazwiskami, które aż o taki sukces nie były w stanie się pokusić...

Mam nadzieję, że teraz kibice zapamiętają nasze nazwiska. To, co się dzieje od momentu powrotu z Anglii, to jest coś niebywałego. Czuję się jak jakaś wielka gwiazda sportu, a wcale nią nie jestem. Wystarczy szybko pobiec i już jest człowiek popularny [śmiech]. Ale tak serio, to bardzo mnie to cieszy, że tyle radości byliśmy w stanie dać rodakom. Po tylu latach kłopotów, porażek, upokorzeń ma człowiek satysfakcję. To taka nagroda. Może pociągnie to do

treningów młodych ludzi. Przecież to piękna dyscyplina. Królowa sportu. I jak widać nie jest tak, że skazana tylko na zwycięstwa Amerykanów.

Ten rekord świata to jest kres wszystkich możliwości?

To jest właśnie najpiękniejsze w sporcie, że nie można tego jednoznacznie powiedzieć. Wszystko jest możliwe.

Interesujesz się piłką nożną i dobrze w nią podobno grałeś?

Tak, w juniorach byłem prawym pomocnikiem klubu Gopło. W mojej rodzinnej Kruszwicy. Kopaliśmy od rana do wieczora. Miałem do wyboru futbol albo wioślarstwo. Teraz grają w piątą lidze, śledzę wyniki, jestem na bieżąco.

Nie przebiłeś się? Z taką szybkością?

Miałem strasznie chude nogi, problemy z kolanami. Lekarz mi zabronił kopania piłki. Parę lat nic nie trenowałem. Biegać zacząłem dosyć późno, bo dopiero w pierwszej klasie liceum, w 2006 r. Miałem 17 lat.

Nie kalkulowałaś, że z piłki będziesz miał większe profity?

Nie, sport to sport. Nie patrzyło się w tamtym czasie na pieniądze. Od dziecka byłem aktywny ruchowo. Musiałem coś uprawiać. Trener z Kruszwicy Andrzej Luzak zaczął mnie namawiać na bieganie, ale ja nie chciałem. Uważałem zakładanie tych śmiesznych gaci za obciach. Jeździł za mną, namawiał mnie i w końcu się zdecydowałem. Dzięki niemu jestem tu, gdzie jestem.

Wiele wyrzeczeń cię to kosztowało?

No pewnie. Przecież to był okres gimnazjum, wiadomo, wiek buntowniczy. Chciało się podokazywać, z kumplami na piwko skoczyć. A tu trzeba było zasnąć dzień w dzień. Bez żadnej gwarancji, że coś z tego będzie. Muszę tu powiedzieć, że moi kumple, z którymi do dziś jestem w świetnych układach, nie ciągnęli mnie w złym kierunku. Zawsze mówili: „Kuba ty już nie, bo ty masz trening”. Życiowo mi pomogli. „Nie będziesz z nami pić czy balować. Ty się skup na treningach”. Chodziłem z nimi, ale się pilnowałem i oni mnie

pilnowali. Symbolicznie mogłem tylko delikatnie wychylić, żeby nie wyszło, że jestem abstynentem.

Rodzice cię kształtowali sportowo? Nie byli przeciwni treningom?

Wspierali mnie. Mama się zawsze bardzo cieszyła, jak coś wygrałem, bo wiedziała, że nie chodzę gdzie nie trzeba, nie szwendam się.

Czemu zostałeś kibicem Lecha Poznań?

Jak mówiłem, od dziecka interesowałem się piłką. Z Kruszwicy do Poznania jest blisko. Słuchałem transmisji w radiu Mercury ze wszystkich spotkań Lecha. Ciarki mnie przechodziły. Zaczęło się: Lech, Lech, Lech. Dzięki Lechowi przeprowadziłem się do Poznania. Po latach tułaczki w Krakowie i Wrocławiu.

Miłość do klubu miała wpływ na twój wybór miejsca zamieszkania?

Dokładnie tak. Mam dziewczynę, która studiowała w Poznaniu, ma też tutaj mnóstwo znajomych. Tutaj mieszka moja siostra. I do rodzinnego domu mam tylko godzinkę. No i kumple, z którymi spotykam się na trybunach stadionu.

Jeździłeś na mecze wyjazdowe za Lechem?

Nadal jeżdżę. Przygotowuję sobie mój terminarz treningów tak, aby jak najczęściej bywać na meczach Lecha. Nie byłem teraz w Warszawie na Legii tylko dlatego, że w tym samym czasie biegłem w Birmingham. O tym meczu chciałbym jak najszybciej zapomnieć. Przegraliśmy przez błąd sędziego, nawet nie chce mi się gadać.

Jak ktoś na ciebie powie „kibol”, to się obrażasz?

Nie, bo to jest słowo z gwary poznańskiej i ma pozytywne konotacje. U nas na Lechu każdy jest kibolem. To media stworzyły obraz kibola potwora, ale to temat na dłuższą dyskusję.

Twoje zacięcie patriotyczne wzięło się z trybun czy tak zostałeś wychowany?

Trybuny miały na to bardzo duży wpływ. Ale jako dziecko w szkole interesowałem się historią. Mój dziadek dużo mi opowiadał, jego ojciec zginął na wojnie. Zawsze zadawałem mnóstwo pytań. I jeszcze trafiłem na panią w szkole, która tak pięknie opowiadała o historii, że nie można się było oderwać. A trybuny, jak wiadomo, są mocno patriotyczne. Wciągnąłem się

Myszę, że Amerykanie byli w jeszcze większym szoku niż my. Z całej czwórki tylko ten zawodnik, z którym wygrałem, podszedł, podał mi rękę i pogratulował. Pozostali byli obrażeni, strasznie niezadowoleni z tego powodu, że jacyś Polacy wyrwali im to, co im się należało

w te wszystkie akcje, zbiórki, pomoc kombatanom, pamiętanie o wszystkich rocznicach. Kiedyś działałem prężniej, teraz mam trochę mniej czasu. Ale uważam, że o pamięć historyczną trzeba dbać, coraz bardziej się w niej zagłębiać, coraz bardziej się nią interesować.

To chyba jedyny moment, w którym kibic Lecha może pochwalić kibiców Legii za tę słynną oprawę z okazji powstania warszawskiego.

W takich sprawach kibice potrafią być zjednoczeni. Doceniamy tę warszawską prezentację. Jednym zdaniem zrobili więcej niż wielu polityków przez wiele lat. Chociaż niektóre media odebrały to źle. Ale co my możemy na to poradzić?

Jako człowiek o konserwatywnych poglądach masz czasem pod górkę?

W komentarzach często jestem nazywany nazistą albo faszystą. Bo kocham

swoją ojczyznę, wierzę w Boga i interesuję się historią. Szczerze mówiąc, zwiś mi to, co myślą jacyś internauci w kapciach. Ale mamę bolały takie obelgi pod moim adresem. Świat się bardzo zmienił. Kiedyś jak chodziłeś do kościoła i miałeś określone wartości, to było normalne i nikomu nie przeszkadzało. Teraz przeszkadza.

Gryziesz się w język, udzielając wywiadów?

Tak. Jeszcze parę lat temu każde odstępstwo od ogólnie przyjętej normy oznaczało, że klasyfikowano cię jako zwolennika PiS. Obrywam za hasło „Bóg, honor, ojczyzna”. Ci ludzie nie rozumieją, że nie zostało ono wymyślone przez tę partię. Jestem bezpartyjny, a jako żołnierz nie powinienem wypowiadać się na te tematy. A dziennikarze często dzwonią do mnie, chcą, żebym coś powiedział, łapią za słówko, później wybijają to do tytułu i sobie nim grają. Masakra.

Twoje tatuaże nie przeszkadzały w przyjęciu do wojska?

Zgodę dostałem, ale rozmowę z panią psycholog, która pytała, co oznaczają, musiałem odbyć.

Co masz wytatuowane?

„Bóg, honor, ojczyzna”. Szczerbiec – miecz koronacyjny królów Polski, symbol Polski Walczącej, zwrotki piosenki „Wojenko, wojenko”, polskich ułanów i napis wrzesień 1939.

Ludzie mieli łzy w oczach, gdy pa-trzyli, jak biegleś po złoto, a później całowałeś orzełka. To też manifestacja patriotyczna?

Wszyscy całowaliśmy orzełka. Wiem, bo patrzę też na innych sportowców, że występy w reprezentacji i świadomość, że reprezentujesz swój kraj, dodają mocy. I nie ma znaczenia, jakie kto ma poglądy.

W 2020 r. igrzyska olimpijskie w Tokio. Wszyscy będziecie już po trzydziestce. Dociągnięcie z taką formą?

Po tym, co udało się w Birmingham, uwierzyliśmy, że medal na igrzyskach jest możliwy.

Nieoczywiste połączenia

To zabawne, ale kiedy słyszę hasło „moje smaki”, pojawia się dość odległe wspomnienie... kaszki manny. Robionej na gęsto i polewanej równie gęstym sokiem z malin lub truskawek. Mama przynosiła mi ją do piaskownicy, do ogródka. Nie wiem dlaczego, ale właśnie tę scenę bardzo dobrze pamiętam. I tamten smak.

Od piętnastu lat – czyli tyłu, ile świeżuje w tym roku serial „Na Wspólnej” – jestem wegetarianką. Wszystko, co zielone, pobudza moje kubki smakowe. Uwielbiam też wszystko, co czerwone, ale świeże i warzywne.

Przechodzenie na dietę bezmięsną (także bez ryb) odbywało się stopniowo. Zainspirowali mnie i przekonali do takiego jedzenia ludzie, których poznawałam. Byli wśród nich postawni, przystojni i silni faceci. Burzyli stereotypy o męskości, która wymaga krwistego steku na talerzu.

Od kiedy odstawiłam mięso, czuję się lepiej. Procentuje to w moim życiu: w samopoczuciu, wyglądzie i wydolności, co mogę obserwować np. na siłowni. Po intensywnym treningu sięgam po sałatkę, czasem banana. Nie mam bzika na punkcie diety. Ale orzechy, różnych rodzajów, znajdują się zawsze pod ręką. Jak chyba u każdego wegetarianina. Warzywa i owoce również. Także te dziś bez problemu dostępne, a dawniej poznawane podczas egzotycznych podróży, np. marakuja czy papaja.

Papaję uwielbiam od czasu, gdy skosztowałam jej na Kubie. Z wczesnych podróży, tym razem do Włoch, przywiozłam też inny smak: rukoli, wtedy w Polsce zupełnie nieznanej. Pamiętam pierwszą myśl: „Co to za zielsko na pizzę”... Szybko stałam się wierną fanką tego „zielska”.

Odkryciem były również smaki Tajlandii. Po powrocie z Azji wprowadziłam do swojej kuchni mleko kokosowe i deser mango sticky rice. Nie miałam ambicji odtwarzania w domu innych azjatyckich dań. Do dziś wolę je odnajdywać w restauracjach. W ich ofercie szukam też ciekawych smaków pochodzących z innych kuchni i oryginalnych rozwiązań.

Jakiś czas temu zaskoczyło mnie carpaccio z ananasa z... tymiankiem, świeżym pieprzem i sokiem z limonki. W życiu na takie zestawienie bym nie wpadła, a dziś to jeden z moich ulubionych deserów.

Uwielbiam połączenie ostrego ze słodkim. W jednym z moich popisowych ciast – wariacji na temat marchewkowego – obok daktyli i orzechów włoskich jest chili. W pierwszym momencie czuje się słodczy, mija chwila i zaczyna delikatnie szczytać w język. Chili dodaje również do gorącej czekolady. Podbija znany smak, podkręca go. Tak, w kuchni też lubię szukać nieoczywistych połączeń.

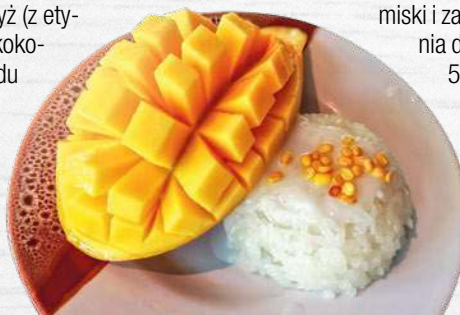
Notowała **Jolanta Gajda-Zadworna**



Mango sticky rice

Składniki: Mocno dojrzałe mango, kleisty ryż (z etykieta: „sticky” lub „glutinous rice”), mleko kokosowe, szczypta soli i cukru (ew. odrobina miodu lub syropu z agawy). Do posypania: ziarna sezamu lub orzeszki.

Przygotowanie: Gotujemy osobno: ryż (namoczony wcześniej, najlepiej przez noc; optymalne byłoby ugotowanie go na parze) oraz mleko kokosowe z solą i cukrem (ew. miodem). Ryż przekładamy do



miski i zalewamy mlekiem (trochę zostawiamy do polania deseru). Dokładnie mieszamy i odstawiamy na 5–10 min. Formujemy ubity ryż. Obok na talerzu układamy mango (np. w formie jeża: z półówek mango oddzielamy miąższ od skórki i kroimy w kostkę, ale nie do końca, by po wywinieciu skórki wyglądała jak „kolce”). Podajemy osobno resztę mleka. Deser posypujemy sezamem lub orzechami. Serwujemy na ciepło.

Fot. Mateusz Zelnik, Shutterstock



SŁODKO-SŁONY

Dukatorwa bryndza

ANNA MONICKA

Ale bryndza – mówimy, gdy coś nam się nie podoba albo nie smakuje. Przyklejamy przy okazji etykietkę „gorszego” do pysznego góralskiego sera, jednego z najlepszych lokalnych polskich smakołyków. A przy tym wszechstronnego, który można jeść saute, prosto od owcy, bo oryginał jest zwykle owczy, od polskiej owcy górskiej, ewentualnie z domieszką mleka krowiego (nie więcej niż 40 proc.), albo jako dodatek do bardzo czasem luksusowych i wymyślnych dań kuchni fusion.

Górale wytwarzają bryndzę od maja do września, gdy owce skubią sobie na łąkach trawę, więc zależnie od miesiąca i tego, co akurat rośnie na pastwiskach, ser może mieć nieco inny smak – mniej lub bardziej ostry. Wszystko zależy od tego, jakie olejki eteryczne z ziół czy kwiatów przenikną do mleka, nadając serowi jedyny w swoim rodzaju smak i kolor – ani biały, ani żółty, taki o lekko zielonkawym odcieniu.

Metoda wytwarzania jest podobna na Słowacji, Węgrzech, Ukrainie, w Polsce, a recepturę przynieśli do nas Wołosi, prapradziadkowie dzisiejszych Rumunów, którzy wypasali zwierzęta na halach wzdłuż całych Karpat. Wzmianki o bryndzy pochodzą z początku XV w. Juhasi płacili nią daninę panu, była więc środkiem płatniczym jak dukaty. Ładna mi bryndza!

Nie da się jej nakupować niestety na zapas, a do naszego bacy nie zawsze jest barani skok. Z tych sklepowych zdecydowanie najlepsze są słowacka Slatina w kostce i nasz Sobik w plastikowym pojemniczku – obie idealne na kanapki, zwłaszcza z pumpernikla albo domowego żytniego chleba, do faszerowania zapiekaneek, warzyw (papryka czy pieczarki z serem i orzechami, śliwki lub morele z bryndzą zamiast pestki), do pierogów (wychodzą takie ostrzejsze ruskie, absolutnie genialne z boczekiem) albo zup. Moja ulubiona – kartoflany krem z bryndzą – bije rekordy, ale warto też spróbować kremu pomidorowego doprawionego zamiast śmietaną tym właśnie ostrym serem, który trzeba dobrze roztrząpać. Taka zupa, obficie posypana koprem, podawana z grzankami, ma szansę podbić serca nawet wybrednych smakoszy. Podobnie zapiekanki z serowym nadzieniem. Zamiast bieluchów do kieszki wystarczy wziąć dwie bryndze – smak ze słodkawego robi się natychmiast ostrzejszy, dzikszy. Oj, marzy mi się wyprawa w góry.

Fot. Shutterstock

WINNICA

MAZURKA

W dębie kapany

ROBERT MAZUREK

Jako dobrowolny krytyk winiarski skazany jestem na pisanie w rytmie kolejnych ofert największych rynkowych sieci. A co, jeśli taka Biedronka w ciągu miesiąca wrzuca trzecią partię win? I tak po Hiszpanii i Włoszech przyszedł czas na Portugalię. Żeby było zabawniej, będzie to w tej rubryce trzeci tydzień z rzędu, w którym pojawiają się portugalskie wina.

No cóż, ale za to zacznijmy odwrotnie, czyli od deserów, bo są tu i porto (pisałem o nich dwa tygodnie temu), i madera (w zeszłym tygodniu). Wygląda na to, że pijałne, i to nie bez przyjemności, jest jedno z dwóch porto – **Martinez Port LBV 2012** za 30 zł (ale już 44 zł za dwa). Niestety **Miles Madeira** jest rozpaczliwym połączeniem bimbru z karmelem i wolałbym za 25 zł kupić sobie sznur, by się powiesić.

A co poza tym? Jak zwykle sporo etykiet dobrze znanych (Monte de Ravasqueira, Herdado dos Grous, Paco do Monsul etc.) i jak zawsze vinho verde, tym razem taniutkie (po 10 zł, gdy kupimy dwa) **Ponte de Barca 2016** – smakuje ciut lepiej, niż kosztuje. Jeśli zechcecie wam się wiosny w kieliszku, to sięgnijcie po **Tons de Duorum 2017** – to całkiem udane wino codzienne, o miłym cytrusowo-kwiatowym bukietcie, świeże, rześkie i lekkie. Wodniste? Trochę, ale jak już się ociepli, to na ławce w parku się sprawdzi. Aha, nie zapomnijcie zabrać do parku porządnego kieliszka.

A co z czerwieni? Prócz tego, co zawsze, jest **Vinha dos Freires 2015** (20 zł) od znanego producenta Vallado. Jeśli ktoś lubi beczkową wanilię i trochę dżemu, to znalazł swoje wino. Podobne, choć trochę fajniejsze, jest **Confidencial Reserva 2013**, chęlnie się 91 punktami w ocenie redaktorów „Wine Enthusiast”. Tu prócz beczki są jednak wyczuwalne owoce i całkiem udany balans. Nic wielkiego, ale sympatyczne.

Dao to portugalska apelacja przeżywająca w ciągu ostatniej dekady bodaj największy rozwój. Tu mamy mocno owocowe, lekko budyniowe **Pedra Cancela 2015** – nie mój styl, ale wiem, że bardzo się spodoba.



Tons de Duorum 2017
19 zł



Confidencial Reserva 2013
18 zł



Pedra Cancela 2015
19 zł

Biedronka.pl

robert.mazurek@hotmail.com, @wina_Mazurka

W ogniu polsko-izraelskiego sporu o ustawę IPN pewien rysownik opublikował pracę podpisaną „#Polish Holocaust” (aluzja do sławnego filmiku, w którym rozmaici amerykańscy Żydzi wypowiadają tę formułkę w proteście przeciw tej ustawie), przedstawiającą kłęzącego człowieka, któremu strzelają w głowę oznaczony swastyką esesman i enkawudzista. Ten ostatni oznaczony czerwoną gwiazdą Dawida.

Trudno o bardziej bijącą po oczach manifestację zjawiska pt. „na zarzuty dotyczące zachowania Polaków wobec Żydów w czasie okupacji odpowiedzmy litanią nazwisk komunistycznych morderców żydowskiego pochodzenia”. To psychologicznie zrozumiałe. Poziom hucpiarskiej agresji i beczelności dużej części żydowskich ataków na Polskę jest taki, że usprawiedliwia nawet bardzo emocjonalne reakcje. Niemniej tego rodzaju odpowiedź zdradza niezrozumienie historii, bo opiera się na zestawieniu rzeczy zupełnie różnych, niezestawialnych. Niezestawialnych z dwóch względów. Dlaczego?

Po pierwsze dlatego, że choć wielu odrzuca słynne zdanie, iż „Żyd, który stawał się komunistą, przestawał być Żydem” jako absurdalne, to wcale nie mają racji. Twierdzący tak mówią, iż równie dobrze moglibyśmy powiedzieć, że Polak, który stawał się komunistą, przestawał być Polakiem. A przecież taki Polak, jakkolwiek dalece odrzuciłby polski patriotyzm, Polakiem być nie przestawał, więc i z Żydem to absurd.

Tylko że wcale nie. A to dlatego, że przyjęcie ideologii komunistycznej w latach 20., 30. czy 40. XX w. oznaczało w wypadku jakiegokolwiek nie-Żyda i Żyda coś diametralnie różnego. Obaj oczywiście przyjmowali postawę radykalnego internacjonalizmu, akceptowali też zasadę totalnego podporządkowania moskiewskiemu centrum, ale w wypadku komunisty żydowskiego to wszystko musiało iść głębiej. Doktryna odnosiła się bowiem do samego faktu istnienia narodu, z którego wyszedł, inaczej niż do istnienia wszystkich innych narodów. Taka np. Polska w wyobrażonym świecie po ostatecznym zwycięstwie komunizmu nie byłaby oczywiście niepodległa, ale pozostałaby jedną z równouprawnionych republik Stanów Zjednoczonych Świata. Polski naród zaś, tak jak i inne narody, w myśl bolszewickich wizji w końcu kiedyś tam rozmyłby się w szczęśliwej, wyrastającej z narodowości ludzkości. Ale dopiero kiedyś tam, w nieokreślonej przyszłości. I razem z wszystkimi innymi.

Nie jako Żydzi

PIOTR SKWIECIŃSKI



Dlaczego czerwona gwiazda Dawida jest absurdem?

Tymczasem z Żydami było inaczej. Dogmatem, który komunista pochodzenia żydowskiego musiał przyjąć, było nieistnienie narodu, z którego wyszedł. Po zwycięstwie rewolucji Żydzi mieli być uwolnieni od antysemickich opresji, bo w ogóle przesady etniczne miały być z założenia nieproletariackie i jako takie – wyniszczone. Ale natychmiast potem uszczęśliwieni Żydzi mieli przestać istnieć jako zbiorowość. Nie kiedyś tam, tylko już teraz. Mieli uznać swoje „obiektywne” nieistnienie i asymilować się w ramach narodów, wśród których żyją. Przedmiotem uwielbienia ze strony żydowskich komunistów był jasnowłosy, komunistyczny, polski etnicznie proletariusz. Żydowski inteligent miał przestać być Żydem, miał służyć temu polskiemu robotnikowi i jak najszybciej stać się nim.

Innymi słowy – poziom narodowej apostazji, której musiał się dopuścić żydowski komunista, był radykalnie wyższy niż stopień narodowego odstępstwa, które musiał zaakceptować jego etnicznie polski towarzysz.

I m.in. dlatego uznawanie, że żydowscy enkawudziści mordowali Polaków jako Żydzi, w jakimkolwiek znaczeniu tej frazy jest absurdalne. Ci zaś Polacy, którzy zabijali Żydów, czynili to subiektywnie – na dnie swoich chorych dusz – właśnie jako Polacy. Kierując się nacjonalistycznymi emocjami lub przynajmniej szukając w nich usprawiedliwienia.

Istnieje też druga przyczyna absurdalności zestawiania zbrodni tych Polaków, którzy w czasie okupacji mordowali Żydów, ze zbrodniami tych żydowskich

komunistów, którzy mordowali Polaków. Otóż ci pierwsi, niezależnie od tego, jak bardzo zarazem nienawidzili Niemców, obiektywnie uczestniczyli w realizacji niemieckiego planu całkowitej fizycznej eliminacji wszystkich Żydów, więcej – wszystkich ludzi pochodzenia żydowskiego, w skali całej planety. Natomiast żydowscy z pochodzenia enkawudziści, jakkolwiek byli okrutni i jak bardzo zasługiwali na najsurowszą karę, nie uczestniczyli w planie wymordowania wszystkich Polaków i likwidacji naszego narodu, bo takiego planu po prostu nie było. Gdyż za jakkolwiek dalece zbrodniczą by uznać próbę siłowego z bolszewizowania Polaków poprzez brutalne stłumienie ich oporu i nawet masowe morderstwa ich elit, nie stał za nią projekt dokonania fizycznej zagłady wszystkich członków naszej nacji ani likwidacji narodu jako bytu politycznego czy etnicznego. I to jednak jest etyczna różnica.

A wszystko to nie zmienia w żaden sposób faktu, że schwytany enkawudowski morderca powinien oczywiście być powieszony na pierwszym pobliskim drzewie. Również ten żydowski pochodzenia.

Uroki gniewu

Gniew, gniew popularyzowany zawsze budzi złe skojarzenia. Jest przejawem triumfu emocji nad racjonalną oceną świata. Mędrcy radzą zatem, aby wystrzegać się gniewu. Ba, są też tacy, którzy doradzają, aby w ogóle wyzbyc się wszelkich emocji i dopiero wtedy oceniać zjawiska i planować strategię. Szkoła Zimnych Analityków czasem jednak niewiele się różni od Cechu Zimnych Drani, którzy największe szalbierstwa i niegodziwości popełniają li tylko w imię zimnej kalkulacji.

Piszę zatem swój tekstik w obronie emocji, choć nie tych odczuć prymitywnych durniów, którzy potrafią jedynie dyszeć jak byki na arenach i jak te byki niechybnie kończą. Piszę w obronie emocji, które budzą się, gdy ktoś dotknie tabu, świętości, obrazi nasze poczucie dobra i sprawiedliwości. Emocje często niosą więcej dobrego niż te wszystkie makiaweliczne hokus-pokus.

Emocjonaliści są bardziej dynamiczni, jeżeli zatem wyzbędą się ślepej furii, nienawistnej żądzy odwetu, mogą zdziałać o wiele więcej niż zimni kalkulatorzy. Gdyby kalkulatorzy mieli udział w zbiorowych decyzjach naszego narodu, to pewnie do dziś dyszelibyśmy rozdarci między prusactwo, kacapię i austriackie gadanie. Możecie się zżymać na emocjonalistów, ale to oni dokonali niemożliwego, rozpalili lont, na którego końcu eksplodowała druga polska niepodległość.



**Witold
Gadowski**

Bronię emocji, także tych zbiorowych, ważne jest jednak ich natężenie. Musimy bowiem baczyć, aby poziom emocji nigdy nie osiągnął takiego wrzenia, za którym zaczyna się już tylko prosta, socjotechniczna manipulacja. Racjonalna pozostaje zatem jedynie ocena faktu, czy nasze emocje są jeszcze nasze, czy też są już wzbudzone i podgrzewane przez kogoś z zewnątrz. Dlaczego tak się uparłem, aby bronić emocji w polityce, w życiu społecznym? Bo są szczere, prawdziwe, bo służą wzmocnieniu naszych więzi, bo bronią nas przez arktycznym chłodem współczesnych, globalnych kalkulacji.

Istnieje szczególna kategoria gniewu, czysta i szczerza. To święty gniew, który powstaje, gdy depczą nam sacrum, wartości najważniejsze dla naszej wspólnoty, gdy gwałcą nasze – wypracowane w indywidualnych i zbiorowych sumieniach – poczucie sprawiedliwości. Istnieją momenty, gdy należy owym świętym gniewem wybuchnąć, gwałtownie wystąpić w obronie spraw, które są nienaruszalne. Świętym gniewem zapalał Jezus, gdy ujrzał przekupniów w świątyni, i z powrozów skręcił bicz.

Świętym gniewem zapalają Polacy, gdy kolejny rząd nie spełni pokładanych w nim nadziei, a całe gadanie wokół okaże się sprytną ściemną. Dobra zmiana, módl się, abyśmy nie zapalali świętym gniewem, bo wtedy – jak kamienie z piosenki Krystyny Prońko – „polecimy jak lawina. Przez noc, przez noc”.

Science fiction

Uwielbiam kino futurystyczne, nawet z wizją niezbyt odległej przyszłości. Z utęsknieniem czekam na film SF o Europie za 10–20 lat. To spore wyzwanie dla wyobraźni filmowców. I znacznie większe dla ich odwagi. Puśćmy zatem wodze fantazji...

Rok 2028. Regularna wojna z dżihadem podpaliła Stary Kontynent. Bruksela przypomina Aleppo sprzed dekady. Sparaliżowane są transport, przemysł, energetyka, telekomunikacja, kuleje zaopatrzenie. Hiperinflacja zmiotła euro, funkcjonuje prosty handel wymienny (broń i amunicja za żywność i wodę itp.). Morzem, lądem i powietrznymi mostami bojownicy islamscy są przerzucani wprost do serca Europy. Tubylcy próbują przetrwać, gromadząc się w chronionych jak warownie osadach. Trwa masowy exodus Szwedów przez Bałtyk (łodziami, pontonami, kajakami). Polska straż graniczna dokładnie sprawdza tożsamość uchodźców i rozmieszcza ich w prowizorycznych obozach. Szwedzki rząd, by zapobiec masakrze, przekazuje pełnię władzy partii muzułmańskiej. Podobne rozmowy prowadzone

przez władze Niemiec torpedowane są przez odradzający się na terenie dawnej NRD ruch faszystowski. Francja płonie, porzucone przez personel elektrownie jądrowe po kolei eksplodują. Wielka Brytania wysadza tunel pod kanałem La Manche, odcinając się od kontynentu. Nocami u wybrzeży Normandii odprawiają się w kierunku Wysp szybkie łodzie desantowe wypełnione uzbrojonymi terrorystami.

Granice państw Grupy Wyszehradzkiej pokrywają zasieki i umocnienia. Środkowa Europa przygotowuje się do obrony. Rosja po zajęciu Ukrainy liże rany. Tymczasem Chiny cichaczem kolonizują Syberię...

PS Możliwy jest też inny sensacyjny scenariusz: Unia Europejska kwitnie. Zintegrowani, pracowici imigranci z zapalem pomnażają PKB goszczących ich krajów. Wraz z wejściem demokratycznej Rosji do strefy Schengen otwiera się nowy, ogromny rynek zbytu. I zaopatrzenie w tanie surowce na kilkadziesiąt lat... Wystarczy! Fantazja też ma swoje granice.



**Lech
Makowiecki**

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Degradacja niemal masowa

Degradacja Jaruzelskiego i Kiszcza wzbudziła może i mój entuzjazm, tylko gdyby była początkiem takich rozliczeń. Rozliczeń już mocno spóźnionych, których brak ciąży na naszej historii jak wyrzut sumienia, jak schowany w szafie trup. Nie bardzo rozumiem, dlaczego degradacje i pozbawienie generalskich przywilejów miałyby dotyczyć tylko oficerów z tzw. Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, czyli rzeczywistych wykonawców tragedii stanu wojennego i dotkliwego zahamowania na długie lata rozwoju Polski w każdym jej wymiarze?

A co z generałami, pułkownikami, majorami i innymi sługusami nieludzkiego systemu z kręgu Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego? Ma im to być puszczone płazem? Nadal mają żyć z oficerskich emerytur? Przecież to byli najprawdziwsi utrwalacze komunistycznego reżimu! Nietykalni?! To oni stanowili „wyrobiony klasowo” trzon matiuszki PZPR. A co z oficerami politrukami w poszczególnych okręgach i jednostkach? W wojsku mogło nie być czolgów, armat czy naboju, ale oficer polityczny musiał być zawsze. I to on de facto tym bajzłem zarządzał. Zmuszał do oglądania propagandowej tuby PZPR, czyli „Dziennika Telewizyjnego”, był w kontakcie z ówczesnym kontrwywiadem, donosząc na podejrzanych politycznie żołnierzy, wyjaśniał zdradziecki charakter polskiej opozycji, pomniejszał albo wręcz ignorował rolę Armii Krajowej, oskarżał Kościół o to, co mu tylko przyszło do głowy. A pisać to z doświadczenia – po studiach bowiem tzw. ludowe wojsko się o mnie skutecznie upominało.

A co z politrukiem z Braniewa, który „szkoląc” nas politycznie, urągał papieżowi? Też pewnie mu ujdzie na sucho. A pamiętam jak ten wielki, obleśny tłuszcioch rechotał, opowiadając zupackie kawały o Janie Pawle II. Tylko jego one śmieszyły. Jak przy tym bluzał! Zresztą bluzał zawsze i wszędzie. A co z kapitanem politycznym z Głogowa nakłaniającym nas do stworzenia koła ZMP? Pamiętam jego wielkie oczy, gdy jeden z kolegów wstał i powiedział, że sobie takiej agitacji nie życzy. Całe lata później ów kolega został wojewodą mazowieckim. Ale po tym wybryku już do końca był na widelcu politruka i jego koleśków.

A co z chorążym, też z Braniewa, którego nazywaliśmy „insektem”, który nas tak nienawidził, że aż biegł na skargi

do politycznego? Omal nie zarobił w pysk po tym, jak nazwał mnie „zas...nym polskim inteligentem” i odgrażał się, że idą zmiany i znaczek „Solidarności” będą teraz ludziom w „d... wciskać”. Tak się cieszył z władzy junty. Ten głąb też bierze emeryturę?! Ale chyba za postawę polityczną, bo z armatą szło mu gorzej niż zwykłemu rekrutowi. Głupek zupełnie nic nie potrafił, chociaż służył w artylerii.

A jakie są losy całkiem zwyczajnych oficerów, którzy wykazując się właściwą postawą ideową, zmuszali zwykłych żołnierzy do wstępowania do PZPR? Bo inaczej o urlop czy przepustkę będzie trudno, oj trudno. Mają zachować swoje gwiazdki?

A co z rzeszą redaktorów „Żołnierza Wolności”, podle gadzinówki komunistycznego wojska? Jednej z dwóch bodaj (obok gadzinówki cywilnej – „Trybuny Ludu”), której nie zawieszono natychmiast po ogłoszeniu przez Jaruzelskiego wojny? Co robią dzisiaj tamci mundurowi „dziennikarze”, biorą wojskowe emerytury? Takie prawo?

A jakie emerytury mają ci wszyscy wojskowi profesorowie, specjaliści od historii narodów ZSRR, falszerze II wojny, pseudosocjologowie, autorzy bohaterskiej historii walk z „bandami” i czerwonymi karłami reakcji, fachowcy od ofensywy światopoglądowej?

Jaruzelski wspólnie z Kiszcza, Oliwą i kim tam jeszcze nie zrobiłby nic, gdyby nie mieli mocnego oparcia w awansującym na coraz to wyższe stopnie zaplecza politycznych sprzedawczyków, tępych ideologów, cynicznych karierowiczów, nieuków i pospolitych durniów. Oni też wszyscy do degradacji! Nie można im tego odpuścić, bo tego grzechu nie odpuszczą nam przyszłe pokolenia. I nie ludźmy się, i przestańmy fantazjować, że to było jakieś polskie wojsko. To była armia pod dowództwem Kremla, gotowa do uderzenia w Czechów w 1968 r., w robotników gdańskich w 1970 r., we współobywateli w 1981 r. Doskonale wiedzieli to wszyscy zawodowi żołnierze. I wiedzieli, na co się decydują. To była świadoma gra za darmowy wikt i opierunek, za Wojskową Centralę Handlową (tzw. WCH), za niemal bezpłatne ośrodki wypoczynkowe, wczasy, mieszkania służbowe i wojskowe polikliniki. To była armia, która przysięgała wierność okupantowi i gdy chciał, to była mu posłuszna.

Zatem degradujmy i rozliczajmy, ale do końca. Inaczej będą to tylko pozory i nieszczerza spowiedź.



**Aleksander
Nalaskowski**

*I nie ludźmy się, i przestańmy
fantazjować, że to było jakieś
polskie wojsko. To była armia
pod dowództwem Kremla*

Zysk Polregio drugi rok z rzędu

*Na przełomie tego i przyszłego roku zamierzamy przekształcić Przewozy Regionalne w spółkę akcyjną. Do tego czasu w pełni zrealizujemy wdrażany plan restrukturyzacyjny – mówi w wywiadzie dla „Gazety Bankowej” **Krzysztof Zgorzelski**, prezes Przewozów Regionalnych*

To już drugi rok od czasu, kiedy Agencja Rozwoju Przemysłu zdecydowała się wesprzeć Przewozy Regionalne. Czy jest to dobry moment na wstępne podsumowanie tego okresu?

Krzysztof Zgorzelski, prezes Przewozów Regionalnych: Podstawową korzyścią zaangażowania ARP w Polregio jest to, że po raz pierwszy w historii spółki wdrażany plan restrukturyzacyjny zostanie w pełni zrealizowany. Wejście jednego, dużego udziałowca – w tym przypadku mam na myśli ARP – pozwala efektywnie zarządzać spółką. Z końcem tego roku zamierzamy sfinalizować program restrukturyzacji, a jego zwińczeniem będzie przekształcenie Polregio w spółkę akcyjną. Udzielona w 2015 r. pomoc publiczna na restrukturyzację wprowadza ograniczenia i przez to – przynajmniej do końca trwania restrukturyzacji – spółka nie może rozszerzać swojej działalności na inne segmenty rynku przewozów pasażerskich.

A jakim wynikiem Przewozy Regionalne zakończyły ubiegły rok, czy będzie powtórka z 2016 r.?

Spółka po raz pierwszy zanotowała dodatni wynik finansowy z prowadzonej działalności podstawowej za 2016 r. i zamknęła go zyskiem w wysokości 51,2 mln zł. W 2017 r. wynik ten będzie lepszy w porównaniu z rokiem poprzednim i tym samym będzie to drugi rok z rzędu, kiedy Polregio zanotuje zyski. Dodatni wynik w spółce pojawił się jeden raz, w 2007 r., ale było to wynik jednorazowych zdarzeń, a nie efekt właściwej działalności spółki.

Udział Polregio w krajowym – rosnącym – rynku przewozów pasażerskich według danych Urzędu Trans-

portu Kolejowego wyniósł w 2017 r. 26,31 proc. To wynik nieznacznie słabszy od 2016 r., kiedy udział ten wynosił 27,16 proc. Jakie są powody tego spadku?

Cieszy nas to, że rośnie ogólna liczba pasażerów, ale, jak wspomniałem, wprowadzany program restrukturyzacyjny uniemożliwia rozwijanie działalności. Ten malejący udział w rynku jest właśnie efektem ograniczeń wynikających z restrukturyzacji. Jednocześnie jest to wskaźnik, który powinien rozwiać wątpliwości ze strony Komisji Europejskiej, czy przypadkiem spółka nie uzyskuje nadmiernej pomocy publicznej.

Jak przebiega zapowiadany w ramach restrukturyzacji proces modernizacji i wymiany taboru kolejowego?

Nasza strategia przewiduje m.in. modernizację 36 EN57,5 ED72 jest w trakcie modernizacji, a do końca miesiąca planujemy uruchomienie opcji na kolejny, czyli 6. Już jeździ 5 autobusów szynowych, 3 nowe EZT (elektryczne zespoły trakcyjne) typu Impuls 2 oraz odebraliśmy kolejne 4 EZT typu Elf II, które w marcu trafią na tory w woj. kujawsko-pomorskim. Przypomnę, że do końca tego roku na tory trafi ponad 50 zmodernizowanych lub nowych pojazdów. W zeszłym roku ogłosiliśmy także przetarg na dzierżawę 14 zmodernizowanych EZT. Strategia taborowa zakłada, że zapotrzebowanie na fabrycznie nowe EZT na najbliższe lata to 238 pociągów. Ponadto w październiku 2017 r. podpisaliśmy umowę z firmą Kolporter, dzięki czemu nasze bilety są dostępne w ponad 800 salonikach prasowych na terenie całej Polski. Obecnie planujemy wyposażenie obsługi pociągów w terminale płatnicze, aby pasażerowie

mogli zapłacić u konduktora za bilet kartą płatniczą, oraz ogłosiliśmy konkurs na nowy system sprzedaży biletów. Nasze działania są ukierunkowane na przygotowanie spółki do rentownej działalności na konkurencyjnym rynku. Między innymi temu służyło wprowadzenie w grudniu 2016 r. nowej marki – Polregio.

Czy udało się zarządowi porozumieć ze związkami zawodowymi w sprawie podwyżek wynagrodzeń? Strona społeczna zapowiadała bowiem, że jeśli nie dojdzie do porozumienia, może ogłosić strajk.

Plan restrukturyzacyjny nakłada na nas znaczne ograniczenia, w tym te związane z ewentualnymi podwyżkami wynagrodzeń. Strona społeczna zobowiązała się do respektowania tych założeń, jednak ze względu na zmiany na rynku pracy pojawiły się żądania płacowe. Nie jestem tym zdziwiony, gdyż ostatnie systemowe podwyżki zostały wprowadzone w spółce w sierpniu 2011 r. i od tamtej pory nie było żadnych. Zarząd mierząc się z tym problemem, przekonał udziałowców, żeby zmienić te zapisy. Zaproponowaliśmy – po raz pierwszy od tak długiego czasu – podwyżki systemowe w kwocie, na którą mogliśmy sobie pozwolić. Niestety, związki zawodowe nie były usatysfakcjonowane naszą propozycją, stąd po zakończeniu rokowań musieliśmy zwrócić się do kogoś, kto podejmie się mediacji między spółką a związkami zawodowymi. Być może wpływ na tę sytuację mają również zbliżające się wybory w centralach związkowych. Obecnie przechodzimy do etapu mediacji i liczymy, że zakończy się on porozumieniem dobrym zarówno dla spółki jak i jej pracowników.

Dziękuję za rozmowę.

ROBERT MAZUREK

Wąsy prezesa

Nareszcie! Nareszcie mamy właściwy wehikuł, naszą MaBeNę wytęsknioną, przez tyle pokoleń lunatyków wieszczoną, naszą ustawę, która światu pokaże tak, że się nie pozbiera i która oczy otworzy niedowiarkom. Na początek tak pierdyknijemy z MaBeNy w Argentynę, że nam Patagonię odda i jeszcze ją tu sama przywiezie.

Ale ściganie argentyńskich gazet i banderowców to stanowczo za mało jak na ambicję dobrej, co ja mówię dobrej, wspaniałej zmiany! Efekty są – trzeba to przyznać – świetne, ale nie beznadziejne. Czyli połowiczne. Bo faktycznie jeszcze nigdy nie mówiło się na świecie tyle o polskiej historii, zwłaszcza historii wojennej. I jest to bez wątpienia sukces. Teraz trzeba tylko sprawić, by mówili dobrze.

To jednak nie powinno być problemem, zwłaszcza dla naszych, chwilowo nieco zamroczonych sukcesem – bo nie sądzę, by nawet wąsy prezesa Ś. przewidziały aż taki rezonans – fachowych kadr. Gdyby jednak zastępy tutejszych lunatyków chwilowo nie miały pomysłu, to moja osoba ma swój.

Otóż może by tak drugą ustawę zmajstrować? Tym razem nie z karami, ale z zachętami, wiecie, że skoro jest kij, to niech będzie i marchewka? Tu też jakiś taryfikator wyraźny powinien być, bo jednak za wyskrobanie na Tadz Mahal „Tu byłem. Józef Tkaczuk (Tony Halik)” to nawet zwrot kosztów szczyryka się nie należy, ale już większe zasługi dla propagowania polskości? Mam swoje pomysły, ale najpierw coś, czego ustawodawca wymaga, czyli finansowe skutki regulacji. Otóż zero, czyli nul. Jak to? Ano ciężką forszę, którą czerpać będziemy z puszczenia z torbami argentyńskich gazetek i Baracka Obamy, przeznaczamy wprost na zachęty. Takie perpetuum mobile. Ha, a mój nauczyciel prac ręcznych mówił, że ja to niczego nie wymyślę, ale to komunista był.

Zachęcać powinniśmy dużych i małych. I tak za wysmarowanie na murze w Pradze metrowymi literami – sam widziałem w 1990 r. – „Korona Kielce mistrzem Polski”

*Za telebim na Piccadilly Circus
„Wolę Myszkę Agresorkę
od Theresy May” oddałbym
Ostrołękę*

to nie tylko zwrot kosztów podróży się należy, lecz i płyn do mycia rąk. Ale gdyby tak na Bramie Brandenburskiej machnąć „Angela Merkel myje nogi w wodzie po pierogach”? Tu kolacja z Magdaleną Ogórek i Brązowy Krzyż Zasługi co najmniej. Za telebim na Piccadilly Circus „Wolę Myszkę Agresorkę od Theresy May”

oddalbym Ostrołękę.

W ogóle taka miejska partyzantka wydaje się najskuteczniejsza i jednak tańsza niż całostronicowe reklamy w „New York Timesie” czy „Jerusalem Post”. Można oczywiście partnerstwo publiczno-prywatne do tego wciągnąć. Wyobrażacie sobie koło Ściany Płaczu sklepik ze swojskim napisem „Biedronka. Codziennie niskie ceny”? Hm, nie, to jednak nie to. Naturalnie można „Polska Pany” na pomniku Minina i Pożarskiego na placu Czerwonym machnąć, ale to tak jakby Ruskom wojnę wypowiedzieć.

Tu trzeba subtelniej i punktowo. Ot, francuskiemu brukowcowi podspinać tekst o tym, że w marsylskiej knajpce pobili się o dziewczyny z naszej Manify. I że nie chcą burgundów pić, tylko jabole. Albo flamastrami w londyńskim metrze pisać „Olej Karaiby, Siedlce zapraszają”. Może być po angielsku, nie upieram się. Zresztą turystyka to w ogóle jest genialny pomysł. Na początek puściłbym fake newsa, że prezydent Malediwów pan Abdullah Jamin dom pod Sosnowcem sobie kupił. Bo lubi.

I wrzucić zdjęcia domu, zrosłać po świecie. I co? Jest fejm?

To co, robimy tę ustawę, nie? Teraz trzeba tylko kilku lunatyków z PiS namówić, potem kukizowców poprosić, by coś o Ukrainie dodali, i jedziemy. Całość pilotować będzie Patryk Jaki. Jaki się wyrobimy, to przed Dniem Niepodległości Izraela zdążymy.

PS Artykuł jest sponsorowany przez władze Siedlec i Sosnowca. Malediwy odmówiły.

robert.mazurek@hotmail.com



Mariaż Lubnauer?

Nasza redakcja, mimo perfidnych ataków polskiej prawicy, nieustannie cieszy się ogromnym zaufaniem czynników politycznych pozostałych opcji. Nie bez podstaw widzą one w nas medialnego reprezentanta ich niezgłębionych pokładów patriotyzmu. Koronnym tego dowodem jest przekazany nam poufną drogą list liderki Nowoczesnej Katarzyny Lubnauer do przewodniczącego Rady Europejskiej Donalda Tuska. List ten w całości publikujemy poniżej.

„Szanowny Panie Przewodniczący, kiedy piszę te słowa, ręka mi drży ze wzruszenia, ból ściska gardło, gdyż nie mogę uciec od myśli, w jak wielkim niebezpieczeństwie znajduje się nasza ukochana ojczyzna. I to akurat w 50. rocznicę Marca '68, znamienitych wydarzeń w naszych najnowszych dziejach. Nie czas jednak na łzawe wynurzenia o moim osobistym udręczeniu tragicznym losem Polski.

Dziś mam świadomość dwóch rzeczy. Nie ma chwili do stracenia, aby nie dopuścić do dalszego dewastowania Polski, do niszczenia wspaniałego dorobku niemal 30 ostatnich lat. Jest dla mnie też oczywiste, że pleniącym się z szybkością

chwastów zagrożeniom nie będę w stanie skutecznie się przeciwstawić bez pana aktywnego udziału. Niejednokrotnie służył pan wiernie krajowi swoimi czynami, które nie zawsze – trzeba prawdzie odważnie spojrzeć w oczy – przysparzały panu przyjaciół i sojuszników. Zresztą o wrogów wszędzie łatwo. Każdy z nas tego doświadcza. Ja w swojej partii również. Pozostawmy jednak te sprawy na boku, kiedy trzeba ratować od rozmontowywania ostatnie już przyczółki liberalnej demokracji. Przyjdzie jeszcze czas na wystawianie rachunków zdradliwym współpracownikom.

W celu omówienia szczegółów wspólnego działania jestem gotowa stawić się w Brukseli ze wstępnym zarysem strategii na najbliższe lata. Aby uniknąć podłych insynuacji mediów prawicowych, przyjadę na spotkanie w sposób nierzucający się w oczy. W nieodległych planach tej strategii przewiduję kongres zjednoczeniowy naszych partii.

Pod jednym wszakże warunkiem – bez obecnego przewodniczącego. Wierzę, że to założenie zaakceptuje pan z satysfakcją.



**Jerzy
Jachowicz**

CO MNIE NIEPOKOI

Mazurek Dąbrowskiego

Oglądałam sondę uliczną na temat wiedzy o polskim hymnie narodowym.

Dziennikarka, pani Ania, zadaje kobiecie w wieku dojrzałym pytanie: „Co może pani powiedzieć na temat polskiego hymnu? Jak się nazywa?”. „Międzynarodówka” – pada odpowiedź. I panią Anię wmurowało. Słucham? Kobieta powtarza: „Międzynarodówka”. Machnęła na panią Anię ręką i odeszła. Pani Ania nie traci nadziei i pyta młodego człowieka, podpowiadając: „Chciałam z panem porozmawiać o hymnie narodowym; jest taki mazurek...”. Myślałam, że zaraz palnie, że Chopina, ale nie, pewnie meloman nie z tej półki. Popatrzył na dziennikarkę i odpowiada: „Mazurek, mazurek... to na Wielkanoc będzie”.

Z następnymi odpytywanymi poszło jej lepiej. Młody kibic poprawnie wskazał „Mazurek Dąbrowskiego”. Mówił, że śpiewa z wielkim szacunkiem A jak na olimpiadzie biało-czerwona idzie w górę, to serce rośnie. Mnie też serce rosło. Następni także wiedzieli. Nie bardzo mogli sobie poradzić



**Katarzyna
Łaniewska**

z trzecią zwrotką. Drugą znali. W pierwszej się mylili i nie wiedzieli, czy jeszcze Polska nie zginęła, „póki” czy „kiedy” my żyjemy. Nie mogli się zdecydować. Natomiast w trzeciej zwrócić Czarniecki mylił im się z panem Ryszardem Czarnieckim. Dużo ostatnio się o nim mówiło, kiedy za sprawą Róży Thun pożegnał się z funkcją wiceprzewodniczącego Parlamentu Europejskiego. No ale mamy znakomitego następcę – pana prof. Zdzisława Krasnodębskiego.

Wracając do Czarnieckiego, który wracał do Poznania po szwedzkim zaborze, to pytani nie byli pewni, czy my, czy on się przez to morze wrócił. Ale było dużo lepiej. Nie wiem tylko, czy wszyscy

wiedzą, że hymnu polskiego słuchamy z godnością: stojąc na baczność, zdejmując czapki. Czasem na Krakowskim Przedmieściu obserwuję młodzież, kiedy rozbrzmiewa hymn pod koniec marszu pamięci prowadzącego z katedry pod Pałac Prezydencki; widzę, jak obojętnie przechodzą. Nawet papierosa z ust nie wyjmą. Dużo jest jeszcze do zrobienia. Zaczynamy od hymnu – śpiewajmy cztery zwrotki.

SKREŚLONE

Polkowski



TRENDY I OWĘDY

Telefon w konfesjonale

Kardynał Mauro Piacenza potępił „ateizm praktyczny”

Kościół boryka się z wyzwaniem technologicznymi XXI w. Ale o tej chorobie szarpającej stan kapłański nie śniło się z pewnością najsmaczniej sypiającym filozofom. Jak podaje Radio Watykańskie: „Ksiądz używający komórki



Ryszard Makowski

podczas spowiedzi dopuszcza się poważnego nadużycia. Niewyobrażalne jest, by w czasie sakramentu pokuty spowiednik równocześnie korzystał z mediów społecznościowych czy pisał SMS”. Najwyraźniej są takie przypadki, jeśli ta sprawa stała się na dorocznym watykańskim kursie forum wewnętrznego dla spowiedników z całego świata. I trzeba przyznać, że to rzeczywiście niewyobrażalne, żeby w tym samym czasie, kiedy człowiek po trudach sporządzania rachunku sumienia stara się oczyścić, marmocząc do drewnianej kratki, kapłan w najlepszym razie łapał pokemony albo wysyłał SMS: „Co dziś pysznego na obiad?”

Kardynał Mauro Piacenza kierujący Penitencjarią Apostolską i mający tytuł penitencjarza większego, uważa, że niedopuszczalna jest „sytuacja, w której spowiednik wchodzi do konfesjonału z włączonym telefonem”. Nazywa to „ateizmem praktycznym”, który „ukazuje kruchość wiary samego spowiednika w to nadprzyrodzone wydarzenie łaski”.

Dobrze, że Kościół stara się wypłenić grzech, ale gdyby nie upublicznienie procedury spowiedniczo-komórkowego, nikt by na to nie wpadł. A teraz będzie trzeba znieśc przerywać pokutną szeptankę i zaglądać do konfesjonału, żeby sprawdzić, co porabia ksiądz.

Zawistowski prezentuje: **Fake news**



Wycinki z przeszłości

Pierwszy skaut Polski – tak nazywają wszyscy śp. Andrzeja Małkowskiego – stwierdzał „Płomyk” w marcu 1929 r. „On pierwszy począł organizować drużyny harcerskie we Lwowie. Urodził się w roku 1888, 31 października, do gimnazjum chodził we Lwowie i w Krakowie. Był bardzo ruchliwym, organizował różne kółka szkolne, a później akademickie.

W roku 1911 we Lwowie zakłada drużynę harcerską, pisze podręcznik skautowy i wreszcie wyjeżdża do Anglii, ażeby zobaczyć, jak należy drużyny prowadzić. Po powrocie zakłada pismo skautowe »Skaut«, urządza kursy instruktorskie dla drużynowych”.

Następnie bierze Małkowski udział w zlocie skautowym w Birmingham, gdzie dumnie powiewa sztandar z polskim orłem mimo zaborów. Po wybuchu wojny wstępuje do Legionów Piłsudskiego, potem tworzy polskie oddziały ochotnicze w Ameryce, wreszcie trafia do armii gen. Hallera we Francji.

„Gen. Haller wysłał go z misją do gen. Żeligowskiego, będącego wówczas na Ukrainie. Niestety na Morzu Czarnym natknął się okręt na zabłąkaną minę i wyleciał w powietrze. W ten sposób zginął Andrzej Małkowski dnia 16 stycznia 1919 r., mając lat 31. W kraju pozostała żona, znana jako »Druhá Oleńka«.

„Płomyk” puentuje: „Małkowski zginął tak, jak żył: w służbie Ojczyzny”.

Ale – dodajmy – dzieło jego trwa do dziś, wciąż wielkie przez harcerskie wychowanie i służbę wielką, oddając Polsce przysługę.

(mk)

Ach, cudencko! Przeczytajcie... (Rekolekcji gdy przychodzi pora...)



Leszek **Długosz**

Kamil Cyprian Norwid (1821–1883) Rymy częstochowskie (fragmenty)

Wiem, że Bóg jest na niebie
Co gospodarzy światem
I zna wszystko u Siebie
I to, co drzewem,
i co kwiatem,
I co dniem, i co nocą –
I jak gwiazdy się zlocą...

I że myśli o chlebie
Dla wszystkiego na świecie,
A nie myśli dla Siebie!
I że urodził się jak dziecko
Najbiedniejsze w stajence
Choć jest świata dziedzicem;
Że umarł za nas w męce
Na krzyżu, z bladym licem
I w koronie cierniowej.

Wedle krzyża jak biegnę
Albo świętej figury,
Co wystaje na chmury,
To coś więcej postrzegę,
To coś we mnie się modli
To coś dysze: „O Boże,
Tobie ręce przebodli,
A dosierwasz wciąż zboże!...”
I znów mówię: „O Boże!”

Bo jak człowiek zasieje,
To ma ino nadzieję,
Ale nie wie, co w roli
Ziarna one rozwija?

I dlaczego z fasoli
Nie wyrasta lilija
Albo owies z pszenicy,
Albo róża z bylicy.

Tylko w swoim porządku,
Jak sobota po piątku,
Po sobocie niedziela,
Wszystko się tam z-kościela.

A to człowiek nie robi,
Tylko k'temu sposobu.

A czy wiecie, gdzie byłem
Gdzie się tego uczyłem?
Częstochowskie ja dziecko,
Stamtąd idę piechotą,
Choć daleko, z ochotą!

Tam na desce złoconej
Jest bo obraz święcony
Matki Boskiej cudownej,
Gdzie lud płacze wędrowny.

A ta deska skąd – wiecie?
Oj, ze stolu, gdzie jadali
Nasz Pan Jezus, i siadał
Za tym stołem, tu, w świecie.
I to polskie ja króle
Przez armaty i kule
Przez pogańskie pałasze
Tam przynieśli, jak nasze.
[...]

CENNIK

PRENUMERAT*

OKRES PRENUMERATY

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiety SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do druku w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZA

Modus aferandi

Owarszawskiej dzikiej, aferowej reprivatyzacji pisałem już na tych łamach w tekściku „Inżynieria aferowa” („Sieci”, nr 36/2016). Okazuje się jednak, że o aferach nigdy dosyć.

Niedawno zastanawiałem się, jak w świetle prac dwu sejmowych komisji śledczych – ds. Amber Gold oraz warszawskich dzikich prywatyzacji – wyglądają podobieństwa między tymi przedsięwzięciami aferowymi. I jakie nauki z tego, co komisje śledcze ustalają, należałoby wyciągnąć dla ładu instytucjonalnego, który jest tworzony przez środowisko dobrej zmiany. Ale najpierw o podobieństwach.

CZTERY PODOBIENSTWA...

Po pierwsze – to akurat jest banalne – w obu przypadkach mieliśmy do czynienia z uzyskiwaniem nienależnych korzyści w wielkiej wielomilionowej skali.

Po drugie – i tu, i tam mieliśmy do czynienia ze złożoną inżynierią finansowo-prawną. Nienależne korzyści uzyskiwano drogą trwających dłuższy czas, złożonych, skoordynowanych operacji, które wymagały dużej wiedzy biznesowej oraz prawnej. To tzw. klasyczne przestępstwa białych kołnierzyków.

Po trzecie – ponieważ przewłaszczenia aferowe (mówiąc prościej: kradzieże) dla swej realizacji wymagały czasu, sprawcom do sukcesu potrzebna była przez dłuższy czas trwająca co najmniej bierność, jeśli nie współpraca, różnych organów państwa (tajnych służb, policji, urzędów skarbowych, prokuratury, sądów), a także mediów.

Po czwarte – w obu przypadkach wystąpiły specjalne działania osłonowe, które owej bierności sprzyjały. W przypadku Amber Gold było to zatrudnienie syna premiera Donalda Tuska, a w przypadku operacji kamienicznych sprzedaż mieszkań celebrytom związanym z mediami głównego nurtu. Syn premiera oraz owi celebryci wcale nie musieli przy tym być świadomi swej roli ani odnosić jakichś



Działania mające na celu osłonę afer za pomocą czegoś, co w jednej z moich dawnych publikacji badawczych nazwałem „zasadą podczepienia”, trwają nadal

specjalnych korzyści. Aferzyści mogli sięgać po postacie rozpoznawane jako znane, wpływowe, licząc, że sama ich obecność wytworzy w organach państwa i w części mediów niechęć do drażenia tematu.

...I PRZESTROGI

Pokusy aferowe i działania aferowe nie skończyły się wraz z wygranymi wyborami roku 2015. Chciwość nie znikła. Liczba aniołów na tym świecie jest ograniczona, w odróżnieniu, jak się zdaje, od ilości pokus.

Działania mające na celu osłonę afer lub przedsięwzięć po prostu wątpliwych za pomocą czegoś, co w jednej z moich dawnych publikacji badawczych nazwałem „zasadą podczepienia”, trwają nadal. Przykładowo inicjatorzy budzących wątpliwości co do zgodności z zasadami dobra wspólnego imprez starają się o patronat ważnych instytucji

publicznych albo o udział osób znanych, kojarzonych z obecnym obozem władzy. W tle nie musi być korzyści materialnych. Czasem wystarczy swoiste dopieszczenie aktualnych celebrytów przez eksponowany udział w szumnie promowanej imprezie. Konferencję otwiera np. znany minister, a zatem wszystko jest OK!

Poważniejszy i zarazem bardziej kłopotliwy charakter ma zagrożenie wiążące się z wskazanym powyżej punktem (3). Otóż wiele niedobrych zjawisk, w tym niezgodnych z prawem, w tkance instytucjonalnej polskiego państwa trwa nadal, gdyż skuteczne przeciwstawienie się im wymaga ogromnego nakładu pracy, koordynacji działań wielu urzędów, a tylko niekiedy wiąże się z ryzykiem nadeptnięcia na odcisk komuś wpływowemu. A wpływowa figura wcale nie musi mieć czegoś na sumieniu, czegoś wykraczającego poza zwykłe zaniechanie. Ale samo wysłanie oficjalnym kanałem sygnału, że coś nie gra (nie mówiąc już o czynnym przeciwdziałaniu danej patologii), już może oznaczać narażenie się kolegom z administracji.

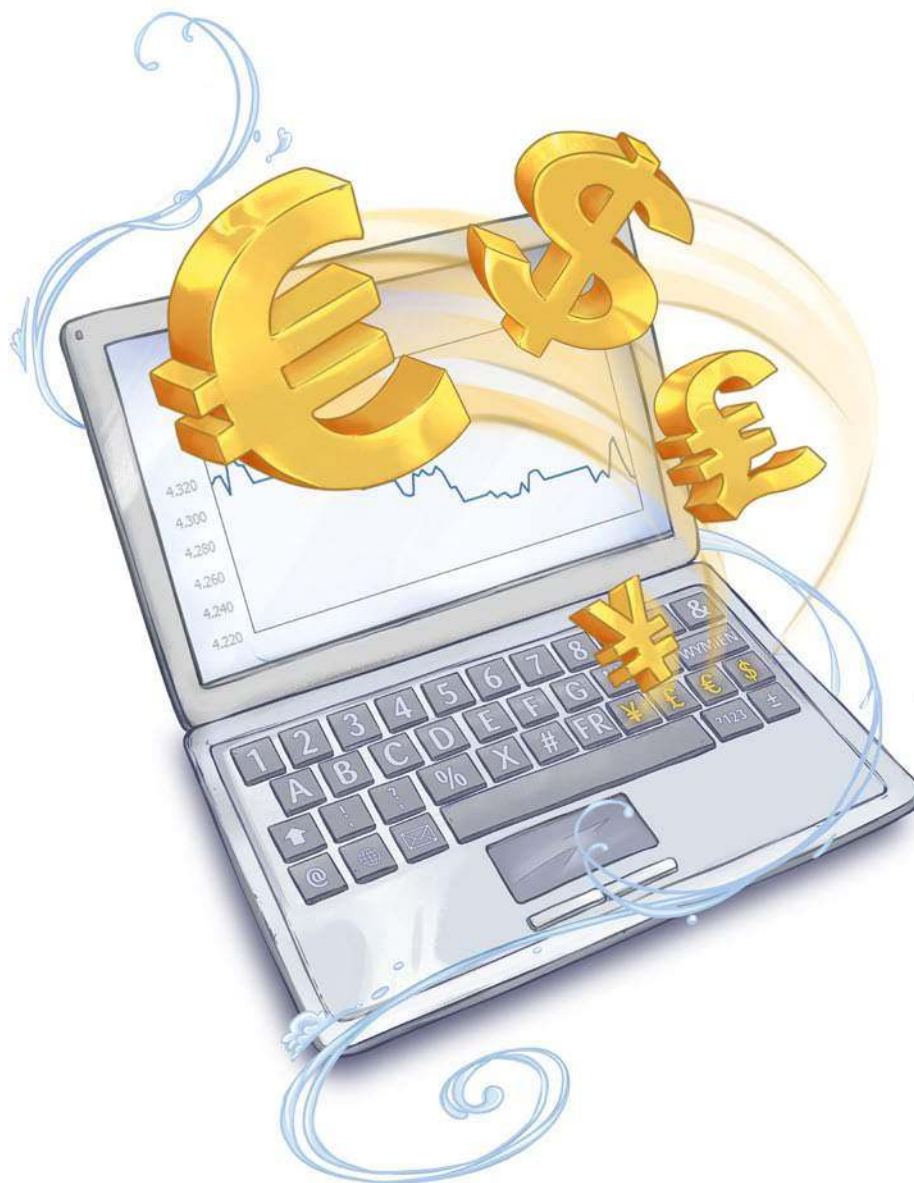
JAK RZĘKA?

Instytucje publiczne stale podlegają schorzeniu (a i prywatne firmy nie całkiem są od tego wolne), którym jest nawyk prowadzenia działań rutynowych, zgodnych ze sposobem płynięcia rzeki. Rzeka, jak wiadomo, płynie po linii najmniejszego oporu. Przeshkód nie pokonuje. Omija je.

Pewne afery nie muszą być wspierane przez działania mafijne jak korumpowanie lub zastraszanie urzędników, by toczyły się i toczyły. Często bezkarność bierze się z tego, iż zwalczanie niektórych patologii wymaga dużego mozołu podejmowanego bez gwarancji sukcesu.

Ale choć rzeki nie płyną pod górę, ludzie potrafią to czynić.

Andrzej Zybertowicz



iPKO DEALER KANTOR DLA FIRM

WYMIENIAJ WALUTY PRZEZ INTERNET

- Transakcje natychmiastowe już od 1 EUR
- Atrakcyjne kursy walutowe
- Walutowe powiadomienia SMS

Kontakt do dealera walutowego: +48 22 521 58 02 opłata zgodna z taryfą operatora

Szczegółowe informacje o produkcie oraz Taryfa prowizji i opłat bankowych znajdują się na www.pkobp.pl.



Bank Polski
dzień dobry

Jesteśmy jedną drużyną

#białoczerwoni



Kamil Stoch

SKOKI NARCIARSKIE



Sponsorzy Polskiej Reprezentacji Olimpijskiej

PYEONGCHANG2018



Sponsor Strategiczny



Sponsor Generalny



Sponsor



Sponsor Kolekcji
Olimpijskiej



Główny Partner
Medyczny



Oficjalny
Przewoźnik



Partnerzy
PKOl



onet

SPORTOWY

EUROSPORT

Partnerzy Medialni
PKOl